WŁADZA SIĘ SYPIE
Czy Kaczyński wie, co robi

ZAKON Z POPIOŁÓW
Templariusze chcą reaktywacji

GŁOS LASU
Rykowisko w internecie

GAZ NA WENUS
Jak naukowcy ożywiali atmosferę

MASŁOWSKA
Nasza nowa felietonistka

Kraków 27 września 2020 nr 39 (3716) cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne www.TygodnikPowszechny.pl

Pandemia bredni

Co łączy satanistów z pizzerii, Gatesa, Sorosa i Facebook oraz niewiarę w COVID

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

TEATR ŻEROMSKIEGO W KIELCACH

PREMIERA: PAŹDZIERNIK 2020

LORETTA

TEATR ŻEROMSKIEGO W KIELCACH

George F. Walker | Tłumaczenie: Małgorzata Semil | **Reżyseria: Michał Kotański**
Scenografia i kostiumy: Kornelia Dzikowska | Muzyka: Lubomir Grzelak
Reżyseria światła: Damian Pawella | Projekcje: Jakub Lech, Adam Zduńczyk
Występują: Anna Antoniewicz, Ewelina Gronowska/Zuzanna Wierzbińska, Wojciech Niemczyk, Łukasz Pruchniewicz | Inspicjent-sufler: Renata Głasek-Kęska

Teatr im. Stefana Żeromskiego w Kielcach jest jednostką organizacyjną Samorządu Województwa Świętokrzyskiego współprowadzoną przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

WOJEWÓDZTWO ŚWIĘTOKRZYSKIE

TEATR ŻEROMSKIEGO W KIELCACH

REKLAMA

Fot. Jacek Kołodziejski

Więcej na www.teatrzeromskiego.pl / REZERWACJE: +48 41 344 75 00; kasa@teatrzeromskiego.pl

KS. ADAM

Boniecki: *Trzęsienie świata*

Wielu z nas odczuwa potrzebę głębszej refleksji nad wydarzeniem nazwanym COVID-19. To pragnienie skłoniło mnie do zagłębienia się w lekturze książeczki „Pandemia Covid-19. Trzęsienie światem". Autor: Slavoj Žižek. „Jeden z najbardziej produktywnych i znanych filozofów oraz teoretyków kultury w dzisiejszym świecie" – jak napisał o nim wydawca – wykorzystał czas zamknięcia w domu do rozmyślań nad pandemią. Można nie cenić Žižka, jednak trudno mu odmówić przenikliwości i nie zgodzić się z nim, gdy pisze, jak trudno nam uznać, że „obecna epidemia to wynik naturalnej przypadkowości zdarzeń, że nie kryje się w niej żadne głębsze znaczenie", że „w szerszym porządku rzeczy (...) jesteśmy tylko jednym z gatunków, bez szczególnego znaczenia". Bowiem „powinniśmy się pogodzić z faktem, że istnieje pewien podpoziom życia, nieumarłe, głupio powtarzalne, preseksualne życie wirusów, które zawsze istniało i zawsze będzie nam towarzyszyć jak mroczny cień, stanowiący zagrożenie dla naszego przetrwania i wybuchający wtedy, kiedy najmniej się go spodziewamy".

Zamiast wypisów z książki Žižka, polecam jej lekturę, ograniczając się tu do jednej jego obserwacji, mianowicie do ukazania naszych reakcji na pandemię za pomocą zaproponowanego przez Elisabeth Kübler-Ross („Rozmowy o śmierci") opisu reakcji na wiadomość, że cierpimy na nieuleczalną chorobę. Wyróżnia ona pięć etapów: 1. zaprzeczenie („to niemożliwe"), 2. gniew (kiedy nie możemy zaprzeczyć faktom; „dlaczego to się przydarzyło właśnie mnie?"), 3. targowanie się („może jakoś da się opóźnić lub umniejszyć fakt"), 4. depresję („i tak umrę, więc po co się czymkolwiek przejmować") oraz 5. akceptację („nie mogę choroby zwalczyć, więc lepiej się przygotuję"). W przypadku COVID-19 mieliśmy fazę „nic się nie dzieje, niepoważni ludzie sieją panikę", mieliśmy gniew (w formie rasistowskiej: „winni są Chińczycy!", albo antypaństwowej: „nasze państwo jest nieskuteczne!"), targowaliśmy się („jest trochę ofiar, ale to mniej groźne niż SARS, można ograniczyć szkody"), popadaliśmy w depresję („nie oszukujmy się, wszyscy jesteśmy skazani"). Problemem jest etap akceptacji faktu „przypadkowości i bezsensu życia". Bez względu na to, „jak wspaniałe konstrukcje duchowe zbudujemy", to i tak „jakieś głupie, nieprzewidywalne zdarzenie, jak wirus czy asteroida, mogą to wszystko zakończyć. Nie mówiąc już o katastrofie ekologicznej". Pandemia jako „próba generalna" przed nadchodzącą katastrofą klimatyczną.

Konkluzje? „Aktualny kryzys wyraźnie pokazuje, że globalna solidarność i kooperacja leżą w interesie przetrwania wszystkich i każdego z nas". Tymczasem – ostrzega Žižek – zagraża nam barbarzyństwo... z ludzką twarzą: „Włochy już ogłosiły, że jeśli sytuacja się pogorszy, osoby w wieku powyżej 80 lat lub z innymi, poważnymi chorobami współistniejącymi po prostu zostaną pozostawione na śmierć". Poświęcenie najsłabszych? Logika przetrwania najsilniejszych? Barbarzyństwo...

Nie przeszkadza mi, że Žižek pełną, bezwarunkową solidarność i koordynację działań na skalę światową nazywa „nowym komunizmem", bo stawia arcysłuszne pytanie: „Co jest nie tak z naszym systemem, że katastrofa zaskoczyła nas nieprzygotowanych, mimo że naukowcy ostrzegali przed nią od lat?".

O tych i innych związanych z pandemią sprawach rozmyśla filozof. Zadaje wiele pytań, na które nie ma odpowiedzi, jak pytanie o to, co się stanie, jeśli skuteczna szczepionka chroniąca od koronawirusa okaże się tak droga, że nie będzie na nią stać milionów ludzi?

Niezależnie od tego, ilu z nas żyje dziś w stadium negowania, ilu w gniewie, ilu się targuje, a ilu jest w depresji – i tak wszyscy będziemy musieli wejść w stadium akceptacji faktu występowania nowych globalnych klęsk, zdrowotnych, klimatycznych, innych. Wszyscy, bo jak ponad pół wieku temu powiedział Martin Luther King: „może i przypłynęliśmy tu różnymi statkami, ale teraz jedziemy na tym samym wózku". ©℗

SPOTKANIE I PREMIERA KSIĄŻKI

„Strona świata" Wojciecha Jagielskiego

Zapraszamy na **spotkanie online** z mistrzem reportażu **w środę 30 września o godz. 18.00** na **powszech.net/stronaswiata**

Rozmowę o świecie, który znów płonie, poprowadzi Marek Rabij.

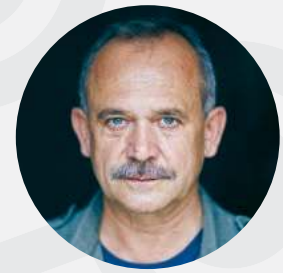

Dla naszych Czytelników wydawnictwo przygotowało **zniżkę 35%** na zakup książki w księgarni znak.com.pl z kodem rabatowym **stronaswiata35**.

TYGODNIK POWSZECHNY znak

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TEMAT TYGODNIKA

12 Pandemia bredni
AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI
Koronawirus zabił na świecie prawie milion ludzi. Śmiercionośna dezinformacja dopiero się rozpędza.

16 Czytanie QAnonu
PIOTR TARCZYŃSKI
Ten ruch to wielkie zagrożenie dla demokracji.

22 Prezes i wojna delfinów
ANDRZEJ STANKIEWICZ
Musiał nadejść moment, w którym Zbigniew Ziobro powie Jarosławowi Kaczyńskiemu „nie”. Rekonstrukcja rządu zamieniła się w kryzys.

32 Prawie templariusze
MACIEJ MÜLLER
Zlikwidowany przed wiekami zakon powinien się odrodzić. Decyzja po stronie Watykanu.

42 Taniec z duchem
MAGDALENA BARTCZAK
Chile obchodzi rocznicę niepodległości i rocznicę zamachu stanu. W obecnej kampanii politycznej podziały sprzed lat przypominają o sobie szczególnie mocno.

62 Kraina wyrzutków
WYWIAD Z PISARZEM MICHAELEM CRUMMEYEM:
Przed tą rozmową musiałem sobie przynieść wiadro wody ze studni.

78 O co chodzi w rykowisku
ADAM ROBIŃSKI
Piotra Horzelę można spotkać w anonimowym lesie na Pomorzu oraz – przede wszystkim – w internecie.

KASIA KOZAKIEWICZ DLA „TP” // ANDRZEJ HULIMKA / FORUM // MAGDALENA BARTCZAK // PIOTR HORZELA // PAUL DALY / PA / PAP // WIKIPEDIA.ORG

INFORMACJA DLA CZYTELNIKÓW Z przyczyn przez Wydawcę niezawinionych, pismo może nie być dostępne w niektórych punktach sprzedaży – szczególnie tych prowadzonych przez Garmond Press SA. W zaistniałej sytuacji najkorzystniejszym i najpewniejszym sposobem otrzymywania naszego pisma jest prenumerata – szczegóły na stronie **TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate**. *WYDAWCA*

6 Dzieci zostały same
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

7-11 Obraz tygodnia

20-21 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK / O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

KRAJ

22 Prezes i wojna delfinów
ANDRZEJ STANKIEWICZ

26 Smutek drajwera
MARIUSZ SEPIOŁO: *Przemęczeni, wiecznie niewyspani, polscy kierowcy zawodowi*

28 Dziecięcy mózg w sieci
WYWIAD Z ŁUKASZEM WOJTASIKIEM: *Skończmy z lokowaniem „cyfrowych zagrożeń" wyłącznie w życiu dzieci. Popatrzmy na siebie*

WIARA

32 Prawie templariusze
MACIEJ MÜLLER

37 Papież Franciszek Mniejszy
EDWARD AUGUSTYN: *Mimo osamotnienia w czasach lockdownu i symptomów katastrofy rewolucja Bergoglia trwa*

40 Odroczona sprawiedliwość
PAULINA MAŚLONA: *Wraca sprawa mordu na jezuitach w Salwadorze*

ŚWIAT

42 Taniec z duchem
MAGDALENA BARTCZAK Z SANTIAGO DE CHILE

46 Nie tylko katedry płoną
SZYMON ŁUCYK Z PARYŻA: *We Francji dwa kościoły dziennie padają ofiarą wandali lub złodziei. Inne sypią się ze starości*

NOWA FELIETONISTKA

GRAŻYNA MAKARA

61 Bez tytułu
DOROTA MASŁOWSKA
Parę lat temu udzieliłam „Tygodnikowi" wywiadu, w którym powiedziałam głupio, że Warszawa jest brzydka – opowiada pisarka, laureatka Nagrody Literackiej Nike, kompozytorka i piosenkarka, od tego numeru nasza stała felietonistka.

FELIETONY
31 ANNA DZIEWIT-MELLER **61** DOROTA MASŁOWSKA
76 JAN KLATA **77** PAWEŁ BRAVO
82 STANISŁAW MANCEWICZ
82 BARTOSZ MINKIEWICZ

OKŁADKA: KASIA KOZAKIEWICZ dla „TP"
Redaktor prowadzący: MAREK RABIJ

49 Tęcza i tryzub
MONIKA ANDRUSZEWSKA Z KIJOWA: *Ukraińscy weterani otwarcie mówią o swojej orientacji seksualnej*

HISTORIA

52 Wrastanie w wyspy
PIOTR OLEKSY: *75 lat temu Polacy przejmowali kontrolę nad Wolinem i częścią Uznamu*

NAUKA

58 Jak ożywić atmosferę
ŁUKASZ LAMŻA: *Wystarczyło kilka zabiegów, by wszyscy zaczęli mówić o życiu na Wenus*

KULTURA

62 Kraina wyrzutków
WYWIAD Z PISARZEM MICHAELEM CRUMMEYEM

66 Tu i teraz ja
KAJETAN PROCHYRA: *Dominik Wania jako pierwszy polski pianista nagrał solową płytę dla ECM*

68 Życie za sobą
MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK: *Romain Gary, rozliczenie z młodością i pochwała zaczynania na nowo*

71 Kije i marchewki
JAKUB MAJMUREK: *„Mulan": jak chińskie władze zachęcają hollywoodzkich producentów do budowania serdecznych relacji z cenzorami*

74 Połączenia zerwane
ANITA PIOTROWSKA: *Film „Jak najdalej stąd" ma wiele z kina drogi*

76 Martwe jak żywe
LEKTOR *o „Atrapach stworzenia" Piotra Pazińskiego*

ZMYSŁY

78 O co chodzi w rykowisku
ADAM ROBIŃSKI

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Strona świata
Jako początkujący dziennikarz doprowadził do upadku Nixona, dziś jako uznany pisarz zamierzył się na Trumpa
– pisze **WOJCIECH JAGIELSKI** powszech.net/strona-swiata

Futbol jest okrutny
Najdroższy przed laty piłkarz świata wraca do klubu, gdzie wszystko się zaczęło – dlaczego Gareth Bale znów gra w Tottenhamie
– pisze **MICHAŁ OKOŃSKI** powszech.net/futboljestokrutny

/TYGODNIKPOWSZECHNY ▪ /TYGODNIK ▪ /TYGODNIK ▪ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

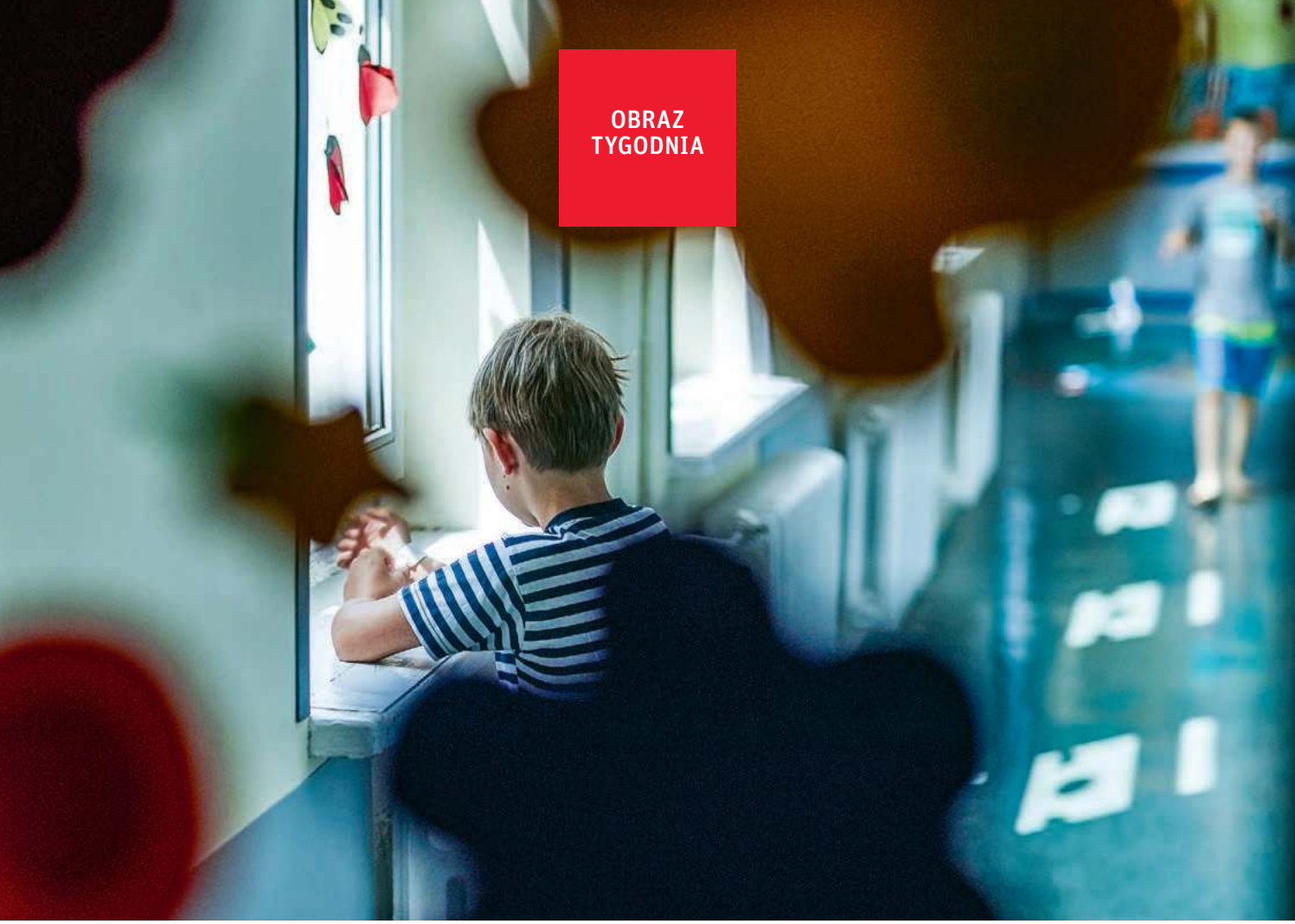

OBRAZ TYGODNIA

DZIECI ZOSTAŁY SAME

Dwa newralgiczne systemy, dwa raporty NIK, dwie opowieści z tą samą smutną konkluzją: polskie państwo jest bezradne wobec najcięższych kryzysów najmłodszych obywateli.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Oddział dziecięcy w szpitalu psychiatrycznym w Łodzi.

Takie historie dzieją się blisko nas. Mniej więcej sto razy w ciągu roku, czyli średnio raz co kilka dni (a to i tak dane niedoszacowane, bo w aktach zgonów wpisuje się czasem bezpośrednią przyczynę, choćby „wypadek"). Np. niedawno w Pucku, w budynku, w którym mieści się m.in. – trudno o równie dobitną symbolikę – Powiatowe Centrum Pomocy Rodzinie. 14 września o godz. 19.00 z okna wyskakuje 14-letni chłopiec. Na miejscu zjawia się helikopter pogotowia, ale dziecka nie udaje się uratować. „Wygląda na to, że mamy do czynienia z czynem samobójczym" – powie mediom rzeczniczka gdańskiej prokuratury.

W ciągu dwóch i pół roku, od początku 2017 do końca pierwszego półrocza 2019 r., życie próbowało sobie odebrać – na szczęście w większości przypadków nieskutecznie – niemal dwa tysiące młodych Polaków. O tym, jakie m.in. oni i ich rodzice mieli systemowe możliwości zwrócenia się po pomoc, opowiada opublikowany w ubiegłym tygodniu raport Najwyższej Izby Kontroli. Skala problemów znacznie przekracza te najczęściej nagłaśniane przez media, jak brak łóżek na dziecięcych, całodobowych oddziałach psychiatrycznych, i to nawet dla nastolatków z myślami samobójczymi (wydana właśnie książka „Szramy" Witolda Be-

resia i Janusza Schwertnera przynosi m.in. historię 15-latki, dla której zabrakło w 2019 r. miejsca na oddziale dziecięcym, a na oddziale dla dorosłych została zgwałcona przez pacjenta). Niedofinansowanie, dramatyczny niedobór kadr, brak także dziennych oddziałów psychiatrycznych (w pięciu województwach nie było w okresie kontroli żadnego), nieistniejąca w wielu miejscach profilaktyka (tylko ok. połowa polskich szkół zatrudnia na etacie psychologa lub pedagoga) – to główne problemy. I choć NIK zastrzega, że planowany od dawna środowiskowy, bardziej przyjazny model pomocy, odchodzący od szpitali jako filarów wsparcia, miał być wdrażany już po zakończeniu kontroli, to jego funkcjonowanie na terenie całego kraju nadal jest pieśnią przyszłości.

Rzadko się zdarza, by dwa publikowane jeden po drugim raporty NIK układały się w tak spójną i smutną opowieść o bezradności państwa – i to pod kolejnymi rządami. Tydzień wcześniej dostaliśmy dokument o pogotowiach opiekuńczych i rodzinnych. Tu też chodziło o dzieci na potężnym życiowym zakręcie – takie, które wskutek skrajnej niewydolności bądź przemocy ze strony rodziców muszą nagle trafić do systemu tzw. pieczy zastępczej. Trafiają zaś w próżnię: brak w wielu powiatach rodzin zastępczych sprawia, że nawet te najmłodsze lądują – wbrew ustawie, na prawach tzw. mniejszego zła – w placówkach. I pozostają w nich nawet latami. Też wbrew prawu.

Te dwa raporty czytane razem pokazują coś więcej niż przejściowy kryzys dwóch systemów. Przez 30 lat III RP przeszliśmy symboliczną przemianę: zaczęto w Polsce mówić o dziecku jako podmiocie, zadekretowano zakaz bicia, zapisano w ustawach, że ceglany mur i wielooosobowa sala powinny być mrocznym wspomnieniem. Ale realnie pozostajemy jedną nogą w starej epoce – z anachronicznymi instytucjami i arteriami systemu zatykającymi się tam, gdzie są one najbardziej potrzebne. A epidemia może tylko zwiększyć skalę problemów, które i bez niej – jak widać – przekraczają możliwości polskiego państwa. ©℗

TOMASZ STAŃCZAK / AGENCJA GAZETA

Opozycja zaskoczona kryzysem

ANDRZEJ STANKIEWICZ

Konflikt w obozie władzy dotyczył dwóch kwestii. Po pierwsze, chodzi o projekt tzw. bezkarności urzędniczej, dający premierowi immunitet przy naruszaniu prawa w czasie pandemii. Druga powodująca podziały ustawa dotyczy ochrony zwierząt w wersji forsowanej przez Jarosława Kaczyńskiego (m.in. zakaz hodowli zwierząt futerkowych i drastyczne ograniczenie uboju rytualnego).

W tej sytuacji władze PSL złożyły Koalicji Obywatelskiej propozycję podgrzania konfliktu w Zjednoczonej Prawicy. Chodziło o odrzucenie ustawy o ochronie zwierząt w wersji Kaczyńskiego i wniesienie własnego projektu, bez zakazu oboju rytualnego. Ponieważ wielu posłów z obozu władzy – w tym ludzie Ziobry – zagłosowało przeciwko propozycji Kaczyńskiego, prezes mógłby to głosowanie przegrać, co dodatkowo zaogniłoby sytuację. Władze KO odrzuciły jednak takie rozwiązanie. – Podziały po głosowaniu nad podwyżkami dla polityków są zbyt świeże. Nie panujemy nad klubem. Część bardziej lewicowych posłów i tak zagłosowałaby za ustawą Kaczyńskiego, a wtedy byśmy mieli dodatkowe problemy. Potrzebujemy spokoju – mówi członek ścisłych władz Platformy.

Podobnie jest na lewicy, gdzie szef SLD Włodzimierz Czarzasty musi się liczyć z posłami partii Razem, nad którymi nie ma kontroli. W każdej sytuacji zagłosowaliby za zaostrzeniem przepisów o ochronie zwierząt. Dlatego projekt Kaczyńskiego przeszedł – głosami KO i Lewicy właśnie.

Jednak nawet PSL jest dziś w tarapatach. Władze partii, szefowie struktur regionalnych i europosłowie, czyli elita PSL, próbują walczyć z PiS. Ale partyjne doły i elektorat ludowców prą do koalicji z Kaczyńskim.

Dlatego opozycja tylko obserwuje sytuację w obozie władzy. Nawet rozpad Zjednoczonej Prawicy niczego nie zmieni. Liderzy PO, PSL i Lewicy nie są dziś skłonni do politycznego ryzyka, takiego jak choćby współpraca z Konfederacją czy częścią polityków obozu rządzącego, by doprowadzić do odsunięcia od władzy Kaczyńskiego. Podobnie było wiosną, gdy wicepremier Jarosław Gowin sprzeciwił się wyborom prezydenckim w wersji korespondencyjnej. Gowin prowadził wówczas rozmowy z opozycją o utworzeniu rządu anty-PiS. Negocjacje spełzły na niczym, przerwał je Kaczyński, podpisując porozumienie z Gowinem i przekładając wybory. ©

Więcej o kryzysie w obozie władzy czytaj w dziale Kraj.

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „TP”.

Żółte sądowe kartki

„OBÓZ WŁADZY” – jak roboczo określa się w mediach organy władzy ustawodawczej i wykonawczej złączone nieprzewidzianą w konstytucji partyjną pępowiną – otrzymał w zeszłym tygodniu dwa ostrzeżenia od władzy trzeciej, sądowniczej. Sąd Najwyższy uznał tzw. przepisy dezubekizacyjne (czyli wprowadzoną w 2016 r. nowelizację wcześniejszych przepisów o zaopatrzeniu emerytalnym m.in. byłych funkcjonariuszy MO) za przykład odpowiedzialności zbiorowej, niemożliwej do zaakceptowania w państwie demokratycznym (nawet przy rozliczaniu nadużyć totalitarnego reżimu, którego potrzebę sędziowie potwierdzili w uzasadnieniu wyroku).

„Rozliczenia z przeszłością to nie tylko domena prawa” – zauważył sędzia sprawozdawca, i stąd nieuniknione potknięcia oraz konieczność ich korekty. Innymi słowy – sąd podał definitywną wykładnię prawną, ale rzecz pozostaje w sferze uprawnionej dyskusji politycznej.

Druga natomiast sytuacja pozostaje poza sferą dopuszczalnego „luzu interpretacyjnego” czy politycznych debat. Otóż Wojewódzki Sąd Administracyjny orzekł nieważność decyzji premiera z kwietnia, nakazującej Poczcie przygotowanie i przeprowadzenie tzw. wyborów kopertowych. Sąd uznał ją za wydaną wadliwie i bez podstawy prawnej. „W wypadku tak ważnej kwestii jak wybory najważniejszej osoby w państwie (...) powinny być szczególnie przestrzegane zasady legalizmu” – stwierdził sędzia, wygłaszając wyrok. To oględny sposób na wyrażenie przez sąd zdumienia całą sytuacją z wiosny. Premier usiłował dokonać kluczowych dla ustroju państwa kroków, działając jak początkujący urzędnik niskiego szczebla, niezbyt zorientowany jeszcze w szerszych ramach prawnych powierzonego mu odcinka.

Zwykle korektą takich działań zajmuje się naczelnik wydziału. Premierowi, jak widać, nie zaszkodziłby darmowy staż np. w wydziale któregoś z magistratów. ©℗ PAWEŁ BRAVO

JACEK DOMIŃSKI / REPORTER

ZUZANNA RUDZIŃSKA-BLUSZCZ, jedyna zgłoszona w przewidzianym terminie kandydatka na urząd Rzecznika Praw Obywatelskich, popierana m.in. przez Koalicję Obywatelską, Lewicę i 700 organizacji społecznych, czeka na korytarzu sejmowym na decyzję o głosowaniu w jej sprawie. Nie wie jeszcze, że z porządku obrad punkt o powołaniu RPO został właśnie zdjęty. Kadencja obecnego rzecznika Adama Bodnara upłynęła 9 września, nowego RPO muszą zaakceptować zarówno Sejm, jak i Senat. ©℗ MO

PE już nie taki bezzębny

PAWEŁ BRAVO

Parlament Europejski debatował w zeszłym tygodniu nad raportem „w sprawie stwierdzenia wyraźnego ryzyka poważnego naruszenia przez RP zasady praworządności". W projekcie rezolucji uwzględniono ponad 60 zdarzeń i zjawisk, które świadczą, zdaniem autorów, o pogorszeniu się sytuacji od 2017 r., czyli od momentu, kiedy Komisja Europejska zaczęła procedurę przewidzianą przez artykuł 7. traktatu o UE. W tym dokumencie PE znów „ubolewa", „wyraża zaniepokojenie" czy „potępia" – bo tyle może uczynić.

Ale nie jest to już tak samo bezzębny dokument jak poprzednie (choćby ostatni z lutego). W trakcie prac nad nowym siedmioletnim budżetem wspólnoty, a przede wszystkim nad pakietem odbudowy gospodarki po epidemii, nabiera ciała koncepcja uzależnienia przynajmniej części transferów od pozytywnej oceny przestrzegania standardów praworządności czy ochrony mniejszości przez dany kraj. Dyplomacje Polski i Węgier na razie próbują to torpedować, ale europosłowie przy podziale środków będą raczej mieli do powiedzenia więcej niż dotychczas. W orędziu o stanie Unii przewodnicząca KE Ursula von der Leyen co prawda tylko mgliście obiecywała, iż będzie „dalej bronić" niezależności sądownictwa, za to znacznie ostrzej stwierdziła, że nie ma w Unii miejsca na „strefy wolne od LGBT".

I to one właśnie – choć są tylko popisem złej woli lokalnych władz bez mocy prawnej – mogą napytać znacznie więcej biedy Warszawie przy dalszych negocjacjach o pieniądze. ©℗

KRAJ W SKRÓCIE

DOŻYNKI
Czy prezydent zawetuje ustawę o ochronie zwierząt? Zgadnij, Czytelniku, sam, co znaczy poniższa wypowiedź Andrzeja Dudy: „Będę miał na względzie kwestie humanitarnego traktowania zwierząt, dobrostanu zwierząt, ale będę miał także na względzie byt i jakość życia polskich rolników". Albo ta: „Chcę bardzo mocno i w pewnym sensie z gniewem powiedzieć, że padło wiele absolutnie fałszywych, nieprawdziwych słów, które nigdy nie powinny były paść z ust nikogo w Polsce".

DORADCZYNI
Być może głowa państwa będzie mówiła jaśniej dzięki nowemu społecznemu doradcy: na stronie Kancelarii Prezydenta pojawiła się informacja, że funkcję tę objęła Kinga Duda, 25-letnia córka prezydenta. Rzecznik Andrzeja Dudy wyjaśnia, że nie ma ona określonych zadań i zakresu kompetencji, bo „doradcy społeczni doradzają prezydentowi wtedy, kiedy tego potrzebuje".

DOFINANSOWANIE
Walne zgromadzenie TVP (czyli w tym przypadku: minister kultury) zdecydowało o przeznaczeniu 17,8 mln zł z 89 mln zł zysku wypracowanego przez spółkę w 2019 r. na wypłatę nagród.

LICZBA TYGODNIA

1 mln

blisko tyle mieszkań w Polsce wciąż nie ma łazienki – podał właśnie GUS. W niemal 900 tys. z 14,8 mln wszystkich polskich mieszkań nie ma również ubikacji. Kolejne prawie 500 tys. pozbawionych jest dostępu do bieżącej wody.

COVID-19: Czas dyscypliny

PONAD TYSIĄC ZAKAŻEŃ – najwięcej od początku epidemii koronawirusa w Polsce. Taki dzienny wynik padł w sobotę, i to mimo niskiej liczby przeprowadzonych testów. Od dłuższego czasu utrzymuje się ona w okolicach 20 tys., mimo że deklarowane możliwości polskich laboratoriów sięgają 60 tys. To efekt nie tylko tego, że zaprzestano testowania osób kończących izolację i kwarantannę. Polski rząd i GIS promują strategię „testowania celowego" (wyłącznie pacjentów objawowych) i zalecają ją całej Europie – która idzie w przeciwnym kierunku, ułatwiając dostęp do testów obawiającym się zakażenia. Polska, do spółki z Bułgarią, szoruje po dnie rankingu testów na tysiąc mieszkańców. Tymczasem rekordowe wyniki zakażeń notują nie tylko Hiszpanie, Francuzi czy Niemcy, ale także Czesi. Eksperci mówią o drugiej fali COVID-19 w Europie. Ogniska polskie powstają w zakładach pracy, szkołach, domach weselnych, kościołach i placówkach ochrony zdrowia.

ROZWÓJ SYTUACJI W POLSCE zależy od trzech czynników: stopnia, w jakim zakażają dzieci (doniesienia badaczy są sprzeczne), dyscypliny sanitarnej (maska, dystans, dezynfekcja) oraz wydolności systemu testowania i izolacji – podkreśla raport „Zrozumieć COVID-19" międzydyscyplinarnego zespołu naukowców Polskiej Akademii Nauk. W scenariuszu zakładającym zakaźność dzieci zbliżoną do obserwowanej u dorosłych i powszechne łamanie zaleceń sanitarnych służby sanitarne mogą stracić kontrolę nad epidemią.

Z MASKAMI I DYSTANSOWANIEM nie pożegnamy się prędko – podkreśliła dr Soumya Swaminathan z WHO. Nawet po wynalezieniu szczepionki jej produkcja i dystrybucja jeszcze długo nie zapewnią globalnej odporności (60-70 proc. populacji) na SARS-CoV-2. „Nie należy się spodziewać, by życie wróciło do normalności przed 2022 rokiem" – zaznaczyła. Według niej dopiero wtedy dostępne będą 2 mld dawek. WHO tworzy mechanizm mający zapewnić sprawiedliwy dostęp do szczepionek, bez względu na poziom zamożności kraju. ©℗

NOAH BERGER / AP / EAST NEWS

WIELKIE POŻARY W USA. Spalona ziemia, toksyczne powietrze, wysoka temperatura, przerwy w dostawie prądu, a wszystko w oprawie z czerwonego nieba o nierealnym wymiarze, jakby pochodzącego z innej planety: tak wygląda dziś zachodnie wybrzeże USA. W ciągu zaledwie kilku tygodni wielkie pożary spaliły tyle samo powierzchni, ile zostało zniszczone przez dekadę używania napalmu podczas wojny w Wietnamie. Na zdjęciu z drona: spopielone połacie miasteczka Talent w południowym Oregonie, 15 września 2020 r. ©℗ MaG

Izrael: gorzka radość

UMOWY o nawiązaniu stosunków dyplomatycznych między Izraelem i Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi oraz Bahrajnem, podpisane w ubiegłym tygodniu w Waszyngtonie, to niewątpliwy sukces polityczny Donalda Trumpa i Beniamina Netanjahu – sukces obu politykom bardzo teraz potrzebny.

W samym Izraelu budzą one jednak dwojakie uczucia. Z jednej strony to historyczne porozumienia, jakich nie było od lat: pula krajów arabskich uznających Izrael powiększyła się do czterech (wcześniej uczyniły to Egipt i Jordania), a już zapowiadane są kolejne. Ponadto umowa polityczna będzie miała przełożenie na współpracę w wielu dziedzinach. Rośnie też bliskowschodni front przeciw Iranowi. Z drugiej strony to oczywiste, że podpisane umowy nie sprzyjają – wbrew zapowiedziom sygnatariuszy – rozwiązaniu kluczowego konfliktu w regionie, czyli izraelsko-palestyńskiego. Palestyńczycy, wściekli i osamotnieni, znów zostali zepchnięci na dalszy plan.

Radość gasi fakt, że w Izraelu panuje potężny epidemiczny chaos. Mieszkańcy właśnie musieli zamknąć się ponownie w domach, rozpoczynając zatwierdzony przez premiera na okres żydowskich świąt trzytygodniowy *lockdown*. Do tego radykalnego kroku (Izrael jest pierwszym krajem na świecie, który zaczyna *lockdown* po raz drugi) doprowadziła dramatyczna sytuacja: po 4 tys. stwierdzonych zakażeń dziennie. Mimo lockdownu nie ustają jednak głośne protesty przeciw premierowi Netanjahu. Kolejna odsłona jego korupcyjnego procesu nastąpi w grudniu.

© KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

Pięć tysięcy mil donikąd

W NIESPEŁNA 10 MINUT australijskie linie Qantas wyprzedały pulę 134 biletów na lot z Sydney do... Sydney. Siedmiogodzinny rejs w kółko nad Australią, kosztujący od 575 do 2,6 tys. dolarów, oferuje widoki na Wielką Rafę Koralową oraz Uluru, ikoniczną formację skalną kontynentu – i ma przypomnieć spragnionym latania klientom smak podróży w przestworzach.

Pandemia wciąż odstrasza od podróżowania, a wiele krajów utrzymuje lub wznawia blokadę lotów. Linie lotnicze, które w tym roku będą mieć – w skali całego globu – przychody o 419 mld dolarów mniejsze niż w 2019 r., desperacko szukają więc pomysłów na poprawę rentowności. Qantas chce też wznowić loty widokowe nad Antarktydą, zawieszone po katastrofie samolotu Air New Zealand, który w 1979 r. rozbił się na stokach wulkanu Erebus. ©℗ MR

Butelka z nowiczokiem i wasal Kremla

ANNA ŁABUSZEWSKA

Aleksiej Nawalny został wybudzony ze śpiączki, rokowania są pomyślne. Jego zdjęcie w otoczeniu rodziny trafiło na pierwsze strony czołowych zachodnich dzienników. Sprawa otrucia oponenta Kremla nie przestaje szokować. Dwa niezależne laboratoria – francuskie i szwedzkie – potwierdziły niemieckie wyniki badań próbek pobranych z jego organizmu. Nie ma wątpliwości: opozycjonistę próbowano zabić trucizną z grupy nowiczok.

Berlińska klinika Charité zwróciła milion rubli, które „na leczenie Nawalnego" wpłacił Jewgienij Prigożyn zwany kucharzem Putina – złowroga postać firmująca potajemne działania Kremla, np. fabryki trolli czy wysyłanie wagnerowców za granicę. Współpracownicy Nawalnego uważają, że struktury Prigożyna mają związek z zamachem. Sam Nawalny oznajmił, że jak tylko wyzdrowieje, wraca do Rosji i do polityki. Lekarze prognozują jednak, że rekonwalescencja potrwa rok. Tymczasem współpracownikom Nawalnego udało się ustalić, że został on otruty, jeszcze zanim zjawił się na lotnisku. Początkowo sądzono, że zatruta była herbata, którą Nawalny pił w lotniskowej kafejce, teraz wiadomo, że trucizna była w butelce wody stojącej w pokoju hotelowym, gdzie nocował. Władze Rosji idą jednak w zaparte. Chcą, aby Niemcy przekazały im materiał dowodowy, ale same śledztwa nie wszczynają. Kreml boi się nowych sankcji, które wydają się nieuniknione.

Sankcje grożą też Alaksandrowi Łukaszence za sfałszowanie wyborów i represje wobec ludzi, którzy nieustannie protestują od 9 sierpnia. Rosja uznała prezydenturę Łukaszenki, a teraz zamierza odcinać polityczne kupony za wsparcie. W ubiegłym tygodniu Putin przyjął Łukaszenkę w Soczi. Nie doszło do podpisania umów, na razie Putin obiecał półtora miliarda dolarów kredytu. Nieoficjalnie mówi się, że Łukaszenka dostał też od Putina dwa miesiące na uporządkowanie sytuacji z protestami. Te jednak nie ustają. ©

Oglądamy walkę Dawida z Goliatem

KS. JACEK PRUSAK

Między kard. Stanisławem Dziwiszem a ks. Tadeuszem Isakowiczem-Zaleskim iskrzy od dawna i obu duchownych trudno uznać za sojuszników tej samej wizji archidiecezji. Do tej pory była to jednak „niechęć kontrolowana". Tym razem nie jest to wyłącznie spór personalny, przełożonego z podwładnym, bo w jego tle mamy wiele ofiar, wielu sprawców różnych nadużyć i system kościelny obejmujący kurię krakowską, nuncjaturę i Watykan.

Mamy wieloletnią historię amnezji nad Wisłą i nad Tybrem, sprowadzonej do krycia sprawców i lekceważenia ofiar, tajemnicze znikanie ważnych dokumentów i zmowę milczenia na szczeblach kościelnej hierarchii. Wstrząsający list z wielostronicowym załącznikiem o nadużyciach w diecezji krakowskiej, dostarczany kard. Dziwiszowi przez ks. Isakowicza-Zaleskiego w 2012 r., a potem kolejne pismo wysłane w 2013 r. do Watykanu w imieniu ofiar i w ich obronie, pokazują ponurą mapę ludzkiej deprawacji i mafijne powiązania w Kościele.

Obaj duchowni stanęli teraz pod ścianą, bo prawdy nie można naciągać w nieskończoność, nie da się jej wymazać kościelnym nakazem albo zasłaniać się pustymi archiwami. Ktoś tu mówi prawdę, a ktoś kłamie – nie ma trzeciej drogi. Komu można wierzyć? Obie strony zapewniają, że nie boją się prawdy. Jak dotąd nie usłyszeliśmy żadnych racjonalnych wyjaśnień dla domniemanej niewiedzy krakowskiego kardynała. Usłyszeliśmy tylko, że archiwa mogą być puste, kiedy ma się władzę i jedyny klucz do nich.

Czy wystarczy trzymanie się faktów, aby ofiary zobaczyły, że prawdy się nie tworzy siłą nazwisk ani kościelnych urzędów? Kard. Dziwisz podtrzymuje swoją wersję wydarzeń i milczy. Milczy też kuria krakowska. Ks. Isakowicz-Zaleski wyłożył karty na stół i czeka. Na razie jesteśmy świadkami bolesnej przepychanki pomiędzy systemem władzy w Kościele a ofiarami i osobami je reprezentującymi. Na własne oczy widzimy walkę Dawida z Goliatem.

Wobec „pustych archiwów" to, co nam pokazał ks. Isakowicz-Zaleski, i co mówią ofiary, nie traci, tylko zyskuje na randze. ©

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

ROZMOWA

„Kocham wasze dzieci takimi, jakimi są, gdyż są dziećmi Bożymi" – powiedział Franciszek do członków włoskiego stowarzyszenia Tenda di Gionata, zrzeszającego rodziców dzieci ze środowisk LGBT. Jedna z matek wyjaśniała, że chcą „tworzyć pomost z Kościołem", aby także „Kościół mógł zmienić spojrzenie na nasze dzieci, nie wykluczając ich, ale przyjmując je w całej pełni".

WOŁANIE

„Do humanitarnej pomocy »na miejscu« tragedii wojen i wypędzenia musi w końcu dołączyć otwarta postawa przyjęcia uchodźców żebrzących o ratunek" – napisał bp Krzysztof Zadarko w apelu Rady Konferencji Episkopatu Polski ds. Migracji, Turystyki i Pielgrzymek po pożarze obozu dla uchodźców na wyspie Lesbos. To kolejny apel do rządzących o utworzenie korytarzy humanitarnych dla ludzi znajdujących się w niebezpieczeństwie.

WRAŻENIE

Metropolita wrocławski na czas remontu Muzeum Archidiecezjalnego wypożyczył Muzeum Narodowemu we Wrocławiu najcenniejsze dzieło z kościelnej kolekcji – „Madonnę pod jodłami" pędzla Łukasza Cranacha Starszego, z 1510 r. „Wierzę, że możliwość spotkania z takim dziełem dostarczy nie tylko wrażeń estetycznych, ale będzie także przeżyciem duchowym" – powiedział abp Józef Kupny.

WIKIPEDIA.ORG

Królestwo piśmiennych

„PISMA BIBLIJNE nie powstały dla nas, żebyśmy mogli je czytać po 2,6 tys. lat. Ci, którzy je kompilowali, chcieli szerzyć przesłanie wśród sobie współczesnych" – powiedział prof. Israel Finkelstein, archeolog z Uniwersytetu w Tel Awiwie, komentując wyniki badań swojego zespołu. Archeolodzy, matematycy i grafolodzy badali teksty odnalezione w forcie Królestwa Judy w Tel Arad z końca VII wieku p.n.e. Analizy wykazały, że 18 tekstów (rozkazy, zamówienia oliwy i mąki itp.) zostało napisanych przez przynajmniej 12 osób. Wniosek: skoro na wysuniętym posterunku tyle osób umiało czytać i pisać, musiała to być w 120-tys. społeczeństwie Królestwa Judy umiejętność powszechna, a przynajmniej zauważalna. Naukowcy spierają się o to, kiedy powstała Księga Powtórzonego Prawa i księgi historyczne Biblii Hebrajskiej. Nowe badania sugerują, że stało się to w czasach Królestwa Judy, przed zniszczeniem Pierwszej Świątyni przez Babilończyków – już wtedy mógł istnieć potencjał dla powstania tych dzieł. ©℗ MaM

Chrześcijaństwo najwyższej próby

DIOCESI DI COMO

DO BAGAŻNIKA szarej pandy pakował codziennie rano dwa termosy i karton bułek. O 7 był już na ulicach Como z kawą, herbatą i kanapkami dla bezdomnych. Wieczorem rozwoził ciepłą kolację. W ciągu dnia załatwiał ich sprawy – zawoził do lekarza, kupował leki. I godzinami rozmawiał. Znał ich wszystkich.

Nie wyglądał na 51 lat – szczupły, drobnej budowy, z gęstymi, czarnymi włosami. Zawsze uśmiechnięty, ale nieśmiały i unikający rozgłosu. W 2008 r., po dziesięciu latach pracy w parafii, poprosił biskupa, by zrobił go opiekunem biednych. We Włoszech takich księży jest wielu. Nie budzą zainteresowania mediów, nie wdają się w politykę. Robią swoje.

15 września ks. Roberto Malgesini (na zdj.) został zamordowany przez bezdomnego imigranta, jednego z podopiecznych, dobrze znanego policji, obawiającego się deportacji i oskarżającego wszystkich o spisek. Śmierć księdza na nowo rozniecila dyskusję o słabości państwa, niekontrolowanym napływie imigrantów, problemach psychicznych i agresji wśród osób zepchniętych na margines społeczeństwa.

Kard. Konrad Krajewski, który przewodniczył mszy pogrzebowej w katedrze w Como, przywiózł od papieża słowa otuchy i różańce dla rodziców, rodzeństwa i współpracowników ks. Roberta. Jeden różaniec miał dla mordercy. ©℗ EDWARD AUGUSTYN

Z Wikipedią na szlaku

JEDNYM Z NAJLEPSZYCH SPOSOBÓW na zwiększenie ruchu turystycznego w małej miejscowości jest aktualizacja odpowiadającego jej hasła w Wikipedii. Nawet niewielka edycja może wnieść do budżetu dodatkowe 100 tys. funtów (prawie pół mln zł) w skali roku – takie wnioski płyną z eksperymentu przeprowadzonego wspólnie przez ekonomistów z turyńskiego Collegio Carlo Alberto oraz Centrum Europejskich Badań Gospodarczych ZEW z Mannheim w Niemczech.

Badacze losowo wybrali miasteczka w Hiszpanii, a następnie rozbudowali ich charakterystykę w Wikipedii, dodając kilka akapitów na temat historii i lokalnych atrakcji. Zamieszczali także atrakcyjne zdjęcia okolicy. Większość treści została szybko przetłumaczona z hiszpańskiej wersji strony na francuski, niemiecki, włoski czy holenderski. Na efekty nie trzeba było długo czekać: liczba turystów zatrzymujących się w miasteczkach z podrasowanym przez ekonomistów opisem wzrosła średnio o 9 proc.

Przeniesiony nad Wisłę eksperyment przydałby się szczególnie województwom mazowieckiemu i małopolskiemu, które w czasie minionych wakacji, jak podał GUS, straciły najwięcej. Odpowiedzią może być reakcja redaktorów encyklopedii, którzy, zorientowawszy się w trwającym eksperymencie, zablokowali możliwość kolejnych edycji zespołowi badaczy, karcąc ich za komercyjne wykorzystywanie strony.

©℗ MONIKA OCHĘDOWSKA
(ZA „THE GUARDIAN"/„INDEPENDENT")

STARWARD INDUSTRIES

GRA WEDŁUG LEMA. Powieść Stanisława Lema „Niezwyciężony" już w przyszłym roku trafi na ekrany komputerów i konsol. Choć założone przez współtwórców słynnego „Wiedźmina" krakowskie studio Starward Industries zapowiadało produkcję kilka miesięcy temu, dopiero z okazji 99. urodzin pisarza poznaliśmy szczegóły przedsięwzięcia i zobaczyliśmy pierwsze obrazy z gry „The Invincible". To historia członka międzygwiezdnej wyprawy badawczej, który podczas samotnego przemierzania pustynnej planety Regis III odkrywa jej przerażające tajemnice. ©℗ MOch

KULTURA W SKRÓCIE

ADAM ROBIŃSKI
został autorem Najlepszej Książki Górskiej Roku 2020 i zdobywcą Grand Prix podczas XXV Festiwalu Górskiego w Lądku Zdroju. „Kiczery. Podróż przez Bieszczady" naszego stałego współpracownika otrzymały także wyróżnienie w kategorii literatura górska-podróżnicza – reportaż. Serdecznie gratulujemy! Najnowszy tekst Adama Robińskiego przeczytają Państwo w dziale „Zmysły".

ALBERT ZAWADA / AG

OLGA TOKARCZUK
podczas odbywającego się w północnych Włoszech festiwalu książki Pordenonelegge odebrała nagrodę „La storia in un romanzo 2020". Zdaniem jury noblistka uczy, że „zmiana jest zawsze szlachetniejsza niż stabilność". Przyznawanym od ponad dekady wyróżnieniem uhonorowano tu dotąd m.in. Swiatłanę Aleksijewicz, Javiera Cercasa czy Umberta Eco.

DURS GRÜNBEIN
odebrał Międzynarodową Nagrodę Literacką im. Zbigniewa Herberta za 2020 r. Ten niemiecki poeta jest także tłumaczem oraz autorem esejów i librett operowych. Polski czytelnik mógł poznać jego twórczość dzięki uhonorowanemu nagrodą Europejski Poeta Wolności tomowi „Mizantrop na Capri. Historie. Wiersze" (przeł. Andrzej Kopacki) oraz zbiorowi esejów „Wulkan i wiersz" (przeł. Jakub Ekier).

Twarzą w twarz z żółwiem

PREFEROWANIE bodźców przypominających twarze – obecne u wielu gatunków, nie tylko ludzi – uznawano dotąd za specyficzną adaptację wspomagającą zacieśnianie więzów niesamodzielnego potomstwa z rodzicami. Badania opublikowane w PNAS właśnie podważyły tę hipotezę.

Żółwie rodzaju *Testudo* wypuszczono na arenę, na której mogły podchodzić do owalnych tarcz przypominających twarze (trzy kropki – odpowiednio oczy i nos) lub do takich, które obrócono o 180 stopni. Żółwie wolały bodźce „twarzopodobne". Jednak osobniki tego gatunku po wykluciu się radzą sobie bez opieki rodzicielskiej oraz nie tworzą grup społecznych – skąd więc u nich zamiłowanie do twarzy? Badacze sugerują, że ten mechanizm nie jest związany z opieką, ale wspomaga zdobywanie informacji (np. o zasobach) od innych organizmów i mógł pojawić się już u wspólnych przodków gadów, ptaków i ssaków. © KATARZYNA DZIADOWICZ

Wenus: misja mini

JUŻ ZA TRZY LATA maleńka, ważąca 3 kg kostka ma wpaść w wenusjańską atmosferę i zbadać intrygujące ślady fosforowodoru (więcej na ich temat w dziale Nauka). Samo tempo przygotowania misji to przełom. Ale większym jest to, kto ją wyśle. Za badania innych planet wziął się sektor prywatny.

„Nie chcemy jednej misji, chcemy wysłać ich wiele" – mówi Peter Beck, szef firmy Rocket Lab. Ale swoją sondę przygotowuje też Breakthrough Initiatives miliardera Jurija Milnera. Obaj współpracują z zespołem Sary Seager z MIT, współautorami odkrycia.

Takie przedsięwzięcia stają się możliwe dzięki postępowi w miniaturyzacji elektroniki, napędzanej przez rynek smartfonów. Sondy powstają szybciej i tanieją. Budżet minimisji nie przekroczy 20 mln dolarów.

Od 1989 r. Wenus była celem zaledwie dwóch misji. W tej chwili na Marsie działa ich sześć, cztery kolejne są w drodze. © WOJCIECH BRZEZIŃSKI

TEMAT TYGODNIKA

PANDEMIA BREDNI

„Nie walczymy jedynie z epidemią. Walczymy z infodemią" – ostrzegał szef WHO. Koronawirus zabił na świecie już prawie milion ludzi. Śmiercionośna dezinformacja dopiero się rozpędza.

TEKST AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI
ILUSTRACJA KASIA KOZAKIEWICZ DLA „TP"

Czego dokładnie domagało się ponad tysiąc osób, które w sobotę 12 września przemaszerowały przez Warszawę? Skrzyknęli się w mediach społecznościowych pod hasłem: „Zakończyć plandemię! Dość kłamstw!". Dla Włocha, który do Warszawy przyjechał specjalnie, by wygłosić odezwę do manifestujących, koronawirus „to nakręcenie systemu kontroli opartego na strachu". Dla Piotra, spawacza z Bełżca, to „spisek międzynarodowych koncernów", a według piosenkarza Ivana Komarenki koronawirus „ma nas zniewolić gospodarczo, a później szczepionkami niewiadomego pochodzenia".

Poglądy wygłaszane na manifestacji w Warszawie dają jednak przedsmak tego, co dopiero przed nami. „Historycznie rzecz biorąc, pandemie zmuszały ludzi, by zrywając z przeszłością wyobra-

żali sobie świat na nowo. Ta pandemia nie jest inna. To portal, brama między jednym światem a drugim" – napisała niedawno słynna indyjska aktywistka i pisarka Arundhati Roy. Co nas więc czeka?

Ogniska infekcji

COVID-19 dodał wiatru w żagle ruchom antyszczepionkowym. Łącząc się w mediach społecznościowych z innymi grupami zwolenników teorii spiskowych, nabierają niebywałej dynamiki. Podobne jak w Warszawie, choć znacznie większe protesty odbyły się już m.in. w Berlinie, Montrealu czy Melbourne. „Opozycja wobec szczepionek może w ciągu najbliższej dekady zdominować w sieci poglądy na ten temat" – ostrzega prof. Neil Johnson z George Washington University, którego zespół przeanalizował strony obserwowane przez 85 mln ludzi na świecie.

W ubiegłym roku organizacja Wellcome Trust we współpracy z Instytutem Gallupa zapytała 140 tys. ludzi w 140 krajach o największe wyzwania zdrowotne. Wówczas 7 proc. ankietowanych deklarowało, że nie zgadza się z twierdzeniem, iż szczepionki są bezpieczne, a 5 proc. twierdziło, że są one nieskuteczne. Autorzy zauważyli, że poziom nieufności jest różny w zależności od kraju: w Bangladeszu, Chinach czy Niemczech było to poniżej 3 proc. ankietowanych, podczas gdy w Peru 15 proc., w Nigerii 16 proc., a we Francji 18 proc. To było jednak przed pandemią.

Nowego sondażu przeprowadzonego tą samą metodą na razie nie ma, a porównywanie wyników badań różnych instytucji może prowadzić do błędnych wniosków. Jeśli jednak zaufać analizie prof. Johnsona, to okazuje się, że przeciwników szczepionek szybko przybywa. Jego zespół zidentyfikował na Facebooku 124 strony proszczepionkowe obserwowane przez 6,9 mln osób, 317 stron antyszczepionkowych, które mają 4,2 mln obserwujących, oraz 885 „stron niezdecydowanych" obserwowanych przez 74,1 mln ludzi. Zwolennicy szczepień powinni więc dominować w sieci, bo jest ich więcej. Okazuje się jednak, że do października 2019 r. to strony antyszczepionkowe szybciej zwiększały zasięgi i coraz mocniej wiązały się ze „stronami niezdecydowanymi".

Termin ten zbiega się z pojawieniem ognisk epidemicznych odry. To, zdaniem badaczy, może oznaczać, że realne zagrożenie chorobą zakaźną, zamiast przekonać do zasadności szczepień, zdecydowanie zwiększyło aktywność ich przeciwników. ↦

↦ „Społeczność proszczepienna w zasadzie trzyma się swojej narracji i rozmawia ze sobą, nie sięgając i nie reagując na wypowiedzi niezdecydowanych" – komentowała w „Nature" Heidi Larson z London School of Hygiene and Tropical Medicine. Ujmując rzecz mniej dyplomatycznie: argumenty zwolenników szczepień wciąż są takie same i utwierdzają się oni nawzajem w swoich przekonaniach, podczas gdy antyszczepionkowcy wychodzą z coraz to nowymi teoriami spiskowymi do coraz to nowych użytkowników. Wzbudzają więcej reakcji, więc ich posty są... faworyzowane przez algorytmy sieci społecznościowych. Ich zasięgi są nieporównanie większe. Bo tak działają media społecznościowe: mają przykuwać uwagę wzbudzając emocje. Na tym przecież zarabiają. To jest ich cel.

Omnikonspiracja

Zespół prof. Johnsona opublikował wyniki badań w maju. Niedługo potem zaczęły się pojawiać publikacje dotyczące sprzężenia, do którego w internecie dochodzi pomiędzy antyszczepionkowcami a zwolennikami innych teorii spiskowych. Badacze już dawno dowiedli, że wiara w jedną z takich teorii ułatwia zaakceptowanie innych. Jednocześnie potężne algorytmy rekomendacyjne działają na ten proces jak turbodoładowanie. „Algorytm odnajduje korelację między użytkownikami przekonanymi, że rząd ukrywa przed nimi jakąś prawdę, ale jaka konkretnie jest to prawda, to już jest zmienne" – komentowała w „MIT Technology Review" Renée DiResta, ekspertka ds. dezinformacji i kierowniczka badań Stanford Internet Observatory.

Taką listą przebojów teorii spiskowych jest QAnon. Początki tego ruchu sięgają tzw. Pizzagate, afery, której wyznawcy byli przekonani, że ówczesna kandydatka na prezydenta USA Hillary Clinton stoi na czele siatki pedofilno-satanistycznych kanibali porywających dzieci. QAnon, niczym mutujący wirus, wymienia się genami z innymi teoriami spiskowymi. I tak, w połowie tego roku do jego „kanonu" weszło podważanie istnienia koronawirusa, a także m.in. przekonanie o nadchodzącej wojnie rasowej, szkodliwości sieci 5G i o tym, że Bill Gates i George Soros w szczepionkach przeciwko COVID-19 chcą nam wszystkim wszczepić mikrochipy. Choć brzmi to jak skrajny absurd, popularność QAnon rośnie i nie chodzi tu tylko o wypisywanie głupot w social mediach – zwolennicy takich rewelacji sięgali też po broń [więcej piszemy o tym na kolejnych stronach w artykule Piotra Tarczyńskiego – red.].

„W ciągu pierwszych miesięcy pandemii wspólnoty o charakterze antyszczepionkowym, religijnym czy promujące alternatywną medycynę całkowicie skupiły się na wpływie COVID-19 i reakcjach rządów na zagrożenie" – twierdzi Erin McAweeney z firmy analitycznej Graphika. „QAnon staje się dla nich teorią omnikonspiracji" – dodaje DiResta, podkreślając, że nie chodzi już wyłącznie o posty na forach dyskusyjnych, ale raczej o szeroki ruch promujący wiele różnych, luźno powiązanych ze sobą idei.

1 sierpnia w Berlinie na antycovidowy marsz przyszło około 20 tys. osób domagających się – jak w Polsce – „prawdy o COVID-19 i wolności". W ostatni weekend wakacji na kolejnej takiej manifestacji było ich prawie dwa razy więcej.

Psychologia dezinformacji

Dlaczego ludzie wierzą w takie bzdury? Odpowiedź nasuwa się sama, ale nie warto jej ufać. Doskonale ujął to amerykański eseista Henry Louis Mencken, pisząc, że „na każdy złożony problem istnieje odpowiedź, która jest jasna, prosta i błędna". Naukowcy zidentyfikowali kilka kluczowych czynników rządzących tym, jak przyswajamy informacje, formułujemy przekonania i je zmieniamy. Żaden nie ma wiele wspólnego z dążeniem do prawdy. Wiemy na przykład, że mamy skłonność do myślenia lub zachowywania się tak, jak członkowie naszej rodziny czy znajomi. Dzięki temu poglądy roznoszą się podobnie jak nawyki (stąd np. skłonność do tycia) czy nałogi (palenie).

Kolejny czynnik wpływający na to, czy przyswajamy daną informację, związany jest z tym, jakie mieliśmy przekonania wcześniej i jakie nowa informacja wywołuje w nas emocje. Weźmy np. następujące fałszywe stwierdzenie: „Ekspert medyczny pracujący dla rządu odkrył związek między szczepionkami a autyzmem, ale rządzący pod wpływem potężnego lobby farmaceutycznego pomogli ukryć tę informację". Taka wiadomość jest strukturalnie spójna. Żeby zademonstrować, jak duże znaczenie ma taka spójność, Valerie Reyna, psycholog z Cornell University w Ithaca i David Broniatowski z George Washington University zebrali 10 tys. tweetów z lat 2014-17 na temat szczepionek. 46 proc. przesyłanych dalej postów zawierało silny, choć fałszywy przekaz dotyczący związku szczepień z autyzmem. Tweety zawierające fakty i statystyki nie rozprzestrzeniły się daleko.

Klucz do tego, jak przyswajamy informacje, tkwi także w emocjach. Ten sam mechanizm, który tłumaczy, dlaczego kupujemy niepotrzebne rzeczy czy wybieramy słabych polityków, wyjaśnia również, dlaczego czasem zwyczajnie chcemy dać się oszukać. Dobrze obrazuje to eksperyment, który przeprowadziła psycholog społeczna Ziva Kunda z Uniwersytetu Hebrajskiego w Jerozolimie. Pokazała grupie badanych artykuł przedstawiający dowody na to, że kofeina może zwiększać ryzyko rozwoju torbieli piersi u kobiet. Większość uznała artykuł za przekonujący. Wyjątek stanowiły kobiety, które piją dużo kawy.

Tak jak lubimy utwierdzać się w przekonaniach, które już mieliśmy, równie często znajdujemy sposoby na odrzucenie dowodów, które nam się nie podobają. „Każda bezpośrednia próba powiedzenia: »Hej, mylisz się, musisz myśleć inaczej« nie działa, bo ludziom się to nie podoba" – stwierdza Stephan Lewandowsky, kierownik katedry psychologii poznawczej na Uniwersytecie w Bristolu. Jego zdaniem korekta, która zaprzecza głęboko zakorzenionej narracji, może z łatwością przynieść odwrotny skutek i sprawić, że ludzie będą trzymać się oryginalnych informacji silniej niż kiedykolwiek.

Opór wobec weryfikacji faktów może stać się szczególnie silny, gdy w grę wchodzi ideologia. Zgodnie z głośną teorią „poznania kulturowego" sformułowaną przez socjologa Dana Kahana z Uniwersytetu Yale – Amerykanie, którzy cenią indywidualizm, swobodę przedsiębiorczości i deregulację, mają tendencje do lekceważenia ryzyka związanego ze zmianami klimatu, nawet jeśli w pełni rozumieją, że nauka mówi zupełnie co innego.

Młodzi odporni

Czy można się jakoś wydobyć z tego błędnego koła? Okazuje się, że tak – bo ludzie w zasadzie wcale nie chcą wysyłać dalej w świat fake newsów. Z badania naukowców z University of Regina i Massachusetts Institute of Technology wynika, że część osób, które rozsyłają fałszywe

twierdzenia na temat COVID-19, robi to dlatego, że po prostu niewystarczająco się zastanawia nad tym, co udostępnia. Jeśli te same osoby przed podzieleniem się informacją dostały komunikat „pomyśl, czy to, czym się dzielisz, jest prawdą", udostępniały fake newsy w mediach społecznościowych rzadziej. Przy czym im dana fałszywa informacja mniej związana była z polityką, tym rzadziej była powielana.

Jest jeszcze jedna dobra informacja wynikająca z badań: im młodsi odbiorcy, tym odporność na internetowe bzdury jest wyższa, podobnie jak chęć weryfikacji faktów w różnych źródłach. Żeby sprawdzić, jak różne grupy wiekowe przetwarzają dezinformację, Eugene Loos i Jordi Nijenhuis z Uniwersytetu Utrechckiego stworzyli stronę, na której zamieścili kilkanaście fałszywych informacji dotyczących polityki. Następnie wykupili na Facebooku reklamy, żeby ich „produkt" dotarł do jak najszerszej liczby odbiorców. Udało się. Na przykład tekst o tym, że Unia Europejska domaga się przeniesienia Big Bena do Brukseli, bo zapłaciła za jego remont, w ciągu zaledwie tygodnia doczekał się 178 komentarzy. W zdecydowanej większości bardzo emocjonalnych. Największy odsetek wśród odbiorców tekstu, bo aż 24,7 proc., stanowiły osoby w wieku 55-64 lat. Wśród reagujących odbiorców nie było jednak zupełnie nikogo z grupy wiekowej do 24 lat, a aż 81 proc. stanowili użytkownicy powyżej 45. roku życia. Badacze ustalili też, że spośród komentujących i przesyłających tekst dalej niecałe 13 proc. w ogóle kliknęło na link i przeczytało coś więcej niż tylko tytuł i lead. A szkoda, bo każda z fałszywek zawierała niepozostawiający wątpliwości akapit informujący o tym, że została wyssana z palca.

Zeszłoroczne badanie prof. Andrew Guessa z Uniwersytetu Princeton wykazało, że to właśnie wiek o wiele bardziej niż przekonania polityczne determinuje podatność na fake newsy. Osoby powyżej 65. roku życia z większą częstotliwością czerpią informacje ze stron z fałszywkami. Przesyłają je dalej aż siedmiokrotnie częściej niż użytkownicy poniżej 29. roku życia.

Dlaczego tak się dzieje? Raczej nie dlatego, żeby z wiekiem ludzie mieli tracić zdolność do klarownego odróżniania prawdy od kłamstwa. W opublikowanym w maju tego roku badaniu Nadia Brashier z Uniwersytetu Harvarda stwierdziła, że starsi ludzie w warunkach laboratoryjnych lepiej niż młodsi odróżniali nagłówki fałszywe od prawdziwych. Problemem może być jednak to, że starsi ludzie w mediach społecznościowych mają węższy krąg znajomych i bardziej ufają tym, których do tego kręgu przyjmują.

Młodzież wydaje się wykazywać o wiele większym sceptycyzmem. Z brytyjskiego raportu Net Children Go Mobile wynika na przykład, że 61 proc. młodych porównuje teksty z różnych źródeł, żeby ustalić wiarygodność informacji.

Antyszczepionkowcy w sieci wzbudzają więcej reakcji, więc ich posty są... faworyzowane przez algorytmy. **Bo tak działają media społecznościowe:** mają przykuwać uwagę, wzbudzając emocje, gdyż na tym właśnie zarabiają.

Gdy rozum śpi

Z sondażu Ipsos przeprowadzonego w 27 krajach wynika, że 74 proc. badanych będzie chciało przyjąć szczepionkę przeciwko COVID-19. W Polsce to jednak zaledwie 56 proc. respondentów i pod tym względem jesteśmy w światowej czołówce – mniej chętnych jest tylko w Rosji (54 proc.). Jakie są powody niechęci? Wśród Polaków, którzy zaznaczyli, że „nie chcą" lub „raczej nie chcą" przyjąć szczepionki, dominują obawy o skutki uboczne (65 proc.). 44 proc. zaznaczyło odpowiedź „nie wierzę w jej skuteczność", a 13 proc., że ryzyko związane z COVID jest niewystarczające. Szczególnie niepokoić może to, że 18 proc. badanych Polaków wskazało, iż z założenia są przeciwnikami szczepień. W 27 krajach ten odsetek wynosi 17 proc.

„Nie walczymy jedynie z epidemią. Walczymy z infodemią" – ostrzegał już w lutym Tedros Adhanom Ghebreyesus, szef Światowej Organizacji Zdrowia (WHO). Podczas tej samej konferencji w Monachium Josep Borrell, szef unijnej dyplomacji, alarmował: „Dezinformacja to igranie z życiem ludzi. Dezinformacja może zabijać". Od tego czasu na COVID-19 zmarło już prawie milion ludzi na świecie. Wiemy, że „infodemia" jest do niego w gruncie rzeczy podobna: też roznosi się drogą wirusową, nie ma na nią do tej pory szczepionki, ale tak samo jak rozprzestrzenianiu koronawirusa można jej zapobiegać, zachowując higienę i zdrowy rozsądek.

A co, jeśli ten ostatni jednak nie zwycięży? Przykład na to, jak rozdystrybuowane szeroko twierdzenia antyszczepionkowców poszły na konfrontację z rzeczywistością, miał już miejsce.

Dwa tygodnie przed tym, kiedy w szpitalach Wuhan zaczęli się pojawiać pierwsi pacjenci z objawami zakażenia nieznanym dotąd koronawirusem, wyspiarskie państewko na Oceanie Spokojnym ogłosiło stan wyjątkowy. Zakazano zgromadzeń publicznych, zamknięto szkoły i uczelnie. Wprowadzono godzinę policyjną, a osobom poniżej 17. roku życia zabroniono wychodzenia z domów. Miało to zapobiec szerzeniu się epidemii. Choroba, na którą zapadały głównie dzieci, początkowo wyglądała jak przeziębienie: stan podgorączkowy, katar, ból gardła, czasem zaczerwienienie oczu. Mało który rodzic zauważał, że w ustach dziecka, na błonie śluzowej tuż przy zębach, pojawiły się małe, białe plamki. Dopiero po kilku dniach choroba uderzała z pełną siłą: bardzo wysoką gorączką, dusznościami, sinicą, przyspieszonym tętnem, apatią, światłowstrętem i wysypką na całym ciele. W ciągu niespełna trzech miesięcy zachorowało 5,6 tys. osób. ↦

↦ Zmarły 83, z czego 76 to dzieci, w większości poniżej czwartego roku życia.

To była odra. Choroba, której na Samoa nie widziano od końca lat 60. Tyle że wtedy ponad 90 proc. mieszkańców wyspy było zaszczepionych. W ciągu kolejnego pół wieku odsetek zaszczepionych spadł do 31 proc. Teraz o życiu i śmierci miało decydować nie tylko zaniedbanie szczepień – także przewodniczący kolektywu hodowców owoców kokosowych Edwin Tamasese.

To on nagłośnił w mediach społecznościowych informację o śmierci dwójki dzieci w lipcu 2018 r., wkrótce po podaniu im szczepionek (wiadomość ta trafiła nawet na fora polskich antyszczepionkowców). Późniejsze śledztwo wykazało, że pielęgniarki zamiast wody użyły do mikstury w zastrzyku środka zwiotczającego mięśnie. Ale informacja o „zabójczych szczepionkach" zdążyła już jednak nakręcić histerię.

Gdy przypadków odry zaczęło lawinowo przybywać, a dzieci umierały, rząd Samoa wraz z wprowadzeniem stanu wyjątkowego zarządził, że szczepienia mają być obowiązkowe. Rodzinom, których członkowie nie byli wcześniej szczepieni, nakazano wywieszenie przed domem czerwonych flag. Choć Tamasese wciąż grzmiał w mediach społecznościowych, że to „największa zbrodnia przeciwko narodowi", a chorym z pewnością pomoże wyciąg z papai oraz witaminy C i A, już nikt go raczej nie słuchał. 34 dni od ogłoszenia stanu wyjątkowego 97 proc. Samoańczyków było zaszczepionych, a przewodniczącego antyszczepionkowego kolektywu aresztowano za „podżeganie do niewykonania nakazu władz", za co grożą dwa lata więzienia.

Z informacji, jakie uzyskaliśmy w samoańskim Ministerstwie Zdrowia, wynika, że w tym roku na wyspie zaraziło się odrą 18 osób. Ostatni taki przypadek zdiagnozowano 13 stycznia. Nie umarł nikt.

© AGATA KAŹMIERSKA I WOJCIECH BRZEZIŃSKI

AUTORZY *są dziennikarzami Polsat News, stale współpracują z „Tygodnikiem". Specjalizują się m.in. w tematyce społecznych i politycznych konsekwencji nowych technologii. Wspólnie napisali książkę „Strefy cyberwojny" (4eM, Warszawa 2018).*

Czytanie QAnonu

PIOTR TARCZYŃSKI

Łączy ich przekonanie, że światem rządzi wszechpotężna kamaryla pedofili-kanibali czczących Szatana, którzy kontrolują media, banki i politykę. Brzmi niepoważnie? Ten ruch to dziś wielkie zagrożenie dla naszej demokracji.

W amerykańskiej kampanii wyborczej 2016 r. sławna stała się tzw. Pizzagate: teoria spiskowa, wedle której piwnica małej pizzerii na przedmieściach Waszyngtonu (niemającej zresztą piwnicy) służyła za centrum przerzutowe dzieci porywanych przez siatkę wysoko postawionych pedofilów, z Hillary Clinton na czele. Sensacyjne informacje szerzyły się w internecie: na Twitterze, Reddicie, a zwłaszcza 4chanie – forum internetowym gromadzącym dotąd głównie fanów mangi i anime. Pizzagate z lubością propagowały też serwisy informacyjne związane ze skrajną prawicą. Do zwolenników teorii należał m.in. generał Michael Flynn, doradca Donalda Trumpa do spraw bezpieczeństwa narodowego, później skądinąd oskarżony o okłamywanie FBI w sprawie swoich kontaktów z Rosjanami.

Karuzela wrażeń, którą rozkręciła prezydentura Trumpa, sprawiła, że o Pizzagate przycichło. Głośniej zrobiło się za to o prawdziwej aferze, jaką była Russiagate – kontakty ludzi Trumpa z Rosjanami, którzy (jak doskonale dziś wiemy) wpłynęli na wynik wyborów prezydenckich w Stanach, szerząc fake newsy. Prezydent zaczął pomstować przeciwko śledztwu prokuratora

SEAN RAYFORD / GETTY IMAGES

Johnson City, Stany Zjednoczone, październik 2018 r.

Muellera w tej sprawie, potem na impeachment, żalił się na Twitterze, że sprawowanie władzy utrudnia mu *deep state*, czyli „państwo w państwie" – urzędnicy mianowani przez „mainstream" (głównie Demokraci, ale i Republikanie), którzy sabotują każdą jego decyzję i nie pozwalają mu „uczynić Ameryki znowu wielką".

Soros? A jakże!

W październiku 2017 r. na 4chanie pojawił się anonimowy „Q". Twierdził, że jest wysoko postawioną osobą w administracji Trumpa, mającą dostęp do tajnych informacji. Zaczął sypać „przeciekami", które wprawdzie nigdy się nie sprawdzały, ale lawinowo zyskiwały na popularności wśród zwolenników „QAnon" – bo tak nazwano ludzi wierzących w to, co pisze Q.

Myślenie spiskowe, przekonanie o mrocznych, ukrytych siłach, pociągających zakulisowo za sznurki to element wspólny wszystkich teorii spiskowych, funkcjonujący na amerykańskiej prawicy od zawsze. W XVIII wieku tropiono Iluminatów, w XIX katolików, w wieku XX głównie komunistów. Do skrajnie prawicowego Stowarzyszenia im. Johna Bircha należały w latach 50. tysiące Amerykanów, przekonanych, że fluoryzacja wody jest częścią planu wywołania w USA fali bezpłodności, by sterowane przez Moskwę ONZ mogło przejąć kontrolę nad Stanami. QAnon gromadzi stare, dobrze znane teorie spiskowe, ale łączy je w nowy sposób, garściami czerpiąc z amerykańskiej popkultury. I rozsiewa je w sieci.

Ruch nie ma jednej, spójnej ideologii, łączą go dwie rzeczy – uwielbienie dla Trumpa oraz przekonanie, że światem rządzi wszechpotężna kamaryla czczących Szatana pedofili-kanibali, którzy kontrolują media, banki i politykę. Zabili Johna F. Kennedy'ego, który chciał ujawnić istnienie spisku, ale dziś walczy z nimi zakulisowo bohaterski prezydent Trump. Porywają dzieci, torturują i wykorzystują seksualnie, żeby na chwilę przed śmiercią niewiniątek z ich krwi pozyskiwać przedłużający życie adrenochrom.

Do spisku należą czołowe postaci Hollywood i Waszyngtonu: Oprah Winfrey, Tom Hanks, Clintonowie, Barack Obama, Bill Gates i – oczywiście – George Soros, ulubiony straszak alt-prawicy na całym świecie. A na dokładkę także papież Franciszek i Dalajlama. Ich rządy terroru dobiegają jednak końca. Kiedy nadejdzie odpowiedni moment, dzień „Burzy", Trump wyda rozkaz: pedosataniści-kanibale zostaną pojmani przez wojsko, wysłani do bazy w Guantanamo i tam straceni, a na świecie znowu zapanuje sprawiedliwość.

Świat do naprawy

Teoria QAnon jest tak surrealistyczna, że media długo postponowały ją jako zabawną dziecinadę. Kto bowiem przejmuje się ludźmi wierzącymi w to, że rządzą nami kosmici albo jaszczuroludzie? Do tego dochodzi sposób, w jaki się szerzy: przez media społecznościowe i internetowe fora. Jakim cudem coś wziętego z anonimowych postów na stronie fanów mangi i anime mogłoby być niebezpieczne? Kto przejmuje się „świrami", którzy używają haseł w rodzaju „Jesteśmy Burzą" albo hasztagu #WWG1WGA, oznaczającego „Where we go one, we go all" („Gdzie idzie jeden, idziemy wszyscy" – to cytat z filmu przygodowego z połowy lat 90., a nie – jak twierdzą QAnonowcy – z przemówienia Kennedy'ego).

QAnon brzmi niepoważnie, więc nie traktowano go poważnie, ale w dzisiejszych czasach to błędne myślenie – kultura internetowa, choć dla mainstreamu często obca, niezrozumiała albo po prostu głupia, jest elementem dzisiejszej polityki, którego nie sposób ignorować. Angela Nagle w książce „Kill All Normies" pokazała, jak sieciowy trolling przyczynił się do radykalizacji młodych mężczyzn i powstania alt-rightu. Wszyscy wiedzą też, jaką rolę w brexicie i wygranej Trumpa odegrały media społecznościowe – na czele z Facebookiem.

To właśnie zmiana sposobu działania algorytmów Facebooka, podjęta po krytyce, jaka spadła na serwis po wyborze Trumpa na prezydenta w 2016 r., przyczyniła się do upowszechnienia QAnon. Nowy algorytm miał kłaść nacisk na „istotne relacje społeczne", łączenie ludzi o podobnych – lub teoretycznie zbliżonych – zainteresowaniach. Ekspert od internetowej radykalizacji, Kevin Roose, autor znakomitego podkastu o pułapkach internetu pt. „Rabbit Hole" (Królicza nora), tłumaczy, że to właśnie za sprawą tej zmiany na QAnon zaczęli natykać się ludzie niezainteresowani polityką, ale np. coachingiem, kryptowalutami, medycyną alternatywną itd., którym Facebook „rekomendował zbliżone treści" w postaci QAnon.

Co prawda Facebook wziął się w ostatnich miesiącach za porządkowanie własnego podwórka, ale mleko już się rozlało. Od wybuchu pandemii widać niepokojący wzrost zainteresowania QAnonem, który idealnie łączy się z teoriami o tym, że żadnej pandemii nie ma albo że COVID-19 to wytwór Billa Gatesa. W ciągu zaledwie kilku ostatnich miesięcy członkostwo w fejsbukowych grupach związanych z QAnonem wzrosło o 700 procent. To zrozumiałe – ludzie siedzieli w domach, zestresowani, przestraszeni, spędzali czas przed ekranami telefonów i komputerów, szukając wyjaśnienia tego, co dzieje się wokół nich. Teoria QAnon – jak każda popularna teoria spiskowa – dała ludziom nadzieję, że świat, skomplikowany, niesprawiedliwy, chaotyczny, da się nie tylko łatwo objaśnić, ale przede wszystkim naprawić.

Zagrożenie terrorystyczne

Eksperci porównują QAnon do sekty – jego zwolennicy czują się wybrańcami mającymi dostęp do tajnej wiedzy, ↦

↦ kolejne anonimowe posty analizują niczym święte księgi, interpretując razem przesyłane im „sygnały”. Jeśli jakaś prognoza się nie sprawdziła, to znaczy, że wiadomość została źle odczytana, a nie że Q się pomylił.

Wciągnięci w QAnon tracą kontakt z rodzinami, spędzają czas *online* w gronie innych „wyznawców”, całymi dniami prowadzą „samodzielne badania”, oglądając filmiki na YouTubie i przeszukując internet w poszukiwaniu „okruchów” prawdy, „czerwonych pigułek” (odniesienie do filmu „Matrix”), które doprowadzą ich – jak Alicję – „w głąb króliczej nory”.

Członkowie ruchu wielbią Trumpa, ale nie mają lidera jako takiego. Anonimowy Q (choć nie ma nawet pewności, że to jedna osoba) nie wydaje poleceń (poza: „myślcie samodzielnie, szukajcie prawdy”), choć w czerwcu tego roku wezwał swoich zwolenników do „złożenia przysięgi” zakończonej słowami „Gdzie idzie jeden, idziemy wszyscy”.

Niektórzy postanawiają wziąć sprawy w swoje ręce – dwa lata temu mężczyzna zablokował ciężarówką wjazd na Tamę Hoovera, domagając się ujawnienia „prawdy”, qanonowcy mają też na koncie kilka zabójstw. Nic dziwnego, że w maju zeszłego roku FBI umieściło QAnon na liście zagrożeń terrorystycznych, razem z innymi „teoriami spiskowymi napędzającymi rodzimych ekstremistów”. Nie tylko zresztą rodzimych, bo QAnon przedostaje się do Europy, gdzie bezproblemowo łączy się z lokalnymi teoriami spiskowymi, ruchami antyglobalistycznymi i antyszczepionkowymi. Na ostatnim berlińskim marszu przeciwko pandemii widać było transparenty z „Q”, a w Polsce rewelacje o zabijaniu dzieci dla adrenochromu powtarzała m.in. Doda (Dorota Rabczewska).

QAnon przestał już być marginesem marginesu, wdziera się do mainstreamu – na zaproszenie Republikanów. W partyjnych prawyborach startowali kandydaci i kandydatki otwarcie przyznający się do wiary w QAnon i w listopadzie około dwadzieścioro z nich zmierzy się z Demokratami. Marjorie Taylor Greene, która startuje w bezpiecznym dla Republikanów okręgu w Georgii, wygraną ma praktycznie w kieszeni i jesienią zostanie wybrana do Izby Reprezentantów. Mimo że, oprócz wiary w QAnon, wyciągnięto jej rasistowskie i antysemickie wypowiedzi, Trump nazwał ją „przyszłą republikańską gwiazdą”. Antysemickie wątki są zresztą ważną częścią składową teorii QAnon, która pełnymi garściami czerpie przecież z „Protokołów Mędrców Syjonu” i opowieści o Żydach zabijających dzieci na macę. Mimo to z powodów koniunkturalnych większość przywódców partii wymownie milczy, zamiast stawić czoła rosnącym w siłę ekstremistom.

Świat w sieci spisków

- Według wewnętrznego raportu Facebooka, cytowanego w sierpniu przez NBC News, do grup zwolenników QAnon należy ponad 3 mln użytkowników.
- W Europie strony związane z QAnon obserwuje 448 tys. ludzi. W samych tylko Niemczech na Facebooku, YouTubie i Telegramie konta powiązane z tym ruchem miały na początku roku 10 tys. obserwujących. Teraz jest ich już prawie 200 tys., a lawinowy wzrost zainteresowania zaczął się wraz z początkiem lockdownu (źródło: NewsGuard). AK, WB

Nadejdzie burza

Schemat ten znamy dobrze z powojennej historii Partii Republikańskiej: przyjmowanie na pokład radykałów spoza głównego nurtu w nadziei na pozyskanie skrajnego elektoratu. Efekt jest jednak zawsze taki sam: radykałowie przejmują kontrolę nad partią, przesuwając ją coraz bardziej w prawo. Tak było z religijnymi konserwatystami w latach 70. i 80.; z Tea Party dziesięć lat temu, ostatnio zaś z trumpizmem. Część republikańskich polityków zapewne liczy na to, że jeśli Trump przegra, QAnon odejdzie w niepamięć i mainstreamowi konserwatyści odzyskają kontrolę nad partią. Ale to nader ryzykowna taktyka.

Już jedna trzecia Republikanów uważa dziś, że teoria spiskowa QAnon jest w większości prawdziwa, zaś prawie jedna czwarta, że jest prawdziwa przynajmniej częściowo. Innymi słowy: znacząca część wyborców Partii Republikańskiej wierzy w to, że prezydent Donald Trump

TYGODNIK POWSZECHNY ▪ **www.TygodnikPowszechny.pl**

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik), Marcin Żyła **Historia**: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Okoński Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Maja Kuczmińska (kierownik), Anna Dziurdzikowska, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz, Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia, Jan Klata, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak, Jacek Taran, Joachim Trenkner
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@tTygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA — S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

Quad Graphics — Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny”

▪ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

▪ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

prowadzi tajną krucjatę przeciwko kamaryli pedofilskich kanibali. Na jego wiecach regularnie widać koszulki i transparenty ze znakiem „Q", słychać też mniej lub bardziej otwarte nawiązania do teorii QAnon.

Zapytany o ruch na konferencji prasowej, Trump powiedział, że to podobno ludzie, którzy „kochają nasz kraj". „Słyszałem, że mówią o mnie miłe rzeczy" – powtórzył. Teorie spiskowe to dla Trumpa nie pierwszyzna – swoją karierę polityczną zaczął przecież od stwierdzenia, że Barack Obama urodził się w Kenii – więc i teraz wykorzystuje poparcie qanonowców. Nie poparł ich oficjalnie, ale regularnie puszcza do nich oko: upublicznia tweety ludzi związanych z ruchem, rzuca aluzje na temat „nadchodzącej burzy". W ostatnim wywiadzie dla telewizji Fox News sugerował, że za Joem Bidenem stoją „bardzo mroczne siły", o których nie może nic więcej powiedzieć. O „państwie w państwie" mówi wprawdzie od dawna, ale teraz narracja ta wpisuje się idealnie w teorię QAnon.

Trump straszy swoich wyborców spiskiem Demokratów, zamierzających „ukraść wybory" poprzez głosowanie korespondencyjne. Sytuacja, w której według exit polls wygrywa Republikanin, ale podliczenie wszystkich głosów pocztowych daje zwycięstwo Demokracie, to scenariusz zupełnie prawdopodobny. Ostatnie wydarzenia w Kenoshy, w Wisconsin (gdzie młodociany zwolennik Trumpa zastrzelił dwóch protestujących) i Portland (gdzie zginął zwolennik prezydenta) mogą okazać się zapowiedzią czegoś znacznie gorszego. Wstrząsana protestami rasowymi, udręczona szalejącą pandemią, rządzona przez człowieka, którego celem nie jest łagodzenie, ale podsycanie konfliktów, Ameryka siedzi na beczce prochu, a niepewny wynik wyborów prezydenckich może się stać brakującą iskrą.

QAnon przedostaje się do Europy.
Na berlińskim marszu przeciwko pandemii widać było transparenty z „Q", a w Polsce rewelacje o zabijaniu dzieci powtarzała m.in. Doda.

Boodżahedini

Na taką sytuację czekają zwolennicy Boogaloo, kolejnego ruchu, który sprawia wrażenie czegoś z kina klasy D – i słusznie, bo tym właśnie jest. „Breakin' 2: Electric Boogaloo" to sequel głupiutkiego filmu o breakdance z lat 80. i w internetowym slangu „boogaloo" upowszechniło się jako synonim absurdalnego, dziwacznego sequelu. W kontekście politycznym ma oznaczać sequel amerykańskiej wojny secesyjnej, kiedy prawdziwi patrioci chwycą za broń i wzniecą powstanie przeciwko opresyjnej władzy, rozpętując przy okazji wojnę rasową.

„Boogaloo bois" czy nawet „boodżahedini" rekrutują się często spośród żołnierzy i weteranów, należą do samozwańczych obywatelskich milicji. Także i oni nie mają spójnych poglądów – łączą ich militaryzm i wrogość wobec rządu. Choć noszą hawajskie koszule i posługują się symbolem igloo – a zatem ich też łatwo zbyć jako zabawną osobliwość – odpowiadają już za śmierć dwójki mundurowych, zastrzelonych w Kalifornii na przełomie maja i czerwca. Dwaj boodżahedini ostrzelali wtedy budynek sądu w Oakland, wykorzystując zamieszanie z powodu protestów przeciwko zabójstwie George'a Floyda. W republikańskiej narracji winę za te morderstwa próbuje się zrzucić na antyrasistowski ruch Black Lives Matter, choć śledztwo wykazało, że winni gromadzili broń i środki wybuchowe, pragnąc rozpętać „Wojnę secesyjną 2".

Dla kogoś przyzwyczajonego do tradycyjnego wizerunku polityki brzmi to wszystko absurdalnie, niczym scenariusz filmu czy komiksu, a nie opis rzeczywistej sytuacji. Nigdy jednak dość przypominania, że w 2016 r. mało kto traktował poważnie gwiazdora reality tv, który postanowił zasiąść w Białym Domu – jak się okazało, niesłusznie, czego skutki widzimy codziennie. Sequelu pt. „Trump 2: QAnon Boogaloo" Ameryka może nie przetrwać. A wtedy pociągnie za sobą resztę świata. Także Polskę.

© PIOTR TARCZYŃSKI

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO"

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny, ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 660 692 101 (w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY

SALESmanago marketing automation

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ*

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	370 zł	450 zł
Półroczna (26 numerów)	220 zł	270 zł
Kwartalna (13 numerów)	120 zł	140 zł
Pokolenia**	333 zł	
Karta Dużej Rodziny***	333 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE" W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM"

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	430 zł	510 zł
Pokolenia** + 4 wydania specjalne	393 zł	
Karta Dużej Rodziny*** + 4 wydania specjalne	393 zł	
4 wydania specjalne	69 zł	

* ważny od 1 grudnia 2019
** z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia
*** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

PAWEŁ

Śpiewak: *Ostatnia próba Abrahama*

Słowo akeda pochodzi od hebrajskiego „związać". Odnosi się do poświęcenia Izaaka na górze Moria. Często też wskazuje na każde zdarzenie, w którym Żydzi w największym niebezpieczeństwie uświęcając imię Pańskie – *kidusz haszem* (uświęcenie imienia) – popełniali samobójstwa, jak w Niemczech w okresie pierwszej krucjaty, lub oddawali życie, jak w czasie ostatniej wielkiej wojny. Jest to jedno z najważniejszych słów w religijnym wokabularzu. Wymawia się je z drżeniem i oddaniem. Nie ma większego poświęcenia niż ofiara życia złożona w imię Boga.

Historia Izaaka i Abrahama jest na ogół dobrze znana, nie trzeba jej przypominać, ale pozostawia czytelnikowi wiele niedomówień. Momentami brzmi zagadkowo. Wtedy wkracza midrasz, hagada, komentarz mędrców i rabinów kolejnych pokoleń. Midraszy przybywa z czasem. Otwierają nas na zaskakujące rozwiązania, ale żadne nie może być sprzeczne z Torą. Ta jest naszą opoką, drzewem życia i źródłem wiedzy pochodzącej od Boga.

Gdy na górze Moria rozlała się już krew baranka ofiarnego, gdy Abraham wysłuchał błogosławieństwa, powrócił do sług swoich i z nimi poszedł do Beer Szeby, dzisiaj miasteczka na północnym skraju pustyni Negew. Uważnego czytelnika uderzyć musi jedno: dlaczego Abraham powraca sam. Nie ma mowy o Izaaku, jakby gdzieś zaplątał się w gęstym krzaku terebintu lub poszedł nieznaną nam drogą. Jest jeszcze coś zastanawiającego. Po *akeda* dowiadujemy się, że umarła Sara. Miała 127 lat. Abraham kupuje od Chetytów jaskinię pogrzebową, a po roku, może dwóch wysyła do ziem rodzinnych świętobliwego służącego Eliezara, by ten znalazł żonę dla syna Izaaka. Dużo się dzieje, ale w żadnej ze scen nie pojawia się syn obietnicy. Nie ma go przy łożu śmiertelnym matki. Nie widać go przy pochówku Sary. Można było oczekiwać, że stanie na pogrzebie przy Abrahamie. Co więc się z nim stało? Czyżby autor opowieści o nim zapomniał? Czy Izaak, zwykle milczący i oddalony od spraw ziemskich, zawsze ojcu posłuszny, nie brał udziału w uroczystościach funeralnych? Pytań jest wiele. Coś jest tu niepokojącego.

Pojawia się dopiero wtedy, gdy Eliezer wraca z Rebeką do namiotów Abrahama. Zobaczyła go na polu, szedł ku niej na spotkanie. Ona zsiadła z wielbłąda. Poprowadził ją do namiotu matki i tam pojął za żonę. „Tak pocieszył się po śmierci matki swojej". Żona jako pocieszenie, a nie radość? Brzmi dziwnie. Jakby nie był w stanie przez dwa, trzy lata odbyć żałoby. Nazywa się to teraz *sziwa* i trwa osiem dni, a potem kolejne miesiące. Jak więc się stało, że ten wrażliwy trzydziestosześcioletni mężczyzna nie stał w godzinach śmierci przy matce? Trzeba wnikliwego egzegety, by śmiało wkroczył w głąb opowieści, i domyśleć długą nieobecność Izaaka. ©

O. WACŁAW

Oszajca: *Nabożny pracoholizm*

Sprawiedliwym człowiekiem w znaczeniu biblijnym jest ten, kto żyje zgodnie z wolą Boga. Ale co to znaczy? Czy np. wystarczy codziennie powtarzać: „bądź wola Twoja", „przyjdź królestwo Twoje", „święć się imię Twoje" albo „Panie całą moją wolność; pamięć, rozum i całą wolę (...), wszystko to zwracam Tobie i całkowicie poddaję panowaniu Twojej woli"?

Z Ewangelii wynika, że postępowanie zgodne z wolą Boga to jednak przede wszystkim sprawa czynów, a nie słów. Taki jest wydźwięk przypowieści o człowieku, który miał dwóch synów i wysyłał ich do pracy w winnicy. Jeden z nich od razu przystał na propozycję ojca, ale do roboty nie poszedł, wszystko skończyło się na słowach. Drugi, choć zapewne i tak był już zapracowany, nie podejmuje od razu nowego zaangażowania, ale po chwili refleksji widzimy go przy robocie.

Jezus tym plastycznym opowiadaniem chciał uprzytomnić wyższym kapłanom i starszym ludu, czyli ówczesnym notablom religijno-politycznym, że żyją złudzeniami co do swojej uczciwości względem Boga, ale i ludzi, gdyż nijak nie da się Boga od ludzi oddzielić. Nie chodzi jednak jedynie o hipokryzję. Wysoko postawieni w hierarchii społeczno-religijnej sądzili, że skoro odpowiadają za dzień dzisiejszy i przyszłość religii i narodu, tym samym posiadają monopol na nieomylne rozeznanie, co jest, a co nie jest zgodne z Bożymi planami. Tym samym osiągnęli skutek przeciwny do oczekiwanego, doprowadzając do śmierci niejednego proroka i samego Jezusa, którzy umieli odczytać z wydarzeń, dokąd i do czego Bóg ich posyła. Wierzyli bowiem, że rzeczywistość jest darem od Boga, wyrazem Jego miłości i czasem wrastania w królestwo Boże. Jednym słowem – ci na swój sposób pobożni i uczciwi przełożeni ludu wpadli w pracoholizm religijny. Zredukowali wiarę do religijnych obrzędów. Tak bardzo kochali Boga, że ludzi kochać już nie potrzebowali. Sprawując kult, zarabiali na wieczność. Podobne nieszczęście może dotknąć całość życia.

Katarzyna Sankowska w rozmowie z Dianą Malinowską mówi: „Sama przez dziesięć lat starałam się udowodnić, że pracoholizm to pozytywne zjawisko. Ale im więcej się nim zajmowałam, tym wyraźniej widziałam, że to bardzo podstępne uzależnienie. Wprawdzie zapewnia prestiż, sukces czy władzę, ale spustoszenia, które przynosi, są porównywalne z tymi wywoływanymi choćby alkoholizmem czy hazardem. (...) Typowe dla pracoholika jest odkładanie życia na później. To może być na przykład odwlekanie decyzji o powiększeniu rodziny, ale też myślenie w sposób: urlop owszem, ale jeszcze nie teraz, bo są ważniejsze sprawy. Dla pracoholików odpoczynek to strata czasu, na urlopie są często poirytowani, sfrustrowani. Ale to wynika właśnie z ich przekonań". ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Widzenie

Cała ziemia
jest Twoją relikwią.

ODY SALOMONA

Grzech przeciw człowiekowi
jest gorszy
niż grzech przeciw Bogu.

SUFJAN SAURI

Wybrał PIOTR SIKORA

„Widzisz tę kobietę?”. Takie pytanie postawił Jezus faryzeuszowi Szymonowi, który zaprosił Go do siebie na posiłek. Chodziło o kobietę, która „prowadziła w mieście życie grzeszne”, a która dowiedziawszy się, że Jezus jest gościem u Szymona, przyszła, stanęła u Jego nóg, zaczęła je obmywać łzami, całować i namaszczać olejkiem (zob. Łk 7, 36-50). Szymon nie odpowiedział. Było dla niego jasne, kim jest owa kobieta. I uważany za „proroka” Jezus powinien był o tym wiedzieć.

Jakże głęboko się mylił! Nie widział całej hojności jej zachowania wobec Jezusa, nie widział – tym bardziej – całej kryjącej się za jej gestami miłości, która zafascynowała Jezusa; nie widział – nie umiał (nie chciał?) się też domyślić jej źródła: tego mianowicie, że skoro aż tak kocha, to musiały jej zostać odpuszczone „liczne grzechy”, [bo] mało miłuje ten, „komu mało wybaczono”.

Jezus widział więc w niej już przeżyte nawrócenie, przemianę życia i myślenia już dokonaną – potrzebował jedynie jeszcze raz ją ogłosić – objawić ją publicznie: „Odpuszczone są Twoje grzechy. (...) Twoja wiara Cię ocaliła. Idź w pokoju!”.

Takie „widzenie” jest nam wszystkim zadane. To jest istotowo widzenie chrześcijańskie: widzenie człowieka w procesie nawrócenia. Widzenie pełne nadziei i szacunku dla drugiego. Jakże ono jest dziś nieoczywiste. Dużo łatwiej jest „widzieć” po Szymonowemu: „grzesznik” to „grzesznik”! Zawsze tak było, jest i będzie! Nie ma się nad czym rozwodzić. „Wszyscy wiedzą, kim on/ona jest...”. Ćwierć wieku temu postąpił tak i tak, zachowywał się nieuczciwie i nieprzyzwoicie. Nie ma się co dzisiaj dopatrywać w nim/w niej czegoś innego. Zresztą po co w ogóle na nią/na niego patrzeć. Czy nie lepiej, żeby w ogóle taka osoba usunęła się z pola naszego widzenia?!

Jakże łatwo można zamknąć oczy nie tylko na człowieka, ale także na niesłychaną moc Bożego działania. Przecież to, co ona robi, wcale nie jest takie oczywiste. To wcale nie jest automatyczny proces: wielka miłość obudzona wielkim przebaczeniem – nawet największym. W przypowieści z 18. rozdziału Ewangelii św. Mateusza poznajemy wszak człowieka, któremu Pan podarował dług liczący 10 tysięcy talentów (setki ton złota lub srebra!). Człowiek ten – z taką hojnością rozgrzeszony – pierwsze, co uczynił po odejściu sprzed pańskiego oblicza, to odszukał współsługę winnego mu 300 denarów, i „zaczął go dusić”, żądając zwrotu. Doznane wybaczenie go jedynie rozzuchwaliło i uczyniło bezwzględnym. Może tak być? Może.

Ona jednak... bardzo umiłowała. Kościele Boży, „widzisz tę kobietę”? Widzisz jeszcze takie osoby? Czy dałeś już sobie narzucić jednowymiarową narrację o człowieku, sprowadzającą go wyłącznie do jego grzechu? Przeszłego grzechu. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (27 IX – 4 X)

26. niedziela zwykła: Ez 18, 25-28; Ps 25; Flp 2, 1-11; Mt 21, 28-32;
Poniedziałek: Hi 1, 6-22; Ps 17; Łk 9, 46-50;
Wtorek: Dn 7, 9-10. 13-14 albo Ap 12, 7-12a; Ps 138; J 1, 47-51;
Środa: Hi 9, 1-12. 14-16; Ps 88; Łk 9, 57-62;
Czwartek: Hi 19, 21-27; Ps 27; Łk 10, 1-12;
Piątek: Wj 23, 20-23; Ps 91; Mt 18, 1-5. 10;
Sobota: Hi 42, 1-3. 5-6. 12-17; Ps 119; Łk 10, 17-24;
27. niedziela zwykła: Iz 5, 1-7; Ps 80; Flp 4, 6-9; Mt 21, 33-43.

PREZES I WOJNA DELFINÓW

Musiał nadejść taki moment, w którym Zbigniew Ziobro powie Jarosławowi Kaczyńskiemu: „nie". Rekonstrukcja rządu zamieniła się w kryzys.

ANDRZEJ STANKIEWICZ

Ci, którzy spotykali się z Jarosławem Kaczyńskim po wyborach prezydenckich, opowiadali, że prezes kreśli dalekosiężne scenariusze polityczne na kolejne lata. Punktem odniesienia był dla niego rok 2023, gdy odbędą się wybory parlamentarne i samorządowe. Kaczyński zastanawiał się, co już teraz może zrobić, by zwiększyć szanse PiS na zwycięstwo. Myślał więc o tym, jakich ludzi obsadzić w kluczowych instytucjach, by nie poszli na współpracę z nową władzą. I jak ich zabezpieczyć, żeby nowa władza nie była w stanie ich usunąć. To okopywanie się Polski PiS, ukształtowanej po 2015 r., brzmi nieco jak kreślenie przez Kaczyńskiego testamentu politycznego.

Nawet jeśli tak nie jest – Kaczyński mimo siedemdziesiątki na karku wciąż trzyma formę – tak to odbierają Mateusz Morawiecki i Zbigniew Ziobro. Obaj od lat marzą o przywództwie na polskiej prawicy. Szli do tego różnymi drogami. Morawiecki dzięki koneksjom politycznym dostał się do banku, zrobił karierę i dorobił się milionów, które otworzyły mu drogę do szczytów władzy. Ziobro to kariera politycznego czeladnika, który dzięki wyrazistości i radykalizmowi przeskakiwał po kilka szczebli w hierarchii.

W ostatnich dniach ten konflikt wszedł w zupełnie nową fazę, stawiając pod znakiem zapytania dalekosiężne plany prezesa. Oto Ziobro odmówił poparcia dla specustawy, zawierającej zapis wyłączający odpowiedzialność urzędników za łamanie prawa podczas działań związanych z pandemią koronawirusa. Ustawy, którą można nazwać „lex Morawiecki". – Wywierali na nas ogromną presję w sprawie przegłosowania bezkarności urzędniczej. Wprost słyszeliśmy, że chodzi o ochronę premiera przed odpowiedzialnością za decyzje w sprawie wyborów korespondencyjnych – mówił mi ważny polityk Solidarnej Polski.

Sygnałem ostrzegawczym dla premiera był wyrok Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego w Warszawie, który uznał decyzje Morawieckiego w sprawie głosowania korespondencyjnego za „wydane bez podstawy prawnej i z rażącym naruszeniem prawa". To tylko podsyca plotki żywe wśród ziobrystów, że Morawiecki realizując zachciankę Kaczyńskiego w postaci wyborów korespondencyjnych dysponował ekspertyzami prawnymi, które przestrzegały, że to naruszenie prawa.

Dla jasności: Ziobro nie jest szczególnie przywiązany ani do ekspertyz prawnych, ani do sądowych wyroków. No chyba że można nimi uderzyć w Morawieckiego.

Atak karbowych prezesa

Decyzja Ziobry wywołała kryzys, jakiego nie było od czasu pamiętnego konfliktu o wybory korespondencyjne. Wtedy, wiosną, Kaczyńskiemu postawił się lider Porozumienia Jarosław Gowin, dziś przyszedł czas na Ziobrę. Kaczyński się wściekł. Co prawda zdjął ustawę o bezkarności z porządku obrad Sejmu, ale jednocześnie odegrał cały teatr, by pokazać, jak bardzo go to ubodło. Sytuację zaogniło to, że ziobryści zagłosowali przeciwko projektowi drugiej ważnej dla Kaczyńskiego ustawy: w sprawie zakazu hodowli zwierząt futerkowych i drastycznego ograniczenia uboju rytualnego. Ta ustawa przeszła, ale tylko dlatego, że poparła ją opozycja z Koalicji Obywatelskiej i Lewicy.

Szef PiS zwołał posiedzenie klubu bez koalicjantów, na którym im wygrażał. A potem wypuścił do mediów swych dyżurnych karbowych – szefa klubu PiS Ryszarda Terleckiego, rzecznika dyscypliny Marka Suskiego, rzeczniczkę PiS Anitę Czerwińską. Ci obwieścili niemal koniec koalicji, zagrozili rządem mniejszościowym albo przyspieszonymi wyborami.

„W tej chwili sytuacja jest taka, że praktycznie koalicja Zjednoczonej Prawicy nie istnieje i konsekwencje tego będą oczywiście, także jeśli chodzi o stanowiska w rządzie" – mówił Terlecki. „Ktoś, kto ma życzliwe spojrzenie dla okrucieństwa wobec zwierząt, nie powinien być ministrem sprawiedliwości. Nasi byli koalicjanci powinni pakować biurka" – groził Suski. A Czerwińska dodawała, że pod uwagę jest brany wariant rządu mniejszościowego.

Ziobro chciał wrócić do PiS

Bezpośrednich przyczyn tego konfliktu – najpoważniejszego w relacjach Ziobry i Kaczyńskiego od początku wspólnych rządów w 2015 r. – należy szukać kilka miesięcy temu. Jeszcze przed wyborami prezydenckimi Ziobro sondował Kaczyńskiego, czy może wrócić do PiS na stanowisko wiceprezesa. Tak było dekadę temu, zanim panowie rozstali się w atmosferze wojny w 2011 r. Powrót dziś miał jeden polityczny sens – Ziobro chciał zwiększyć swoje szanse na przejęcie szyldu PiS. Kaczyński się nie zgodził.

Trudno powiedzieć, co było pierwsze. Czy poczęstowany czarną polewką Ziobro przystąpił do ataku na Morawieckiego, bo uznał, że musi sam sobie wywalczyć władzę? Czy też Morawiecki, czując poparcie Kaczyńskiego, postanowił uderzyć w Ziobrę, by go osłabić przed ostateczną rozgrywką? W każdym razie tuż po wyborach prezydenckich Ziobro i jego ludzie postawili na twardy polityczny kurs w sprawach światopoglądowych i ustawili się w kontrze do polityki europejskiej Morawieckiego. To była świadoma gra na budowanie własnej pozycji kosztem PiS.

Z kolei Morawiecki przekonał Kaczyńskiego, że w rządzie potrzebna jest rewolucja, polegająca na konsolidacji resortów. Hasła są oczywiście szczytne: usprawnienie działania rządu. Ale tak się składa, że głównym celem rekonstrukcji było wzmocnienie premiera i jego kancelarii oraz odebranie części stanowisk koalicjantom. W praktyce chodziło przede wszystkim o Ziobrę.

Bo to nie jest zwykła rekonstrukcja. W głębszym politycznym sensie to starcie, które może przesądzić o kształcie polskiej polityki na lata.

Plan Morawieckiego

W tej grze o przyszłość koalicji, rekonstrukcję i władzę na prawicy jest kilka zasadniczych figur. Pierwszą jest rzecz jasna Morawiecki. Choć premier jest już w PiS od 5 lat, to wciąż jego autorytet w partii opiera się głównie na wysokich notowaniach u Kaczyńskiego.

Oczywiście, stara się budować swe wpływy, wciągając do rządu i w jego okolice technokratów i kupując poparcie partyjnych koterii stanowiskami. Wciąż jednak, jak na szefa rządu, Morawiecki ma słabą pozycję w partii. Jeśli się liczy w rozgrywce o przywództwo, to tylko z woli Kaczyńskiego. Gdyby parlamentarzyści i działacze PiS mieli na to wpływ, Morawiecki nie miałby dużych szans. Wciąż traktowany jest jak ciało obce, wypominane mu są wieloletnie zażyłe związki z Platformą w czasach Donalda Tuska.

W tym sensie rekonstrukcja stanowi próbę wykorzystania przez Morawieckiego dostępu do ucha Kaczyńskiego, ↦

Mateusz Morawiecki i Zbigniew Ziobro w Sejmie, styczeń 2019 r.

ANDRZEJ HULIMKA / FORUM

↦ by się wzmocnić i osłabić konkurencję. Morawiecki lansował pomysł zmniejszenia liczby resortów z 20 do maksymalnie 14-15, chcąc w ten sposób odebrać koalicjantom po jednym (mieli po dwa). Każdy resort to stanowiska i wpływy w pokrewnych instytucjach. W ten sposób Ziobro stracić miał Ministerstwo Środowiska, którym zarządza jego protegowany Michał Woś – a to furtka do posad i pieniędzy Lasów Państwowych.

Morawiecki wylobbował już sobie u Kaczyńskiego posadę wiceprezesa PiS, którą otrzyma na listopadowym kongresie partii. To mu da ważny przyczółek partyjnej władzy, widowiskowy dowód na to, że jego akcje rosną, że typowany jest na delfina i że w związku z tym warto na niego stawiać, myśląc o karierze w PiS.

Opozycja wewnątrzpartyjna wobec Morawieckiego jest silna. Premiera zwalczają była szefowa rządu Beata Szydło i prezes TVP Jacek Kurski, jest mu także niechętna spora część starej gwardii, wywodzącej się z Porozumienia Centrum – choćby europoseł Joachim Brudziński i jego ludzie, którzy kontrolują struktury. Ta opozycja jest jednak zbieraniną, którą poza niechęcią do Morawieckiego niewiele łączy. A na pewno nie ma w niej wyrazistego lidera, na którego wszyscy by grali. Szydło pała żądzą rewanżu, bo Morawiecki zdołał ją odesłać do politycznego archiwum. Ludzie PC nie uważają Morawieckiego za dobrego następcę Kaczyńskiego – Brudziński chciałby się liczyć w tej grze.

Najbrutalniejsze jest jednak starcie na linii Kurski–Morawiecki. Kurski atakuje Morawieckiego korzystając z anten TVP, bo wie, że premier próbował i próbuje się go pozbyć. Szef TVP skarży się zaprzyjaźnionym politykom PiS, że to Morawiecki inspirował publikacje o zarzutach wobec jego syna dotyczących przestępstw seksualnych. Dowodem ma być to, że ojciec dziewczyny, która stawia te zarzuty, pracuje w spółce skarbu państwa i po publicznych atakach na Kurskich włos mu z głowy nie spadł. Szef TVP jest też przekonany, że służby prześwietlają innych członków jego rodziny. Bo służby, zwłaszcza ABW, grają – jak wierzy – na Morawieckiego.

Ta doraźna, taktyczna opozycja przeciw Morawieckiemu nie kwestionuje autorytetu Kaczyńskiego. To ludzie lojalni wobec prezesa, mimo że wielu z nich prezes nieraz upokorzył – czego pozbawiona premierostwa i zapomniana dziś Szydło najlepszym przykładem. Oni po prostu nie godzą się na to, by sukcesorem został Morawiecki. W tym sensie ich sojusznikiem jest Zbigniew Ziobro, który ma identyczny interes.

Doraźna, taktyczna opozycja przeciw Morawieckiemu nie kwestionuje autorytetu Kaczyńskiego. To ludzie lojalni wobec prezesa po prostu nie godzą się na to, by sukcesorem został obecny premier.

Drugi atak Ziobry

Ziobro to druga po Morawieckim zasadnicza figura na tej szachownicy interesów wewnątrz Zjednoczonej Prawicy. Lider Solidarnej Polski odrobił lekcję sprzed niemal dekady, gdy przegrał pojedynek o przywództwo na prawicy. Gdy w 2011 r. sprowokował wyrzucenie z PiS, krytykując kolejną porażkę Kaczyńskiego w wyborach parlamentarnych, liczył na szybki zmierzch prezesa. Nic takiego nie nastąpiło – to Solidarna Polska okazała się niewypałem i w 2014 r. Ziobro musiał na nowo ucałować prezesowski sygnet, by prosić o miejsca na listach wyborczych dla siebie i swych ludzi.

Zabrakło mu charyzmy, programowego powabu i wiernych ludzi, których Kaczyński nie byłby w stanie wyłuskać. Od powrotu do PiS pracuje nad tym wszystkim. I dziś ma program – wyrazisty, konserwatywny, na prawo od PiS: wojna z LGBT, wojna z Unią Europejską, całkowity zakaz aborcji, żadnych lewackich bajań o ochronie zwierząt. Wszystkie te kwestie podsycał w ostatnich tygodniach po to, by podbierać PiS prawicowych wyborców i kwestionować polityczną wiarygodność Morawieckiego, który jest bardziej liberalny.

Ziobro ma też nowych ludzi – podklubik 19 posłów i 2 senatorów w klubie Zjednoczonej Prawicy, bez których PiS nie ma większości. – Zdecydowana większość jest z nami na dobre i złe – przekonuje bliski współpracownik Ziobry. – Wyłowiliśmy ich w dalszych szeregach PiS, daliśmy im dobre stanowiska i pewne miejsca na listach. Gdyby doszło do tąpnięcia i Morawiecki przekonał Kaczyńskiego do wyrzucenia nas z koalicji, odejdą z nami prawie wszyscy.

Taka pozycja polityczna Ziobry stawia Kaczyńskiego i Morawieckiego w trudnej sytuacji.

Partii Gowina nie ma

O ile za Ziobrą stoją karne zastępy politycznych spartan, to Jarosław Gowin – kolejna figura na szachownicy – liże rany. Wiosną sprzeciwił się lansowanym wyborom korespondencyjnym, w efekcie konfliktu odszedł z rządu. Kaczyński próbował korumpować i podzielić jego partię – i częściowo mu się to udało. Z liczącego 18 posłów i 2 senatorów Porozumienia za Gowinem stanął mniej więcej co drugi. Partia została więc skłócona i rozbita, ale nie aż tak, by przeforsować korespondencyjne wybory przy sprzeciwie Gowina i wiernych mu ludzi. Dlatego Kaczyński zagryzł zęby i zgodził się na przesunięcie wyborów oraz zorganizowanie ich w trybie stacjonarnym.

Gowinowi zdrady nie zapomniał i nigdy nie zapomni. Ale Kaczyński zawsze był i jest pragmatykiem, bo umie liczyć. W obecnym Sejmie ma niewielkie pole manewru i dlatego w ostatnim czasie na nowo układał się z Gowinem, godząc się na jego powrót do rządu. „Z jednej strony byłoby to pożyteczne, bo zamknęłoby pewien niedobry etap – mówi Kaczyński o powrocie Gowina do rządu w wywiadzie dla „Sieci". – Ale z drugiej dla ludzi mniej wyrobionych politycznie byłoby to trudne do przyjęcia. W naszym klubie reakcje na to byłyby złe. W oczach wielu w maju przekroczył granicę, której nikt nie powinien przekraczać".

Tą granicą jest rzecz jasna posłuszeństwo wobec woli Kaczyńskiego w kluczowych kwestiach. Ta sama nuta, choć wyartykułowana o wiele dosadniej, wybrzmiewa w słowach odźwiernych prezesa teraz, po buncie Ziobry.

Po wiosennej wolcie Gowina i operacji PiS można powiedzieć jedno: Porozumienie okazało się partią papierową, sztucznym tworem ludzi, którym nie wypada być bezpośrednio w PiS. Ale gdy przyszło do poważnego konfliktu, to dla połowy Kaczyński, a nie Gowin, okazał się liderem pierwszego wyboru. Choć Gowin przekonuje dziś, że na nowo dogadał

się nawet z tymi, którzy wiosną go zdradzili, to jednak lojalności takich ludzi jak Adam Bielan, Kamil Bortniczuk czy Zbigniew Gryglas pewien być nie może. Po konflikcie wokół majowych wyborów zostawiła go nawet wieloletnia współpracowniczka, wiceszefowa Porozumienia Jadwiga Emilewicz.

Teraz Gowin nie jest na pierwszej linii strzału. Stoi z boku, obserwując pojedynek Kaczyńskiego z Ziobrą (jego partia wstrzymała się od głosu w głosowaniu nad ochroną zwierząt, za wyjątkiem Emilewicz, która zagłosowała wedle woli Kaczyńskiego). Z jednej strony Gowinowi politycznie blisko do Morawieckiego. Ale z drugiej zdaje sobie sprawę, że dziś Ziobro – poza strategicznym pojedynkiem o przywództwo na prawicy – walczy także o podmiotową pozycję koalicjantów PiS. Strategicznie jest więc Gowin przy Morawieckim, ale taktycznie – przy Ziobrze.

Spisek na przyszłość

Wśród tych w obozie władzy, którzy – jak Ziobro – walczą z Mateuszem Morawieckim, popularna jest taka oto teoria. Otóż Morawiecki gra na przejęcie PiS po to, by pod rękę z PSL zbudować nową formację centroprawicową, odsuwając twardogłowych z PiS i wypychając za burtę Ziobrę.

Teoria nieco spiskowa, choć jednocześnie atrakcyjnie brzmiąca, bo mocno osadzona w politycznej rzeczywistości. Na pewno i Morawiecki, i Gowin utrzymują kontakty z szefem ludowców Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem. Premier – co potwierdzałoby teorie spiskowców – negocjował z PSL zastąpienie w koalicji partii Ziobry. Oferta była kompleksowa: stanowiska w rządzie, potężnych agencjach rolnych z oddziałami w całej Polsce, a do tego dołączenie ludowców do koalicji z PiS w sejmikach wojewódzkich, co oznacza dodatkowe stołki w regionach.

Rozmowy zakończyły się jednak fiaskiem. Przeciw aliansowi jest szef PSL Władysław Kosiniak-Kamysz i młode kierownictwo partii. Za zwolennika współpracy z PiS uważany jest były minister rolnictwa Marek Sawicki, no i spora część partyjnych dołów, które od 5 lat nie mogą liczyć na frukta władzy. Kaczyński ujawnił publicznie negocjacje z PSL, co wskazuje na to, że sam nie wierzy, by współpraca była możliwa. Straszenie ludowcami to w tej sytuacji element jego nacisku na koalicjantów, zwłaszcza Ziobrę.

Kompromis w sprawie rekonstrukcji rządu był już praktycznie gotowy – to ustawa o bezkarności urzędniczej doprowadziła do wrzenia, a stosunek do zwierząt stał się efektowną linią podziału.

Wszystkie partie w klinczu

W tej chwili sytuacja wygląda tak: Kaczyński wściekły na Ziobrę używa wszelkich metod, by go zmusić do uległości. Pal licho nieszczęsną ustawę o bezkarności. Większy kłopot Kaczyńskiego jest taki, że od wyborów sejmowych minął niespełna rok, a już obaj koalicjanci doprowadzili do kryzysów, kwestionując jego decyzje. Miały być lata sielanki, bo kolejne wybory dopiero w 2023 r., a okazuje się, że potężne kłopoty przyszły z wewnątrz koalicji.

Właśnie o wymuszenie podporządkowania na wzór poprzedniej kadencji tu chodzi. Bo – co przyznają zgodnie politycy z każdej strony w nieformalnych rozmowach – wszystkie partie koalicji są w klinczu. PiS jest silny, ale nie ma samodzielnej większości. Rząd mniejszościowy? Wolne żarty, zwłaszcza jeśli ma się ambicję zasadniczej przebudowy państwa. Przyspieszone wybory? Wszak właśnie ustawą prozwierzęcą Kaczyński zraził sobie potężną część polskiej wsi, swą polityczną bazę. W dodatku podzielony jest sam PiS: choć prezes gwałcił sumienia swych posłów, wprowadzając nakaz głosowania za ochroną zwierząt, i tak spora grupka go nie posłuchała. Musiał za karę zawiesić 15 posłów, w tym byłego ministra środowiska Henryka Kowalczyka i obecnego ministra rolnictwa Krzysztofa Ardanowskiego.

I przed, i po głosowaniu Ardanowski kwestionował decyzje Kaczyńskiego. „Wprowadzenie kontrowersyjnej ustawy krótko po wyborach, w których polska wieś przesądziła o wyborze Andrzeja Dudy na stanowisko prezydenta RP (81 proc. poparcia wśród rolników), a pół roku wcześniej o wygraniu wyborów parlamentarnych przez Zjednoczoną Prawicę (71 proc. poparcia wśród rolników) wywoła bardzo poważne konsekwencje polityczne" – napisał w liście do kolegów z PiS. „Zdaniem rolników PiS zdradza wieś, przestaje być jej obrońcą, a deklaracje składane przez najważniejszych polityków przed wyborami były tylko hasłami propagandowymi i elementem walki o elektorat wiejski. Straty wizerunkowe Prawa i Sprawiedliwości będą trwałe i bardzo trudne do odwrócenia, niemożliwe do zrekompensowania jakimikolwiek środkami przed następnymi wyborami".

Ale koalicjanci też nie są w szczęśliwej sytuacji. Usunięcie z rządu oznacza stratę posad i pieniędzy, których i tak nie mają za wiele, bo Kaczyński nie dzieli się z nimi państwowymi subwencjami (podczas negocjacji rekonstrukcyjnych gotów był się zobowiązać do dotowania Solidarnej Polski i Porozumienia). Przyspieszone wybory partia Ziobry może by z trudem przetrwała, prześlizgując się przez próg wyborczy, ale ugrupowanie Gowina nie ma na to szans. Alternatywny rząd z opozycją? Wolne żarty. Ziobro z Platformą i SLD?

Podczas koalicyjnych narad u Kaczyńskiego nieraz doszło do starcia Ziobry z Morawieckim, ale te kłótnie udawało się rozładować. Kompromis w sprawie rekonstrukcji był już praktycznie gotowy – to ustawa o bezkarności doprowadziła do wrzenia, a stosunek do zwierząt stał się efektowną linią podziału. Wciąż jednak większość polityków Zjednoczonej Prawicy zakłada kompromis, oparty na honorowych ustępstwach każdej ze stron. Problemem są emocje, bo w tej wojnie nerwów ktoś może powiedzieć parę słów za dużo lub podjąć zbyt ryzykowne decyzje, które doprowadzą do rozpadu koalicji.

Postacią kluczową jest rzecz jasna Kaczyński. Prezes PiS może jeszcze korzystając ze swej władzy doraźnie sklecić koalicję, by przeprowadzić rekonstrukcję gabinetu i jakoś rządzić do 2023 r. Ale w dłuższej perspektywie Kaczyński, lat 71, konfliktu o rząd dusz na prawicy nie jest już w stanie opanować.

© ANDRZEJ STANKIEWICZ

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „TP".

KAROL MAKURAT / REPORTER

Droga ekspresowa w okolicach Kościerzyny, luty 2020 r.

Smutek drajwera

MARIUSZ SEPIOŁO

Przemęczeni, wiecznie niewyspani, koczujący w zamkniętych kabinach. Oto polscy kierowcy zawodowi.

Szymon marzy o tym, żeby prawda o polskim transporcie rozlała się jak paliwo z rozbitej cysterny na trasie S10. Odszukuje mnie na Facebooku i pisze:

„Kiedy danego dnia miałem 10 dostaw, wracałem do domu po 6-7 godzinach jazdy, jeszcze godzina na rozładunek auta i fajrant. Razem z załadunkiem, który też robiłem sam, miałem 11-12 godzin pracy. Gorzej, kiedy dostaw miałem 20. Koledzy zaczęli mnie pouczać, jak to robią, żeby zdążyć. Zasada pierwsza: nie przestrzegać zasad ruchu drogowego. Ograniczenia prędkości, zakazy wjazdu, drogi jednokierunkowe nie istnieją. My jesteśmy zaopatrzenie, olej to! Nie należy też robić dłuższych przerw na potrzeby fizjologiczne, bo to strata czasu. Wystarczy się zatrzymać w dowolnym miejscu, włączyć światła awaryjne i wysikać się do jakiejś plastikowej butelki albo reklamówki. Na pace. Tej samej, na której w większości są produkty żywnościowe. Nie ma butelki? Weź jakąś z koszyka od klienta i wylej zawartość. Klient, jak się doliczy braku jednej sztuki, to najwyżej zgłosi reklamację, że czegoś brakowało”.

Dziad-trans

Po drogach wojewódzkich, krajowych, ekspresowych i autostradach jeżdżą przemęczeni, wiecznie niewyspani ludzie, wyczerpani dwudniowym postojem, zimnymi prysznicami na stacjach paliw, rozłąką z rodziną, nieuczciwym szefem. A często jadący na podwójnym gazie. Szymon swoją wiadomość kończy tak: „Po naszych ulicach nie tylko kierowcy autobusów jeżdżą w stanie »po zażyciu«. Ci z zaopatrzenia jeżdżą w dodatku bardzo szybko”.

Daniel, kierowca z pięcioletnim doświadczeniem, jeździ z pasji, nie z przymusu. Ojciec był kierowcą, wujek też. Jego też od zawsze fascynowały ciężarówki. Uważa, że praca w „krajówce” – w transporcie na terenie Polski – jest jak kara, nie jak zawód.

– Auta leciwe, w firmach brakuje zaplecza, nawet zwykłych toalet przenośnych. Kierowca traktowany jest jak zło konieczne. Spedycja o wszystko robi awantury. Załadunki trwają godzinami, przewoźnicy zmuszają do manipulacji czasem pracy. Oczywiście nie w każdej firmie, jest coraz więcej normalnych przewoźników, ale tzw. „dziad-transów” nie brakuje. Podobnie zresztą jak „dziad-kierowców”, którym żal 5 zł na prysznic, bo „weekend w domu, to co się będę kąpał”.

Daniel mówi dalej, że o „dziad-transach” – firmach, które tnąc koszty stwarzają najgorsze warunki pracy dla kierowcy – można napisać książkę, nie tylko artykuł.

– Chińskie opony, uciekające powietrze z układu, bo żal pieniędzy na naprawę usterek, jazda „na magnesie”. W każdym samochodzie jest impulsator, który przekazuje impuls między

tachografem a skrzynią biegów. Jeśli stoję, to tachograf jest ustawiony na tzw. łóżeczku, co oznacza pauzę. Jeśli jadę, wyświetla się symbol koła, jeśli wykonuję inną pracę (np. załadunek), widać tzw. młotki. Jeśli trzeba nadgonić czas i kilometry, to do impulsatora przykłada się magnes neodymowy, który zakłóca działanie tachografu i mimo że jadę, to wyświetla się łóżeczko. Najczęściej jest tak w firmach, które płacą od przejechanego kilometra.

Kwestia kwitów

Daniel często czyta, że kierowcy zarabiają „nawet" 8-10 tys. złotych. W jego przypadku to żaden pieniądz. Dlaczego? Trzeba utrzymać dwa domy – jeden prawdziwy, drugi ten na kółkach.

– Za coś w trasie muszę żyć, jakiś mandat można złapać. Na krajówce zarabia się 4,5-6 tys. zł. To przykre, że w Niemczech, robiąc taką samą robotę, zarabia się 2,5 tys. euro. U nas za 1,4 tys. jeździmy starymi autami, po dziurach, bo co prawda nasze drogi są coraz lepsze, ale daleko im do zachodnich autostrad. Jestem w trasie 23, 24 dni w miesiącu. Zarabiam 5500 zł. Na 24 dni to około 230 zł dniówki, czyli nawet nie 10 zł na godzinę. Więcej zarabia ochroniarz na bramie.

Daniela bolą stereotypy o kierowcach. – Opinia o nas wzięła się najprawdopodobniej od starych szoferów, którzy zęby zjedli na transporcie. Kiedyś kierowca był „panem", spał w hotelu, żył jak król. Nie każdy mógł nim być, dziś to tylko kwestia zrobienia kwitów i można śmigać, poznawać świat. Stąd też awantury. Młodzi nie lubią starych, bo ci wywyższają się, gdzie to nie byli, czego nie robili, uważają się za bogów.

Mateusz zaczynał od pracy w busie jako kurier. Kilka lat później przerzucił się na ciężkie wozy u międzynarodowego przewoźnika. To była jedna z gorszych firm w jego regionie, ale takie były czasy: nikt nie przyjmował ludzi bez doświadczenia. Mateusz je miał.

– Pierwszą trasę zrobiłem z człowiekiem, który nie trzeźwiał – wspomina. – Trasa zaczynała się w Pile, załadunek papieru w drukarni. Potem trzy miejsca rozładunku – jedno w Niemczech, dwa we Francji. Ponieważ mój kolega ciągle pił, sam musiałem pokonać trasę oraz wszelkie przeciwności, auto bez Toll Collect [system pobierania opłat drogowych w Niemczech – przyp. red.], wykupywanie autostrady we Francji, wyszukiwanie adresu, drogi itd. Zostałem rzucony na głęboką wodę.

Bo jadę do rodziny

Daria jeździ zaledwie od pół roku, ale ma wrażenie, że ten świat poznała na wylot. Zaczynała, jak twierdzi, przez zupełny przypadek. Miała 17 lat, pojechała na wycieczkę klasową autokarem, na granicy ze Słowacją wycieczka miała przerwę. – Wyszłam zaspana z autokaru i zobaczyłam ciężarówki na parkingu – opowiada. – Od razu się zakochałam.

Zaraz po maturze zrobiła prawo jazdy. Po pół roku za kółkiem przyznaje: – W wielu miejscach jesteśmy traktowani nie jak ludzie, a jak zwierzęta.

Daniel: – Awantury są co chwilę. Czasami robią je nam inni kierowcy, czasami magazynierzy. Każdy wymaga, żeby kierowca był na czas, a potem się dziwią, że chodzi wkurzony. Ale jak ma się czuć, gdy nie ma dostępu do rzeczy zabezpieczających podstawowe prawa człowieka.

Krzysiek to doświadczony kierowca. Pracował w „krajówce" i na międzynarodowych trasach. – Zawsze brakuje czasu – opowiada. – Spedycja mówi: „Jedź szybciej, bo tam na ciebie czekają, produkcja stanie, będą kary, jak się spóźnisz". A jak się dojeżdża na miejsce, to odbiorca nie wie, co i po co przywieźliśmy albo że towar jest zaawizowany na następny dzień i nie ma mowy o wcześniejszym rozładunku.

Do tego problem znajomości przepisów w różnych krajach i problem z miejscami parkingowymi. Kierowca, który według normy ma czas jazdy do trzeciej w nocy, jadąc przez Niemcy nie wie, kiedy zatrzymać się na parking. Zjedzie o pierwszej i znajdzie miejsce – źle, bo spedycja wyliczyła jazdę na maksa i będzie spóźnienie. Na konto firmy. A co za tym idzie – noty obciążeniowe. Będzie jechał dłużej i nie znajdzie wolnego miejsca? Dostanie karę. I co najważniejsze: załadunek. Jeśli się spóźnia, nigdy nie ma winnego. Ale na rozładunek kierowca musi dojechać w terminie ze zlecenia.

Daniel: – Uwaga, ciekawostka: zjeżdżając z Berlina do Gdańska (550 km), mogę jechać bez względu na godziny, bo zjeżdżam zza granicy. Z Bielska-Białej do Gdańska jest niecałe 600 kilometrów i nie mogę, bo wykonuję transport krajowy. W czym jesteśmy gorsi? Inspekcja Transportu Drogowego tylko czeka, by zatrzymać kogoś do kontroli. W tym roku taryfikator mandatów przewiduje 2000 zł, czyli 2/5 wypłaty. Dlaczego? Bo jadę do domu do rodziny? Nasz rząd (i wszystkie poprzednie) głosi, że rodzina to podstawa. Więc dlaczego, pytam, zabrania się nam zjechać do dzieci, żony, do domu?

W dzień się nie wyśpisz

Szymon: – Dowiedziałem się od kolegów kierowców, że owszem, zarabia się w firmie tyle, ile obiecują, ale pod warunkiem, że jeździsz na dwie zmiany. To możliwe, można się umówić z dyspozytorem, żeby ci ustawił zmianę po zmianie, tak by się łączyły czasowo. Część osób z tego korzystała. Na pytanie, jak to wytrzymują, padała zawsze ta sama odpowiedź: to nie jest praca na długo. Góra 2-3 lata, by trochę się odkuć i szukać czegoś innego. Doraźnie pomaga amfetamina.

Daria: – Czasami w nocy naprawdę chce się spać i nic już nie pomaga. W takich chwilach po prostu staję, żeby się zdrzemnąć. Chociaż pół godziny. Bo ze zmęczeniem w nocy po prostu się nie wygra. Jest szczególnie ciężko, kiedy jest upał, a muszę spać w dzień i jechać w nocy. Jestem wtedy bardzo zmęczona, bo w wysokich temperaturach człowiek się nie wysypia.

Bartosz, kierowca z kilkuletnim stażem: – Największym powodem przemęczenia kierowcy jest krótki odpoczynek dzienny. Pauza 9-11 godzin to bardzo mało. Zanim kierowca stanie, zrobi sobie coś do jedzenia i położy się spać, zostanie 6-7 godzin snu. Ciężko jest zwłaszcza latem, w upały kabina ciężarówki to po prostu sauna. Ciężarówka nagrzewa się przez cały dzień, wieczorem człowiek idzie spać i znowu się męczy.

Bo szef kazał

Bartosz kilka razy w życiu zasnął za kierownicą. Miał szczęście: nic złego się nie stało. – Ale właśnie w taki sposób można zabić siebie lub inne osoby – mówi. – W moim przypadku powodem był brak snu. Pauzy kręciłem w dzień, w upalne dni. Można odpalić auto, żeby klimatyzacja chodziła, ale za to grozi mandat.

Daniel przyznaje, że w branży zdarzają się przypadki kierowców, którzy próbują przechytrzyć tachograf. A w ten sposób ominąć przepisy i zasady higieny pracy. – Jazda na drugiej karcie pożyczonej od kolegi albo szefa to oszustwo – mówi. – Jeśli zdarzy się wypadek nie z naszej winy, ↦

↦ to i tak jest nasza wina. Bo oszukaliśmy. Nas w tym miejscu po prostu nie powinno być.

Czy i jemu zdarzało się jechać, kiedy nie powinien, ale „szef kazał”? – Oczywiście – odpowiada Daniel. – Wtedy byłem kawalerem, miałem parcie na pieniądze. Za takie wybryki w mojej firmie lepiej płacili. Z Finlandii do Polski „na strzał”. Dziś wiem, że to głupota. Mam cudowną żonę, dzieci, nie chcę ryzykować dla kilku złotych więcej.

Rzeczywistość parkingowa

– Największą udręką tej pracy jest rozłąka, każdy dzień bez rodziny to dzień stracony – mówi Szymon. – Oczywiście są telefony, internet. Ale to nie zastępuje obecności w domu. Wiem, że czasem synowi brakuje ojca, mnie brakuje każdego dnia całej rodziny. Ale gdy pomyślę, że miałbym wrócić do patologii, jaka dzieje się w transporcie krajowym, to dziękuję. Teraz nie ma mnie w domu maksymalnie 13 dni, wracam na 7. W tym zawodzie to najlepsza z możliwych opcji.

Dla młodej singielki Darii też najgorsza jest rozłąka. Samotność. Nie ma chłopaka ani dzieci, więc nie jest jej tak trudno, jak innym. – Relacje z przyjaciółmi się rozpływają, z większością nie mam kontaktu. Zostaje telefon, bardzo dużo rozmawiam. O wszystkim. Takie zwykłe rozmowy, ale dzięki nim naprawdę jest mi łatwiej.

Do tego „rzeczywistość parkingowa”. – Staram się stawać na parkingach ze stacją, z prysznicem, ale nie zawsze jest taka możliwość – mówi Daria. – Dlatego zawsze mam ze sobą prysznic turystyczny, w razie czego kąpię się na naczepie. Zdecydowana większość kierowców zamyka się na całe weekendy, nawet nie wychodzi z kabiny. To wpływa na psychikę. Siedzą sami, piją. To jest rzeczywistość, o której się nie mówi. I nie ma w tym w sumie nic dziwnego, jakoś muszą odreagować.

– „100 proc. pasji, reszta to praca” – takie motto mam w samochodzie powieszone na szafce, codziennie sobie o tym przypominam – mówi Daniel. – Chociaż obrażają mnie, wyzywają w internecie od brudasów i śmierdzieli, to jest moja pasja. Tylko dlatego dalej jeżdżę. © MARIUSZ SEPIOŁO

Imiona niektórych kierowców zmieniłem.

Dziecięcy mózg w sieci

ŁUKASZ WOJTASIK, EKSPERT DS. BEZPIECZEŃSTWA W INTERNECIE:

My, dorośli, powinniśmy skończyć z lokowaniem „cyfrowych zagrożeń” wyłącznie w życiu dzieci. I zacząć patrzeć na siebie.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Najpierw opowiedzmy o filmie.

ŁUKASZ WOJTASIK: Mama, tata i dziecko. Ono zamiast głowy ma dużą makietę mózgu. W pierwszej scenie widzimy rozłożoną na podłodze kolejkę – dziecko zaprasza tatę do zabawy. Ale ten odmawia – jest zajęty pracą.

Siedzi przy laptopie.

I dlatego, chcąc zyskać czas, daje dziecku tablet. Urządzenie się włącza, na ekranie pojawia się uśmiechnięta buźka, a mózg dziecka reaguje zainteresowaniem – widzimy, jak się podświetla. Zwłaszcza że to pierwszy kontakt tego młodego człowieka z tabletem – reaguje zadowoleniem na dźwiękowe i wizualne bodźce.

Jedna z kolejnych scen: dziecko z mamą przy grze planszowej.

Tyle że mama podczas tej gry zagląda w ekran telefonu. Widać, że nie ma kontaktu z dzieckiem, które – po tym, jak w pierwszym odruchu się tego kontaktu domagało – sięga znowu po tablet.

I wreszcie – co za ulga – przestaje się domagać.

Bo jego mózg dostał satysfakcjonujące bodźce. W kolejnych scenach widzimy dziecko w coraz to nowych odsłonach z ekranem. W jednej są nawet wszyscy razem, tyle że ono patrzy w tablet, rodzice oglądają film w telewizorze. W innej jadą samochodem – dziecko znowu z tabletem.

Wieczorem pojawia się scena agresji.

Mama prosi o odłożenie tabletu, a kiedy nie przynosi to skutku, zabiera dziecku urządzenie z ręki, na co ono reaguje rozwaleniem klocków na stoliku obok i ucieka do swojego pokoju, trzaskając za sobą drzwiami. Dalej widzimy, że dziecko leży w łóżku. Mama kładzie się przy nim, próbuje nawiązać kontakt, potem się przytulają i rozmawiają. Wcześniej – podczas kolejnych wirtualnych aktywności – mózg podświetlał się na czerwono. Teraz, w reakcji na rozmowę, dotyk, również się aktywizuje – świeci się na żółto.

Kolejna scena, pewnie nazajutrz: śniadanie, wszystkie telefony i laptopy odłożone. A potem dziecko prosi rodziców o udostępnienie tableta, wskazując na zegarek.

A więc zostały już ustalone zasady. Dziecko dostaje urządzenie, po czym mamy scenę kolejną: rodzic pokazuje, że skończył się czas. I scena ostatnia: dziecko nie reaguje od razu, wyraźnie musi coś skończyć, ale po chwili odkłada tablet i wszyscy idą razem na spacer z psem.

Banalna historia z banalnym morałem. Ktoś mógłby nawet powiedzieć, że niepotrzebny ten film – przecież wszyscy wszystko na ten temat wiemy. Ale w tym filmie – zwłaszcza w czasie epidemii – odnajdą się setki tysięcy rodziców i ich dzieci.

To część przygotowanej przez Fundację Dajemy Dzieciom Siłę kampanii „Zadbaj o dziecięcy mózg”. Posługujemy się uproszczonym przekazem, jak w reklamie, jednak faktycznie z ogromu reakcji i komentarzy widzimy, że poruszyliśmy ważny i bliski większości z nas problem. Zależało nam na pokazaniu, że nadmiar ekranów to problem i sprawa całej rodziny. Że zachowania naszych dzieci są najczęściej wypadkową naszych zachowań, a do prawdziwej zmiany potrzeba refleksji i zmiany u wszystkich domowników.

Ale ekrany to nie samo zło: także komunikacja, rozwój, edukacja.

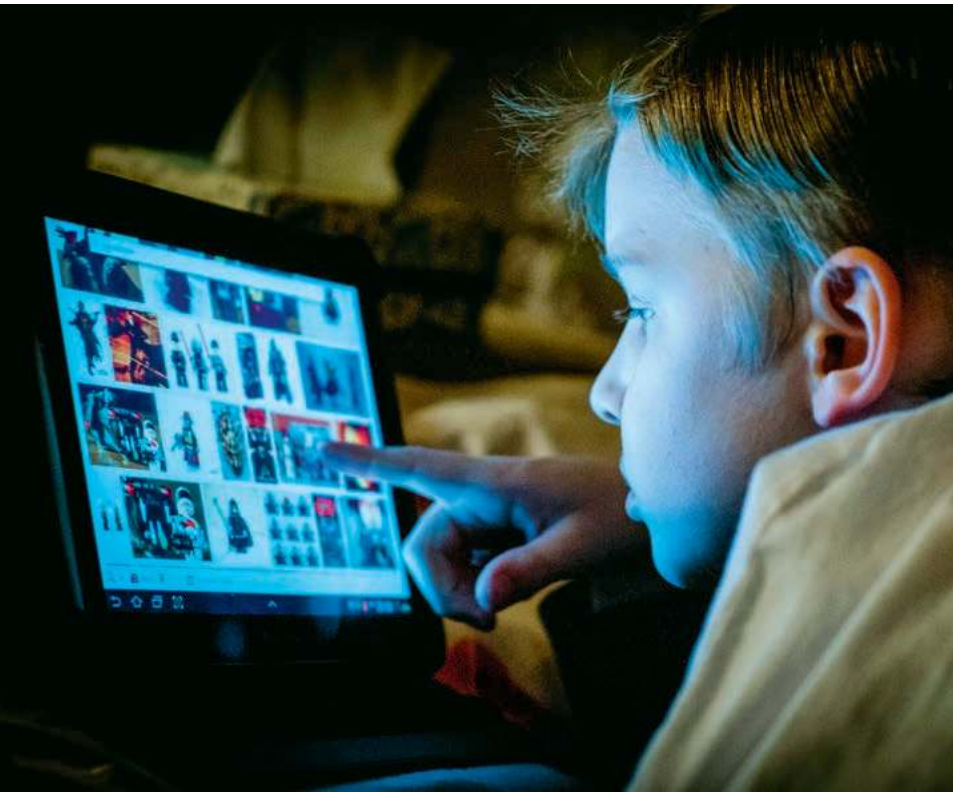

BARTŁOMIEJ KUDOWICZ / FORUM

Oczywiście: ważne, byśmy widzieli zarówno pozytywne, jak i negatywne skutki oddziaływania urządzeń ekranowych. Zalecamy przyjrzenie się potrzebom wszystkich domowników i zadbanie o nie, jednak z zachowaniem umiaru. Nie może być tak – jak we wspomnianym filmie – że udostępniamy dziecku tablet czy smartfon dla zyskania tzw. świętego spokoju. To prosta droga do problemu. Musimy unikać przebodźcowania cyfrowego naszych dzieci i zrozumieć, że kluczem do prawidłowego rozwoju jest relacja. Przy czym nie wystarczy, że jesteśmy obok siebie. Chodzi o czas, kiedy jesteśmy uważni, skoncentrowani na kontakcie.

Apelujecie o ustalanie domowych zasad ekranowych.

Ustaliliśmy katalog zasad. Punktem wyjścia było dla nas dobro i prawidłowy rozwój dzieci, ale takie regulacje powinny dotyczyć wszystkich domowników. Zachęcamy, by takim ustaleniom towarzyszyła rozmowa. Zastanówmy się wspólnie, jaką rolę pełnią w naszym domu ekrany, jak intensywnie z nich korzystamy, i co warto by zmienić.

Proszę o konkrety.

Dzieci w wieku przedszkolnymi i wczesnoszkolnym nie powinny spędzać przed ekranem dłużej niż godzinę dziennie, starsze dłużej niż dwie godziny, zaś w przypadku nastolatków mówi się nawet o 4 godzinach, przy czym ważne, by przedmiotem ustaleń był nie tylko czas, ale i treści, z jakich korzystają dzieci. Sami też powinniśmy się ograniczać i umawiać na takie sytuacje, kiedy nie korzystamy z ekranów. Chodzi np. o wspólne posiłki, spacery czy inne rodzinne rytuały, w których możemy pobyć ze sobą.

Zwłaszcza że w pandemii czas pracy nam się „rozlewa", wzmacniając dodatkowo uwiązanie do komunikatorów typu WhatsApp. One nam sygnalizują „ważne sprawy" o siódmej rano i 22.

Warto się zastanowić, czy np. faktycznie musimy na wiadomość z komunikatora lub maila odpowiadać od razu, i czy na pewno o każdej porze. Dodatkowo, jeżeli chcemy, by zasady naprawdę działały, to nie możemy ich łamać. Przestrzegając nasze dzieci przed uzależnieniem od ekranów, będziemy mało wiarygodni, jeśli siedzimy non stop przed laptopem albo odpowiadamy na esemesy podczas obiadu.

Wasze badania sprzed kilku lat pokazują, że 43 procent – uwaga – rocznych i dwuletnich dzieci używa ekranów. To nie pomyłka?

Nie, to nie pomyłka. Badania były prowadzone na reprezentatywnej próbie rodziców. Co więcej, blisko połowa z tych dzieci korzysta z ekranów intensywnie, czyli ponad godzinę dziennie! Specjaliści zwracają uwagę, że dzieci w takim wieku używają nowych technologii nieświadomie, nie czerpią z tego prawdziwej satysfakcji. Dla mózgu dziecka ekrany są atrakcyjne, pobudzają tzw. układ nagrody, ale nie wiąże się z tym nic dobrego. Za to wiele złego – z zaburzeniem rozwoju i ryzykiem uzależnienia włącznie.

Czy istnieje jakiś wiekowy próg, poniżej którego używanie ekranów jest bezwarunkowo szkodliwe?

Zgodnie z rekomendacjami WHO i Amerykańskiego Stowarzyszenia Pediatrów ta granica to dwa lata. Przy czym nie znaczy to, że po ukończeniu drugiego roku życia zagrożenia znikają. W dalszym ciągu nadmierne i niekontrolowane korzystanie z ekranów jest niebezpieczne dla rozwoju i zdrowia. Jeżeli więc tablet, to w towarzystwie rodziców, tylko odpowiednie treści i krótkie sesje, po kilkanaście minut czy maksymalnie pół godziny. Niekoniecznie codziennie i jedynie jako dodatek. Mózg małego dziecka potrzebuje do rozwoju doświadczania świata wszystkimi zmysłami – w kontakcie z rodzicami i innymi bliskimi.

Pewnie największy problem jest z zasadami dla nastolatków.

W przypadku tej grupy powinny już działać wcześniej ustalone i wyrobione nawyki i kompetencje. Trochę późno na pierwszą rozmowę o zagrożeniach i zasadach. Ale nawet jakby tak miało być, to na pewno warto rozmawiać. Przy czym pamiętajmy, że zasady zmieniają się z wiekiem dziecka, więc ważne, by przyglądać się zmieniającym potrzebom i modyfikować reguły. Kontrola czasu w przypadku nastolatków jest ważna, ale trudna, bo jak zliczać każde sięgniecie po telefon? Nie bałbym się też odstępstw od reguł: jeśli 15-latek nam powie, że w najbliższy piątek ma turniej w Fortnite'a [internetowa gra wideo – red.], i że zasady zakładają półtoragodzinne uczestnictwo, podczas gdy my ustaliliśmy limit gier na godzinę dziennie, warto te reguły wyjątkowo uchylić.

Generalnie zaś łatwiej zadbać o równowagę i umiar, pilnując sytuacji, co do których umówiliśmy się, że są wolne od ↦

↦ ekranów – np. wspólne posiłki, spotkania rodzinne, zajęcia ruchowe albo czas bezpośrednio przed snem i po przebudzeniu.

A co z edukacją? Znam szkoły – i to renomowane – które nakazują uczniom oddanie aparatu w progu szkoły. Ta zasada ma też krytyków: w dobie internetu – mówią oni – to absurd, bo telefon powinien dziecku służyć do nowoczesnej edukacji.

Jestem gdzieś pomiędzy tymi skrajnymi podejściami. Jeśli telefony są w szkole dostępne bez żadnych ograniczeń, zaburzają relacje. Ale tu znowu wracamy do świata dorosłych – wiele zależy od tego, co oni mają do zaoferowania. Jeśli na przerwach można pograć w ping-ponga, jeżeli są specjalne pomieszczenia, gdzie można spędzić czas w ciszy albo z kimś porozmawiać, to łatwiej jest rezygnować z ekranów.

A jeśli idzie o sam proces edukacji, to warto zadać sobie pytanie: czy w programy tych szkół, które decydują się dać dzieciom wolność w korzystaniu z telefonów, są faktycznie wpisane np. umiejętności cyfrowe, zdolności wyszukiwania i przetwarzania informacji? Jeśli tak jest, to bardzo dobrze. Ale jeśli na lekcji o Marii Skłodowskiej-Curie jedynym uzasadnieniem posiadania telefonów jest znalezienie informacji z jej życiorysu, to nie jest ono dla mnie wystarczające. Z kolei jeżeli damy zadanie: „Wykorzystując informacje z internetu, wykaż wpływ odkryć Skłodowskiej-Curie na nasze życie", to internet może nam się przydać do czegoś twórczego. Innymi słowy, ekrany w edukacji – jak najbardziej, ale to do nas, dorosłych, nauczycieli należy wymyślenie koncepcji, jak te ekrany mogą się przydać z korzyścią, a nie ze szkodą dla dzieci. I odwrotnie: jeśli szkoła decyduje się pozbawić dzieci urządzeń na czas trwania nauki, to do niej należy stworzenie uczniom przestrzeni tak, by się nie nudziły.

> Nie warto narzekać, wspominając w kółko czasy trzepaków, tylko dostrzec, że czasy się zmieniły, **że dzisiaj życie dzieci toczy się również w sieci.**

Bo w gruncie rzeczy bardzo często podstawowym problemem nie są same ekrany, ale próżnia, która powstaje w życiu dziecka – w domu czy szkole. Dzieci coraz rzadziej się odwiedzają, coraz rzadziej spotykają się na podwórku. Dziś trudniej jest zorganizować im czas, co nie znaczy, że „stare" potrzeby zniknęły. To od nas zależy, czy i jak zostaną zaspokojone.

A czy rozmawiając o ekranach, nie wpadamy w pokoleniową pułapkę, odruchowo dzieląc świat na ten dobry, offline, i ten drugi – zły?

Często tak bywa, dlatego nie warto narzekać, wspominając w kółko czasy trzepaków, kiedy dzieci zajmowały się same sobą, tylko zobaczyć, że czasy się zmieniły, że dzisiaj ich życie toczy się również w sieci. Musimy być tego ciekawi, zadawać pytania, rozmawiać i dostrzec, co w tym wszystkim jest takiego wciągającego – co może dziecko wspierać, a co może mu zaszkodzić. Ekrany dają dostęp do wiedzy, edukacji, rozrywki. Mogą pozytywnie wpływać na rozwój i regulowanie emocji. Dzieci odnoszą tam sukcesy, są w czymś dobre. Nie może być oczywiście tak, że ekrany są głównym punktem odniesienia dla dzieci, które głównie w sieci zaspokajają swoje potrzeby – ale przy zachowaniu równowagi jest na nie miejsce. Mogliśmy to wyraźnie zobaczyć podczas lockdownu – dzieci były ze sobą w kontakcie właśnie dzięki ekranom. Moje dziecko grało w sieci w Fortnite'a z kolegami, więc mimo izolacji wspólnie się bawili, współpracowali, a do tego, obok typowych komentarzy typu: „Uważaj, z prawej!", pojawiały się też pytania w rodzaju: „Jak u ciebie Wielkanoc?".

Panu jako rodzicowi zapaliła się kiedyś czerwona lampka?

Mimo że staram się dbać o higienę cyfrową i czas z dziećmi jest dla mnie ważny, to przyłapywałem się nieraz na tym, że za dużo czasu spędzam w sieci. Prawdziwą zmianę przyniosła kiedyś uwaga moich dzieci, że chciałyby, abym przez godzinę po powrocie z pracy miał czas wyłącznie dla nich. Ustaliliśmy to jako zasadę. Do tego umówiliśmy się, że nie zaglądam do telefonu podczas wspólnych spacerów. I nie robię tego faktycznie, nawet w sytuacji, gdy wiem, że na moim ekranie może pojawić się coś ważnego. Przy okazji takich rozmów ustaliliśmy też konkretne zasady dotyczące korzystania z ekranów przez dzieci, i to naprawdę działa!

Podstawą jest wyjaśnienie sobie tego, że to dla naszego wspólnego dobra i zdrowia. Że wprowadzamy ograniczenia, bo się nawzajem kochamy, bo jesteśmy dla siebie ważni. Takie podejście będzie zawsze lepsze niż komunikat: „Nie, bo nie".

©℗ Rozmawiał
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

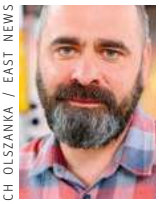

WOJCIECH OLSZANKA / EAST NEWS

ŁUKASZ WOJTASIK jest ekspertem ds. bezpieczeństwa dzieci i młodzieży w internecie. Członek zarządu Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę, koordynator programu „Dziecko w Sieci".

POŻEGNANIE

Jarosławowi Potaszowi

wyrazy głębokiego współczucia w związku ze śmiercią Ojca

Ś.†P.

inż. Wiesława Potasza

Przyjaciele z „Tygodnika Powszechnego"

ANNA

Dziewit-Meller: *Ludzie z Facebooka*

To już prawie cztery lata, odkąd wylogowałam się z Facebooka, usuwając z telefonu niebieską ikonkę, a służbowe fanpejdże prowadzę z aplikacji umożliwiających prace nad nimi bez konieczności czytania tego, co na swoje walle wrzucają inni. Ale czasem, rzadko, bardzo rzadko zdarza mi się ulec pokusie i zajrzeć, co też tam przerzucają sobie moje banieczki. Wchodzę zazwyczaj będąc zwabioną tam przez kogoś, kto mówi: „nie uwierzysz, musisz to zobaczyć na własne oczy!".

Tak było i tym razem, gdy – z trudem przypominając sobie hasło dostępu – weszłam i moje oczy poraziła kolejna wielopiętrowa chryja uruchomiona przez liczne najlepsze umysły mego pokolenia, zażarcie obrażające siebie nawzajem, zarzucające sobie klasizm, uprzedzenia, wyższościowe podejście itd. (ja zaś mam po tej lekturze myśl, że niezależnie od tego, czyja była racja w tym konkretnym sporze, mizoginia w wielu „naszych" kręgach trzyma się naprawdę mocno! No, naprawdę – *la femme, cherchez la femme*!). I znów, wciskając „wyloguj", miałam poczucie, że czasem lepiej zobaczyć przypadkiem czyjś goły tyłek, niż poczytać, co pisze w postach na Facebooku.

A działo się to w dniu, w którym o FB właśnie dużo sobie rozmyślałam, pędząc na spotkanie autorskie w Łodzi i słuchając po drodze podkastu z Shoshaną Zuboff, autorką nieprzetłumaczonej niestety na polski książki „The Age of Surveillance Capitalism". Zuboff, która od lat bada świat sieci, jest zapewne jedną z najbardziej znienawidzonych w Dolinie Krzemowej postaci, Wernyhorą i Kasandrą, upartą i rzeczową prorokinią, która wieszczy ludności całego świata: „pobudka – idziemy w fatalnym kierunku!". W telegraficznym skrócie idzie o to, że żyjemy w erze kapitalizmu inwigilacji, gdzie bezcennym surowcem nie jest już węgiel ni ropa, lecz ślad, jaki zostawia nasza aktywność w sieci. Wyścig dziś trwa o to, kto znajdzie najbardziej efektywny sposób jego zdobywania. Produktem zaś jest w tym układzie projektowanie naszych pragnień i przyszłych zachowań.

W kapitalizmie inwigilacji – jak twierdzi Zuboff – nie idzie już przede wszystkim o pozyskanie danych, by potem dostosowywać do nich ofertę reklamy czy sprzedaży, lecz o modelowanie na ich podstawie naszych zachowań, tak by dały się przewidywać w przyszłości. Projektując nasze oczekiwania (przez co stają się one po prostu nie nasze), rynek zachowuje się coraz bardziej jak pasterski pies zaganiający nas, niczym głupie owce, w wybrane przez siebie miejsca na kapitalistycznym pastwisku.

„Wiesz, co jest największą przeszkodą dla kapitalizmu inwigilacji?" – pyta nagle prowadzącego podkast Shoshana Zuboff, a mnie w tym momencie na głośnomówiącym włącza się sygnał telefonu. Odbieram niechętnie, kto wie, może ze szkoły dzwonią albo z przedszkola. Lecz po swoim uprzejmym „halo" rzuconym w przestrzeń słyszę, że oto nie będzie ze mną nikt gadał, bo „mówi Cleo. Posłuchaj mojego nowego singla przed oficjalną premierą" – i zalewa mnie krew. Natychmiast się rozłączam, wściekła na operatora, że tak bezczelnie szafuje moimi danymi, i słyszę, jak uruchomiona ponownie Shoshana udziela odpowiedzi: „Największą przeszkodą jest wolna wola, czyli sedno demokracji. Dlatego – powiada – kapitalizm inwigilacji zagraża jej istnieniu. Ludzie obdarzeni wolną wolą są nieprzewidywalni w swoich wyborach, nie da się ze stuprocentową pewnością podsuwać im ni oferty reklamowej, ni rozwiązań politycznych, zawsze mogą się dzięki swej wolnej woli wymknąć planowi, jaki ktoś na nich ma. Modelowanie zaś ich przekonań, projektowanie ich przyszłych pragnień, co próbuje się realizować poprzez social media, jest zabieraniem ludziom przyszłości, o której mogą zdecydować wedle swego uznania. To śmiertelnie niebezpieczne dla procesów demokratycznych na świecie, jak pokazał choćby skandal wokół Cambridge Analitica".

Zuboff w jednym z ostatnich rozdziałów swojej książki zwraca się do młodych ludzi – tych, jak lubimy ich nazywać, „cyfrowych tubylców" – punkt po punkcie wyjaśniając im, że „nie jest okej fakt, że korzystając z sieci zmuszeni jesteśmy oddawać części siebie". Najgorsze, co możemy w tych okolicznościach sobie zrobić, to myśleć, że prywatność jest wyłącznie prywatną kwestią, powiada Zuboff. Musimy się zmobilizować i działać wspólnie, by się chronić, tak jak sto lat temu zaczęli to czynić robotnicy, łącząc się w nielegalne przecież początkowo związki zawodowe. „Wrzucaj kamienie, syp piasek w te żarna! – namawia. – Wkładaj kij w te szprychy! To nie jest okej, że każdy nasz ruch, nasza emocja i przeżycie jest katalogowane i manipulowane, a potem wykorzystane dla pożytku kogoś zupełnie innego!".

Słuchając tego, co mówi Shoshana Zuboff, mam właściwie jedną podstawową refleksję: drodzy znajomi z Facebooka, których nieprawdopodobnie zażarte walki na argumenty możemy śledzić z zapartym (ze zdumienia!) tchem – wkładacie kije w całkowicie złe szprychy. Zamiast karmić lewiatana naszą energią, inteligencją, emocjami, powinniśmy chyba wspólnie rzucać kamienie w żarna tego młyna zwanego kapitalizmem inwigilacji. A dopiero potem w siebie. ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem **powszech.net/wspieram**

faniMani.pl

PRAWIE TEMPLARIUSZE

Chcą, by dziejowej sprawiedliwości stało się zadość. Zlikwidowany przed wiekami zakon powinien się odrodzić. Decyzja po stronie Watykanu.

MACIEJ MÜLLER

Po rocznym nowicjacie u Katolickich Templariuszy Włoch trzeba przez trzy dni pościć, modlić się i medytować. Jeśli kandydat zostanie uznany za godnego, wielki mistrz nada mu pierwszy stopień: giermka (następne to żołnierz i rycerz). We Włoszech mają już 150 placówek, a kolejne stowarzyszenia mnożą się w Anglii, we Francji, w USA czy Kanadzie. „Jesteśmy stowarzyszeniem wiernych zorganizowanym wewnętrznie jak zakon rycerski – mówią o sobie. – Inspiruje nas dyscyplina i duchowość średniowiecznych rycerzy".

Chodzą w długich białych płaszczach z czerwonymi krzyżami, spotykają się na nabożeństwach i medytacjach. Chcą być modlitewną przeciwwagą dla rosnących w siłę – jak mówią – sekt satanistycznych. Wspierają księży w restaurowaniu i przywracaniu do chwały starych kościołów. Nazwa „templariusze" obliguje do strzeżenia świętych miejsc chrześcijaństwa – tłumaczą. Jednocześnie podkreślają, by nie nazywać ich kontynuatorami średniowiecznego zakonu. Sprawa jest delikatna: w 1312 r. zlikwidował go przecież sam papież.

Lokalni biskupi umożliwiają współczesnym templariuszom działanie na podstawie kanonu 215 prawa kanonicznego, który mówi, że „wierni mają prawo swobodnego zakładania stowarzyszeń i kierowania nimi dla celów miłości lub pobożności albo dla ożywiania chrześcijańskiego powołania w świecie, a także odbywania zebrań dla wspólnego osiągnięcia tych celów". Rycerze oczekują jednak od Watykanu oficjalnego uznania jako stowarzyszenie międzynarodowe. Temu służą rozmowy z sekretarzem stanu kard. Pietro Parolinem.

WIKIPEDIA.ORG

Wielki mistrz Jakub de Molay na XIX-wiecznej rycinie, Bibliothèque Nationale de France.

Z prawej: spotkanie współczesnych templariuszy w klasztorze w Tomar, Portugalia, 23 marca 2013 r.

„Słuchał nas z uwagą i sympatią. Zapewnił, że Kościół będzie musiał znaleźć sposób na rozwiązanie naszych problemów". Tak Daniele Borderi, sekretarz generalny Katolickich Templariuszy Włoch, opisał niedawną audiencję u kardynała.

Fakt, że w rozmowach z Parolinem podpierają się tzw. dokumentem z Chinon, zdaje się sugerować, że ich marzenia sięgają znacznie dalej. A mówiąc o sprawiedliwości dziejowej, mają na myśli rehabilitację i odtworzenie jednego z trzech najważniejszych zakonów rycerskich.

12 września włoscy templariusze weszli procesyjnie (nie po raz pierwszy) na teren Watykanu. Z Piazza Cavalleggeri przemaszerowali do kościoła św. Anny, stamtąd ulicami Rzymu do kościoła św. Alfonsa, gdzie odbyła się uroczysta msza. Wygląda to na przychylność Stolicy Apostolskiej.

PAULO CUNHA / EPA / PAP

Pergamin

„Nie wierzyłam własnym oczom. O tym dokumencie mówiło się jak o czymś z dziedziny fantazji. Tymczasem miałam przed sobą autentyczny zwój, zaopatrzony w oryginalne pieczęcie kardynałów". Podczas kwerendy w Tajnym Archiwum Watykańskim we wrześniu 2001 r. paleografka Barbara Frale odkryła legendarny dokument z Chinon z 1308 r. Przyczyna jego zagubienia była trywialna: pergamin źle skatalogowano. Skutki odkrycia poważne: trzeba było na nowo opisać dzieje procesu templariuszy.

Z dokumentu wynikało, że powołana przez Klemensa V komisja przyjęła wyjaśnienia przesłuchiwanych dostojników zakonu, iż stawiane im zarzuty homoseksualizmu i bałwochwalstwa wynikały ze złej interpretacji zakonnych rytuałów. W pluciu na krzyż czy całowaniu przełożonego w pośladki chodziło o to, by doświadczyć upokorzenia, jakiego doznać można w niewoli u niewiernych. Nowicjusze musieli umieć wyprzeć się wiary ustami, a zachować w sercu. Kardynałowie dostojników rozgrzeszyli. ↦

↦ W tamtym czasie w całej Francji templariusze siedzieli w królewskich lochach i, poddawani torturom, przyznawali się do wszystkiego, co chcieli usłyszeć śledczy: że wyparli się Chrystusa, że czcili bożka, że współżyli seksualnie. Fakt, że swoje śledztwo prowadził jednocześnie papież, zdawał się dawać im ochronę. Dlaczego więc cztery lata później Klemens V wydał bullę likwidującą zakon?

Podszepty

Jeden z korzeni przesądu o pechowości „piątku trzynastego" sięga opowieści o końcu templariuszy. W nocy 13 października 1307 r. żołnierze króla Filipa IV Pięknego wkroczyli do wszystkich klasztorów we Francji i aresztowali zaskoczonych zakonników. Wielki mistrz Jakub de Molay jeszcze dzień wcześniej uczestniczył u boku króla w pogrzebie jego krewnej. Mimo że atmosfera wokół zakonu od wielu miesięcy się zagęszczała, nikt nie spodziewał się tak agresywnych działań.

Zagłada templariuszy nastąpiła z przyczyn bardziej złożonych niż te przedstawione w rozpaczliwie słabym serialu z 2017 r., według którego Filip chciał się zemścić na przełożonym paryskiego klasztoru, który uwiódł królową (w istocie Joanna z Nawarry zmarła w 1305 r., na rok przed początkiem akcji; w serialu roi się od tego typu błędów).

Król istotnie kochał swoją żonę – do tego stopnia, że po jej śmierci popadł w głębokie przygnębienie: z Joanną u boku łatwiej radził sobie z kompleksami na punkcie dziadka, króla-krzyżowca Ludwika IX Świętego. Czuł potępiające spojrzenia dworu i innych władców: Ludwik poprowadził dwie krucjaty, a ty nieudolnie wojujesz z Anglikami, doprowadzając skarb do ruiny. Rozwiązanie podsunęli Filipowi doradzający mu prawnicy. Za ich namową król wystąpił z planem odbicia Ziemi Świętej: oto on sam stanie na czele wielkiego rycerskiego zakonu, który powstanie z połączenia templariuszy z joannitami, i poprowadzi tę armię do Jerozolimy. Wielki mistrz templariuszy Jakub de Molay z miejsca wykluczył taką możliwość. Templariuszy było znacznie mniej niż joannitów, straciliby tożsamość. Poza tym nie zamierzał oddawać przywództwa nad swoimi podwładnymi Filipowi.

Dla króla była to zniewaga. Tymczasem jeden z królewskich doradców, Guillaume de Nogaret, istny kardynał Richelieu tamtej epoki, pospieszył z kolejnymi podszeptami: panie, twój skarb jest pusty, templariuszom jesteś winien ogromne pieniądze. A źródła się skończyły, Żydów już obrabowałeś i wygnałeś, monety pozbawiłeś kruszcu. Czas się policzyć z tymi niezależnymi od twojej władzy mnichami.

Nie chcemy daktyli

Po upadku Akki, ostatniej wielkiej twierdzy Królestwa Jerozolimskiego, w 1291 r., zakony rycerskie musiały poszukać nowych pól działania. Krzyżacy od kilku dziesięcioleci organizowali własną „Ziemię Świętą" w Prusach, dokąd zapraszali rycerstwo europejskie na krucjaty przeciw północnym poganom. Joannici przenieśli się na Rodos i stali się postrachem muzułmańskich okrętów. Templariusze natomiast poświęcili się bankierstwu. Gromadzone bogactwo – wierzyli – pozwoli im kiedyś na zwołanie krucjaty i powrót do Palestyny.

W dziedzinie finansów już dawno osiągnęli mistrzostwo nie mniejsze niż na polach bitew. Stworzyli system czekowy, pozwalający pielgrzymom wpłacić pieniądze do któregoś z klasztorów europejskich i wypłacić np. w Jerozolimie; bezpieczniej było podróżować bez kufrów ze złotem. Kredytowali papieży i królów, prowadzili fundusze powiernicze, realizowali testamenty. We Francji *de facto* prowadzili skarbiec królewski i ściągali podatki.

Królowie i przywódcy możnych rodów zapisywali im zamki, miasta i wsie; zakonnicy znakomicie gospodarowali posiadanymi terenami. Wielki mistrz Jakub de Molay w liście do przełożonego jednego z klasztorów w Aragonii pisał: „Wydaliśmy komandorowi Walencji polecenie, aby zakupił jęczmienia. (...) Uważajcie na młode drzewka, żeby ich wiatr nie przewrócił, pilnujcie, aby nie uszkodziły ich zwierzęta. Wydaje nam się, że nadszedł już czas, aby zacząć ujeżdżać konie. (...) Donosimy wam, że budujemy właśnie okręt za 6 tys. solidów. Pytacie nas, czy macie przysłać daktyle. Nie chcemy ich, wolimy pieniądze".

Bogactwo zakonu – mimo że przeznaczone na realizację misji na Wschodzie – kłuło w oczy, a w połączeniu z atmosferą tajemniczości otaczającą zakon właściwie od chwili powstania w początkach XII wieku – tworzyło mieszankę wybuchową. Pytań zadawano sporo: jak to się stało, że zakon przetrwał, mimo że przez długie lata składała się nań garstka ryce-

TEMPLARI CATTOLICI ITALIA

Tam skarb twój

FILIP IV PIĘKNY podobno był zawiedziony tym, co znalazł w skarbcach klasztorów templariuszy. Uznał, że zakonnicy go przechytrzyli i zdołali sporą ich część gdzieś wywieźć. Pogłoski o ukrytych skarbach do dziś są żywe właściwie we wszystkich krajach, w których niegdyś funkcjonowali templariusze. Prawie każda komandoria zakonna ma swoją legendę o rozciągających się pod nią niezbadanych lochach, czasem zalanych wodą. Do najciekawszych hipotez należy ta, według której Jakub de Molay zdołał się porozumieć z wielkim mistrzem krzyżaków Zygfrydem von Feuchtwangenem i przekazał mu w depozyt zakonne skarby. Jej tropem podążał książkowy Pan Samochodzik: klucz do zagadki miał znajdować się na krzyżu, który miał na sobie de Molay podczas egzekucji. Był to dar od mistrza bratniego zakonu, a napis na nim głosił, zniekształcając fragment św. Mateusza, „tam skarb twój, gdzie serce twoje". Krzyżacki szyfr prowadził do (fikcyjnego niestety) Kortumowa (od łacińskiego *cor tuum*), wsi na Mazurach. Historycy lubią powtarzać, że prawdziwym i trwałym skarbem templariuszy jest ich wkład w rozwój gospodarki; z kolei naśladowcy, tacy jak Katoliccy Templariusze Włoch, wskazują na ideę poświęcenia życia Bogu i Kościołowi.

Pieczęć

DWÓCH RYCERZY jadących na jednym koniu – taki wizerunek widniał na pieczęci zakonu templariuszy. Według najpowszechniejszej interpretacji chodziło o przedstawienie zakonnego ubóstwa (oczywiście takiego na zasadzie: ubogi brat, bogaty klasztor). Reguła w istocie nakazywała templariuszom życie w surowych warunkach: ubrania były proste, uzbrojenie pozbawione ozdób; wszystkie posiadane majątki należało przekazać zakonowi.
Inni głosili, że pieczęć przedstawia dwóch założycieli: Hugona z Payens i Godfryda z Saint-Omer, albo też dwa ideały – rycerza i mnicha – które wypełniał templariusz. Z kolei dla śledczych Guillaume'a de Nogareta wizerunek był dowodem na powszechny w zakonie homoseksualizm.

©℗ MACIEJ MÜLLER

Przemarsz włoskich templariuszy do Watykanu, 12 września 2020 r.

rzy? Dlaczego papieże zapewnili im tak znaczną niezależność i przywileje? Co rycerze znaleźli w podziemiach Świątyni Salomona, ofiarowanej im przez króla jerozolimskiego na siedzibę? Jak to się stało, że mieli ochraniać pielgrzymów przed rozbójnikami, a stali się bankierami Europy? O czym rozmawiają na tajnych kapitułach?

Szachy króla z papieżem

Te tajemnice były świetnym podglebiem dla podstępnych planów Nogareta. Doradca królewski od 1305 r. po cichu zbierał i fabrykował dowody, szukał świadków gotowych zeznawać przeciw mnichom-rycerzom. Wsłuchiwał się w rewelacje zakonnego dezertera Esquieu de Floyrana, który chętnie dzielił się opowieściami o bluźnierczych praktykach byłych współbraci.

Nogaret chciał trzonem oskarżenia uczynić herezję. Był to diaboliczny manewr. Po pierwsze herezja to *crimen laesae maiestatis* – przestępstwo obrazy majestatu królewskiego, za co karą był stos i konfiskata majątku. Po drugie Filip mógł wystąpić jako obrońca wiary chrześcijańskiej i utrudnić tym samym papieżowi obronę templariuszy. Rezydujący w Awinionie Klemens V, człowiek słabego charakteru i zdrowia, politycznie i finansowo zależny od króla francuskiego, nie miał w ręku wielu narzędzi, by ocalić zakonników.

Uwięzieni i poddani mękom przyznawali się do wszystkich zarzutów, zrobił to także mistrz de Molay. Wstrząśnięty papież ogłosił bullę nakazującą władcom europejskim aresztowanie templariuszy i przeprowadzenie śledztwa na wzór Filipa Pięknego. Jednak w grudniu 1307 r. wielkiego mistrza zdołali przesłuchać papiescy legaci – i de Molay odwołał poprzednie zeznania. Zrobił to w sposób teatralny: poprosił, by pozwolono mu wyznać winy przed ludem zgromadzonym w katedrze Notre-Dame. Tam, na oczach wszystkich, rozchylił szaty i pokazał rany zadane podczas tortur.

Filip i Klemens prowadzili iście szachową rozgrywkę, co i rusz przechwytując inicjatywę. Śledztwo papieskie szło dwoma torami. Jedno, w sprawie zakonu jako całości, prowadziła kuria awiniońska. W drugim rozesłani po Francji inkwizytorzy przesłuchiwali poszczególnych zakonników. To wtedy właśnie papiescy wysłannicy dotarli do lochów zamku w Chinon, gdzie przetrzymywano kilku najwyższych dostojników zakonu. Wyrok rozgrzeszał ich i jednał z Kościołem. Gorzej szło komisji kurialnej: zakonnicy nie chcieli przed nią zeznawać, obawiając się – zupełnie słusznie – zemsty królewskiej po powrocie do więzienia.

Filip nie mógł dopuścić, by mnożyły się wyroki inkwizycyjne zaprzeczające efektom pracy jego śledczych. W odpowiedzi na działania inkwizytorów postanowił zaszantażować papieża, grożąc, że rozpocznie proces jego poprzednika, Bonifacego VIII. Z papieżem Bonifacym miał na pieńku: został przezeń wyklęty za opodatkowanie duchowieństwa francuskiego. Teraz zamierzał pośmiertnie oskarżyć go o herezję i czary, a po skazaniu wydobyć z ziemi jego zwłoki i spalić na stosie. Dla Klemensa V był to szach-mat. Gdyby Filipowi się udało, autorytet papiestwa i Kościoła ległby w gruzach. A już nie było z nim dobrze, bo ludzie Nogareta rozsiewali plotki o grzesznych upodobaniach i podejrzanych poglądach Klemensa. Obmawiano też templariuszy: że opuścili mury Akki i przez nich upadło Królestwo Jerozolimskie.

W październiku 1311 r. rozpoczął się sobór w Vienne, na którym papież planował ostatecznie wyjaśnić kwestię ↦

templariuszy. Ojcowie soborowi chcieli wezwać mnichów-rycerzy i pozwolić im się wypowiedzieć. Papież był już jednak złamany i nie dał zakonnikom tej ostatniej szansy. Zapowiedział, że wyda bullę, w której osobiście rozstrzygnie los zakonu.

Klątwa de Molaya

„Nieodwołalnie i wieczyście znosimy zakon templariuszy, jego status, habit oraz imię, dołączając wieczysty zakaz bezwzględnie zabraniający, by ktokolwiek w przyszłości ośmielił się wstąpić do tego zakonu, przyjąć i nosić jego habit albo podawać się za templariusza" – ogłosił 3 kwietnia 1312 r. Klemens V. W bulli „Vox in excelso" nie było jednak słowa o herezji, nie było też potępienia. Papież uznawał tylko, że zatruty klimat wokół templariuszy nie pozwala na jego dalsze funkcjonowanie. Zakon „stał się zbyt wstrętny i ohydny dla świętego Kościoła Bożego, jego zwierzchników, dla królów i innych władców oraz dla pozostałych katolików. Uważa się też, że prawdopodobnie nie znajdzie się odtąd żaden uczciwy człowiek skłonny wstąpić do niego".

Klemens ogłosił, że uwięzieni zakonnicy, o ile wyznają winy, powinni zostać wypuszczeni. Nie było jednak mowy o zniesieniu ślubów zakonnych; papież zobowiązał ich do zasilenia szeregów joannitów. Temu też zakonowi zapisał majątek templariuszy, choć po prawdzie po kilkuletnim zarządzaniu nim przez Filipa nie zostało z niego wiele.

Inaczej potraktował papież najwyższych urzędników zakonnych: powołał komisję kardynałów mających osądzić ich odpowiedzialność. Wyrok zapadł 18 marca 1314 r., templariusze wysłuchali go w Paryżu. Mimo że uwalniał ich od zarzutu herezji i odpuszczał inne grzechy – skazywał jednocześnie na dożywotnie więzienie. Wstrząśnięty de Molay „zawołał, że wszystko, o czym mówi wyrok, jest kłamstwem, on zaś ani nie powiedział, ani nie wyznał tego rodzaju rzeczy, lecz bracia są dobrymi chrześcijanami. Na te słowa strażnik uderzył go otwartą dłonią w usta, aby go zmusić do milczenia".

Filip miał dosyć tego odwoływania zeznań. Jego żołnierze porwali Jakuba de Molaya i Godfryda de Charneya, preceptora Normandii. W nocy z 18 na 19 marca 1314 r. ostatni wielki mistrz templariuszy i jego towarzysz spłonęli na stosie na Île aux Javiaux na Sekwanie. De Molay poprosił, żeby mógł umierać zwrócony twarzą w kierunku katedry, modląc się do Maryi. Miał też powiedzieć: „Bóg wie, że moja śmierć jest błędem i grzechem. Tak więc wkrótce nieszczęścia spadną na tych, którzy skazali nas na śmierć; Bóg pomści naszą śmierć. (...) Ci wszyscy, którzy działali przeciwko nam, będą cierpieć od tego, co nam uczynili". Według późniejszej legendy de Molay był bardziej konkretny i rzucił klątwę: „rycerzu Guillaume'ie, królu Filipie, papieżu Klemensie! Nim rok minie, spotkamy się na Sądzie Bożym".

Plotka wzięła się stąd, że zarówno papież, jak i król niedługo przeżyli wielkiego mistrza. W dodatku w kościół, w którym leżały zwłoki Klemensa, uderzył piorun. Nogaret jednak zmarł już rok wcześniej. Według legendy: otruty przez szukających zemsty zakonspirowanych templariuszy.

To się tak nie może skończyć

Współcześni templariusze oceniają postępowanie Klemensa V jako wymyk prawny. Skoro zakon zlikwidowano na drodze administracyjnej, bez potępienia, wystarczy kolejna papieska bulla, by to postanowienie odwołać. Czy ostatnie słowo rzeczywiście powinno należeć nie do Kościoła, a do Filipa IV?

Dwa pozostałe z wielkich zakonów rycerskich mają się dobrze: joannici i krzyżacy prowadzą szpitale, domy opieki i szkoły, działają na polu charytatywnym. Katoliccy templariusze stanowią dziś międzynarodową rzeszę i oczekują uznania wyrażonego na wyższym stopniu niż diecezjalne kurie. Wielu z nich to jednak ludzie żyjący w małżeństwach i zamożni. Może więc Watykan zdecyduje się na jakąś formę instytutu świeckiego, nieobligującego do przestrzegania wszystkich rad ewangelicznych?

O spotkaniu z kard. Parolinem templariusze opowiadają okrągłymi zdaniami – że serdeczne, że pełne zrozumienia. Niemniej wielki mistrz włoskich templariuszy Giorgio Ferretti liczy, że dzięki wiernej służbie Kościołowi rycerze „osiągną cel, na który czekali 700 lat".

©℗ MACIEJ MÜLLER

weź, czytaj!

zanim zabraknie

Zamów nasze *the best of* – tematyczne numery „Tygodnika Powszechnego. Wydania Specjalnego", zanim ich nakłady się wyczerpią. Napisz na adres: **zamowienia@tygodnik.com.pl**, my zajmiemy się resztą.

Do kompletu 4 dowolnych wydań piąte dodajemy GRATIS*!

* Cena pojedynczego wydania w tej ofercie – 15 zł.

W ofercie można zamówić następujące tytuły wydań specjalnych „TP": „Do Betlejem!", „Moc czytania", „Polska żydowska", „Smak wolności", „Zwierzenia zwierząt", „Halo, tu Ziemia", „Moc kobiet".

TYGODNIK POWSZECHNY

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

VATICAN MEDIA / REUTERS / FORUM

Papież błogosławi pusty plac św. Piotra po niedzielnej modlitwie Anioł Pański, 29 marca 2020 r.

Papież Franciszek Mniejszy

EDWARD AUGUSTYN

Mimo osamotnienia w czasach lockdownu i symptomów katastrofy rewolucja prowokowana przez Bergoglia trwa.

To było najdziwniejsze pół roku w pontyfikacie Franciszka. I najsmutniejsze. Papież się poddał – pisała włoska prasa. Ostatnim aktem siły była jego samotna modlitwa o ustanie epidemii – w strugach deszczu, na pustym i mrocznym placu św. Piotra 27 marca. Tamten obraz i gest przemawiały z mocą do milionów ludzi, wierzących i niewierzących, na całym świecie.

Włochy jako pierwsze w Europie doświadczyły, i to w wyjątkowo ostrej postaci, strachu, bezradności i śmierci. Włoski Kościół jako pierwszy poznał, co znaczy pozbawić religię wymiaru wspólnotowego i sprowadzić do form indywidualnych, wcześniej uważanych za drugorzędne. A Franciszek jako pierwszy papież – przynajmniej w najnowszej historii – został pozbawiony bezpośredniego kontaktu z wiernymi.

Na początku wydawało się, że może w szaleńczy sposób nie podda się ograniczeniom. W niespełna tydzień po całkowitym zamknięciu kraju, w niedzielę 15 marca, wybrał się na samotny spacer pustymi ulicami Rzymu. Potem kilkakrotnie przypominał księżom, żeby nie zamykali się na plebaniach, ale towarzyszyli chorym i umierającym, nawet z narażeniem życia. Skrytykował decyzję swego wikariusza, kard. Angela De Donatisa, o zamknięciu kościołów w Rzymie – już następnego dnia kardynał zmienił zdanie i pozostawił świątynie otwarte dla indywidualnej modlitwy. Wspierał papieskiego jałmużnika, który pomimo pandemii nadal rozdawał posiłki bezdomnym na rzymskich dworcach i zawoził pomoc objętym kwarantanną lub pozbawionym źródeł utrzymania biedakom.

Spotkania ekran w ekran

Potem jego głos zszarzał. Kazania z codziennej mszy, transmitowanej przez internet, spowszedniały. Kolejne zdjęcia, jak błogosławi z okna pusty plac św. Piotra, nie robiły już wrażenia. Odwoływano spotkania, zrezygnowano z jedynej zaplanowanej na ten rok zagranicznej pielgrzymki na Maltę, przerwano prace nad przygotowaniami następnych, aż do końca 2021 r.

Bez echa przechodziły środowe katechezy, wygłaszane do garstki najbliższych współpracowników w bibliotece watykańskiej. Ludzie zajęci własnymi sprawami, próbujący odbić się od dna po lockdownie, ratujący ostatnie chwile wakacji, dyskutujący nad sensem lub nie zachowywania środków ostrożności, niewiele sobie robili z monotonnych apeli o solidarność, zmianę myślenia i budowanie nowego, postpandemicznego świata.

Papież odżył dopiero 2 września. Na pierwszej audiencji z wiernymi, na niewielkim dziedzińcu św. Damazego, który w reżimie sanitarnym pomieścić mógł raptem 500 osób, z ulgą przyznał, że woli spotkania twarzą w twarz, a nie ekran w ekran.

A niespodziewana zapowiedź nowej encykliki o powszechnym braterstwie, którą podpisze 3 października przy grobie św. Franciszka w Asyżu, kończy sześciomiesięczny okres smuty.

Z prawa do lewa

Choć nie jest prawdą, że papież całkiem wycofał się z aktywności w ostatnich miesiącach (odbywały się audiencje prywatne, przyjmował szefów dykasterii watykańskich i biskupów z innych krajów, udzielił paru wywiadów), to jednak cisza, jaka zapadła w kilku dotąd głośnych sprawach, dała podstawę do pogłosek o wypaleniu się reformatorskiego zapału. Kąśliwe uwagi krążyły nawet w środowiskach dotąd mu sprzyjających.

Ocieplenie, paradoksalnie, nastąpiło w stosunkach z konserwatystami, którzy najwyraźniej uznali, że zredukowana do minimum publiczna aktywność tego papieża zasługuje na pochwałę. Docenili jego „powrót" do tradycyjnych form: modlitwy różańcowej w Ogrodach Watykańskich, połączonych telemostem z największymi sanktuariami świata, odprawienie pierwszej publicznej mszy po lockdownie przy grobie Jana Pawła II, wizytę przy grobie Piusa X.

Do tej pory skrzydło konserwatywne, jak wiadomo, nie oszczędzało Franciszka. O ile na początku krzywo patrzono tylko na jego „styl", to po adhortacji „Amoris ↦

↦ laetitia" (2016), w której papież zezwolił, pod pewnymi warunkami, udzielać komunii rozwiedzionym osobom, uderzono w największe dzwony. Czterech kardynałów opublikowało swoje „dubia" (wątpliwości), stając tym samym na czele jawnej opozycji – za ich przykładem, a często też z ich błogosławieństwem, pojawiły się petycje, demonstracje, „braterskie upomnienia", a nawet oskarżenia o herezję.

Kolejna fala protestów towarzyszyła synodowi amazońskiemu (2019). Środowiska tradycjonalistyczne i konserwatywne były pewne, że przyjęte dla wiernych z Amazonii rozwiązania (np. święcenie żonatych mężczyzn, przekazywanie parafii świeckim czy diakonat kobiet) szybko zostaną wprowadzone w całym Kościele. Tak się nie stało. Dokument końcowy synodu nie postulował radykalnych rozwiązań, a papieska adhortacja była jeszcze bardziej ostrożna.

Konstytucja!

Pojawiła się za to krytyka ze strony frakcji postępowej. Dziś liberałowie patrzą z sympatią na Kościół niemiecki, który metodą synodalną z udziałem katolików świeckich dyskutuje nad takimi kwestiami, jak prawa osób LGBT, celibat czy kapłaństwo kobiet. Papież kilkakrotnie przestrzegał, by uczestnicy „drogi synodalnej" nie oczekiwali, że ich postulaty zostaną przyjęte przez Kościół powszechny, i nie podejmowali pochopnych decyzji, które grożą schizmą.

Ci, którzy liczyli na rewolucję, czują się zawiedzeni. Zapowiadana tuż po konklawe reforma kurii rzymskiej ciągnie się już siedem lat. Powołana w 2013 r. rada kardynałów (najpierw ośmiu, potem dziewięciu, dziś sześciu) miała być nie tylko organem doradczym papieża, ale przede wszystkim opracować tekst nowej konstytucji, która zmieni oblicze kurii. Rok temu zapewniano, że dokument jest „niemal gotowy". Spodziewano się, że zostanie ogłoszony w czerwcu, w święto apostołów Piotra i Pawła. Tymczasem przyszła pandemia i słuch po nim zaginął.

– Konstytucja jest w trakcie tłumaczenia na najważniejsze języki, co znaczy, że niedługo zostanie ogłoszona – mówią mi w Watykanie. – I będzie rewolucją, choć głównie personalną.

Do wymiany pójdzie co najmniej kilkunastu kardynałów i biskupów stojących na czele kongregacji. Wielu z nich skończyło już 75 lat i zdaje się, że przedłużono im mandat tylko po to, by dociągnęli do zbliżającej się reformy.

W naturze Kościoła jest ciągłe napięcie: między prawem i duchem, nieporządkiem i harmonią, urzędem i charyzmatem. Stąd konieczność nieustannej reformy.

– Ale nie oszukujmy się – mówi mój rozmówca – choćby papież wymienił wszystkich kardynałów i biskupów, zostanie jeszcze cały zastęp urzędników średniego szczebla, którzy wciąż wiele mogą. Od ich zaangażowania, sympatii, życzliwego spojrzenia na sprawę albo przeciwnie – opieszałości, drobiazgowości czy nawet dyskretnego odsunięcia teczki – wiele zależy. To na nich opiera się codzienna praca urzędu. Wszystkich nie wymienią, a na pewno nie szybko. Kuria przetrwa. Zresztą to są dobrzy i lojalni urzędnicy, tylko nikt nie lubi, gdy się go obraża, obwinia za całe zło, wytyka publicznie wady. A przecież takie słowa padały z ust papieża, jakby nie było, naszego szefa.

Nie jest tajemnicą, że wiele osób, które trafiło do Watykanu za Benedykta XVI czy nawet za Jana Pawła II, ma poglądy inne niż Franciszek. Powiedzmy, że nie są tak postępowi jak on. Co jeszcze nie znaczy, że przeciwko niemu spiskują.

Sam jak Franciszek

Niedokończonych spraw jest więcej. Słuch zaginął nie tylko po konstytucji, ale też po raporcie z postępowania w sprawie przestępstw ekskardynała McCarricka z Waszyngtonu. Franciszek obiecał amerykańskim biskupom, że ujawni go „wkrótce" (watykański sekretarz stanu kard. Parolin mówił o początku 2020 r.). Wkrótce upłynie rok od tych obietnic. Upublicznienie gotowego już dokumentu – ważnego, bo pokazującego powiązania kardynała-przestępcy z innymi osobistościami Kościoła – leży wyłącznie w gestii papieża.

Mało kto pamięta już o innym rewolucyjnym pomyśle Franciszka – Papieskiej Komisji ds. Ochrony Nieletnich, powołanej w 2014 r. Miała pomóc papieżowi w rozwiązaniu kryzysu seksualnego: wykorzystywania dzieci i osób bezbronnych w Kościele. Wciąż istnieje, ale w międzyczasie zmieniła się koncepcja i strategia walki z pedofilią. A starcie komisji z Kongregacją Nauki Wiary, która prowadzi sprawy najcięższych przestępstw wśród duchownych i nie godziła się na niektóre jej pomysły (np. specjalny trybunał dla biskupów), spowodowało odejście kilku ważnych członków – przedstawicieli ofiar i specjalistów z dziedziny seksuologii – oraz całkowite zmarginalizowanie gremium. Członkowie komisji zostali pominięci w przygotowaniach do „watykańskiego szczytu" nt. pedofilii (w lutym 2018 r.). W komitecie organizacyjnym zabrakło nawet jej przewodniczącego, kard. Seána O'Malleya z Bostonu.

Krytycy Franciszka mogą więc triumfować. Niemal od początku pontyfikatu mówili o chaosie organizacyjnym, nietrafionych decyzjach personalnych, braku wytrwałości w realizacji rozpoczętych reform, nieprzewidywalności i trudnym charakterze argentyńskiego papieża. – Jest człowiekiem pełnym sprzeczności, ciężko go rozgryźć – mówił mi dwa lata temu jeden z mieszkańców Watykanu. – Jednocześnie chce rządzić i być w opozycji; wydawać rozkazy i zachowywać się jak anarchista; być jezuitą i franciszkaninem.

Opozycja stoi z boku i czeka na kolejne konklawe. A od Franciszka odwracają się nawet dotychczasowi sojusznicy. Niedługo po jego stronie zostaną tylko antykapitaliści, ekolodzy i imigranci.

Jaka piękna katastrofa

Głosy, że siła napędowa pontyfikatu wygasła, dotarły do Watykanu. Oficjalnie nikt ich nie komentuje, ale w sukurs pośpieszył o. Antonio Spadaro, jeden z najbliższych współpracowników papieża. Jego artykuł opublikowany 5 września na łamach jezuickiego dwutygodnika „La Civiltà Cattolica" ciekawie tłumaczy, na czym polega rewolucyjność papieża Franciszka.

Papieski „spin doktor" przywołuje na wstępie postać założyciela zakonu, do którego obaj z Franciszkiem należą. Przypomina, że św. Ignacy Loyola „w ogóle nie zajmował się kwestiami doktrynalnymi i teologicznymi, ale interesowało go świadectwo życia, jakie powinni dawać

światu jezuici". Dlatego jedyną skuteczną reformą Kościoła – zdaniem św. Ignacego – jest reforma (inaczej: nawrócenie) każdego z jego członków. Reforma Kościoła nigdy się nie skończy, bo nigdy nie nastąpi pełne nawrócenie i całkowita przemiana tych, którzy go tworzą. Reforma kurii również.

Nawrócenie to pierwsze słowo-klucz do pontyfikatu papieża. Franciszek stosuje go przy każdej okazji: jest nawrócenie osobiste, instytucjonalne, parafialne, duszpasterskie, antropologiczne, kulturowe, ekologiczne, synodalne... Przestało być pobożnym aktem, a jest radykalną zmianą rządzenia (sobą, parafią, kurią). Sam papież jest jego przykładem. Bo tu – pisze Spadaro – wcale nie chodzi o „styl" Franciszka, tylko o radykalnie inny sposób sprawowania urzędu. Jego podstawą nie jest plan, lecz rozeznanie.

Zanim przejdziemy do drugiego ulubionego słowa papieża (*discernimento* – rozeznanie), zatrzymajmy się przy planowaniu, a właściwie jego braku. To, co do tej pory brzmiało jak zarzut, Spadaro przekuwa – jak każdy dobry apologeta – w zaletę. Tak – papież nie ma planu, nie wymyśla przy biurku strategii. Ale apostołowie, którzy wychodzili z Wieczernika w dniu Pięćdziesiątnicy, też go nie mieli. A jednak, dzięki pomocy Ducha Świętego dali radę nowym wyzwaniom.

Z punktu widzenia instytucji to oczywiście katastrofa. Praca bez planu to chaos, nieefektywność, marnotrawstwo. I jeśli papież „wybiera drogę, idąc" – jak pisze Spadaro – to inni łatwo mogą się pogubić. Wielkie międzynarodowe firmy, nawet jeśli ich szefowie są charyzmatycznymi wizjonerami, nie pozwoliłyby sobie na taką ekstrawagancję.

Zaczynać, nie kończyć

Tyle że Kościół to nie firma – mówi papież. Jest instytucją, ale dziwną – założoną przez Ducha Świętego, który wprowadza nieporządek, rozdając różne dary i charyzmaty. Instytucją, która musi z tej różnorodności stworzyć harmonię. W jej naturze jest więc napięcie i sprzeczność: między prawem i duchem, nieporządkiem i harmonią, urzędem i charyzmatem. Stąd konieczność ciągłej zmiany, nieustannej reformy: to, co potrzebne, zostaje, co nieprzydatne – odchodzi.

By tego dokonać, konieczne jest ciągłe rozeznawanie. Zamiast tworzyć projekty, trzeba wyjść do świata i rozeznać, czego od nas chce. Ale nie chodzi o dostosowywanie się do jego oczekiwań, o gonienie za kijem, który rzucają inni. Rozeznawanie to szukanie „woli Bożej w życiu i historii" – na modlitwie, w oparciu o własne doświadczenie, dialog z innymi i ludzkie potrzeby.

Przykładem niech będzie dyskusja o *viri probati* na synodzie amazońskim. Dyskusja – zauważa Spadaro – to nie rozeznanie. Synod to nie parlament. Nie chodzi o to, kto przekona innych i zdobędzie większość, nie chodzi nawet o to, kto ma rację. Synod nie powinien podejmować decyzji, jeśli nie jest pewien, że doszło do niej w drodze rozeznania. A ono jeszcze się nie dokonało. Jest więc możliwe, że synod amazoński ciągle trwa.

To oczywiście brzmi jak dobra wymówka, by nie podejmować żadnych decyzji, albo odwlekać je w nieskończoność. Jednak i na to papieski obrońca znajduje wytłumaczenie: skoro reforma jest nawróceniem, nie da się jej przyspieszyć. Wszystko ma swój czas. Jedne zmiany zachodzą szybciej, inne wolniej. „To fundamentalna zasada Bergoglia: czas jest ważniejszy niż przestrzeń" – pisze Spadaro. Reformować to znaczy inicjować procesy. I dać im czas. W reformie nie chodzi o to, by leciały głowy, ani by zdobywać przestrzeń dla władzy. Jak w ewangelicznej przypowieści o pszenicy i kąkolu: trzeba cierpliwie czekać, aż jedno i drugie dojrzeje.

Wystarczy jednak wyobrazić sobie świat, w którym wszystko zależy od subiektywnego bądź co bądź rozeznania... No, chyba że mówimy o papieżu, któremu asystuje Duch Święty, i który może kontrolować (na przykład przy pomocy wyspecjalizowanych służb, jak Kongregacja Nauki Wiary) „rozeznania" innych, sam nie będąc przez nikogo kontrolowanym.

Małe jest piękne

Znawców teologii i historii Kościoła, którzy właśnie skrzywili się na wzmiankę o papieżach i asystencji Ducha Świętego, śpieszę uspokoić, że to nieprecyzyjne wyrażenie i tak nie ma większego znaczenia w świetle dalszego wywodu ojca Spadaro. Przywołuje on słowa innego mistrza jezuickiej duchowości, św. Piotra Fabera (1506-46), że czym innym jest „całe dobro, jakiego będę mógł dokonać", a czym innym „pośrednictwo świętego Ducha, z którego pomocą, albo i nie, tego dobra dokonam". A skoro tak, to są dobre czyny, które chrześcijanin – papież również – podejmuje bez wzywania na pomoc Ducha Świętego.

Ten zaskakujący cytat, w połączeniu z wcześniejszym zdaniem o stronieniu od kwestii doktrynalnych, a przykładaniu większej wagi do świadectwa życia, jest zapewne próbą usprawiedliwienia różnych błędnych decyzji, choćby personalnych, jakie Franciszek podjął. Nie jest nieomylny, ale ma dobre intencje.

Przypomina się historia z chilijskim biskupem oskarżanym o ukrywanie pedofilii, którego Franciszek z uporem trzymał na urzędzie, powtarzając, że nie ma dowodów jego winy. Gdy zobaczył protestujących ludzi podczas pielgrzymki do Chile, i gdy musiał odpowiadać na pytania dziennikarzy, nabrał wątpliwości. Po przeczytaniu raportu specjalnego wysłannika przyznał się publicznie do błędu i odwołał biskupa.

Przed popełnieniem błędu może nas uchronić (a ten już popełniony pomaga naprawić) kontakt z drugim człowiekiem – pisze o. Spadaro, nawiązując do spotkania Franciszka z dziennikarzami w samolocie wracającym z Chile. Trzeba mieć kontakt z ludźmi. Być ich duszpasterzem. Spotykać się nie z urzędnikami, dworzanami i pochlebcami, ale „ze swoim ludem". Dlatego zamknięcie w Watykanie tak bardzo papieżowi doskwierało.

I ostatnie słowo, które wyjawia sens Franciszkowych rządów i nawrócenia: ogołocenie. Wzięte wprost z ewangelii, z fragmentu, który papież lubi powtarzać: ogołocić się, uniżyć, przyjąć postać sługi – to jedyny cel nawrócenia. Być jak Jezus. To zadanie dla każdego chrześcijanina i każdej kościelnej instytucji: przestać zajmować się sobą i wyjść do potrzebujących. Nie czekać na lepszy czas, nie szukać wielkich środków.

Papież nie jest maksymalistą – kończy Spadaro. Ani idealistą, ani rygorystą. Wie, że życie nie składa się z czarno-białych sytuacji, wie, że są ograniczenia, których nie da się przekroczyć, i konflikty, z którymi trzeba nauczyć się żyć. Często wystarczą rzeczy naprawdę małe: drobna decyzja, spotkanie z człowiekiem. Wielka reforma może dokonywać się małymi krokami. Homilia w Domu św. Marty może mieć większe znaczenie niż oficjalne przemówienie. Przypis może być ważniejszy od adhortacji.

©℗ EDWARD AUGUSTYN

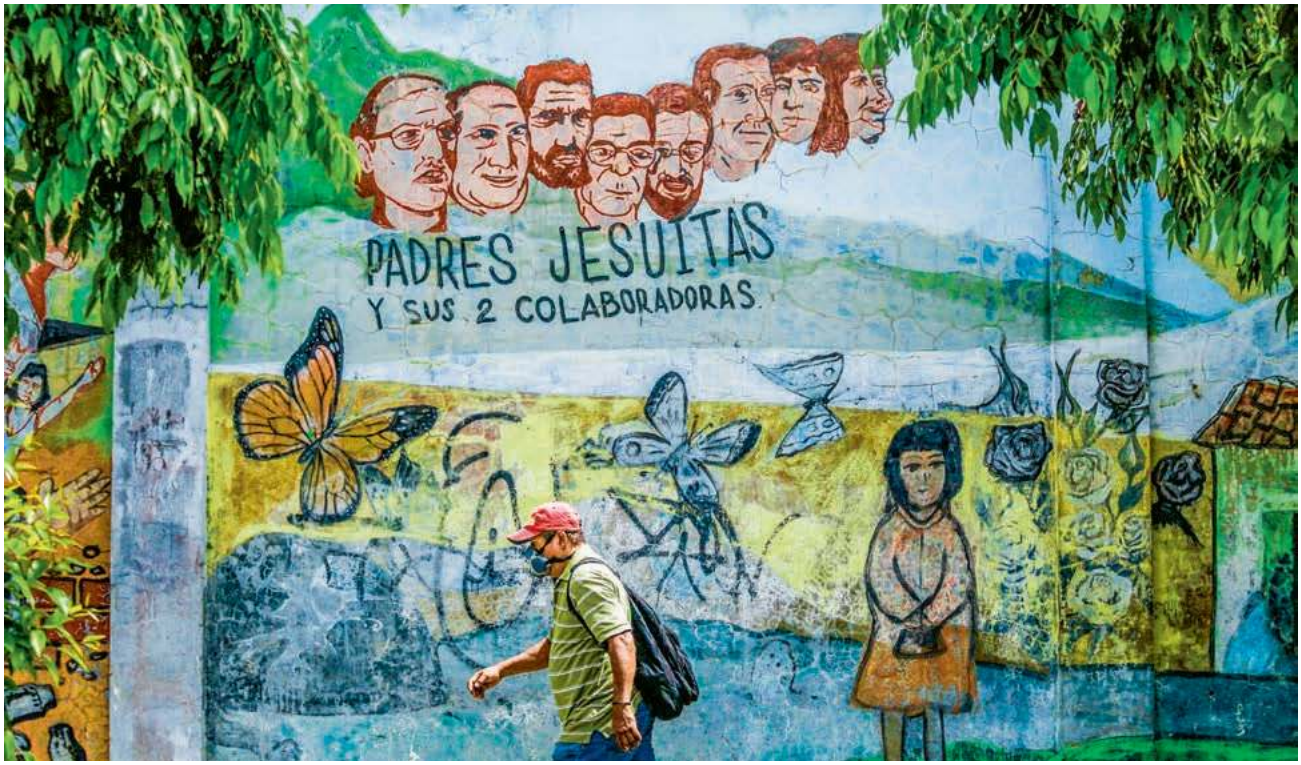

RODRIGO SURA / EFE / FORUM

Mural poświęcony zabitym pracownikom jezuickiego Uniwersytetu Ameryki Środkowej w 1989 r. San Salvador, 11 września 2020 r.

Odroczona sprawiedliwość

PAULINA MAŚLONA Z BARCELONY

Trzy dekady temu w Salwadorze sześciu jezuitów oddało życie za głoszone ideały. Dziś sprawa tamtej zbrodni wraca.

Wrzesień 2020 r., Hiszpania. Salwadorczyk Inocente Orlando Montano zostaje uznany przez sąd w Madrycie winnym śmierci hiszpańskich jezuitów. To on, wtedy wiceminister bezpieczeństwa publicznego, razem z innymi członkami Naczelnego Dowództwa Sił Zbrojnych miał w listopadzie 1989 r. wydać rozkaz przeprowadzenia egzekucji na ojcu Ignaciu Ellacurí, rektorze Uniwersytetu Ameryki Środkowej. Wykonujący polecenie dostali jasne instrukcje: zlikwidować cel i nie pozostawić świadków.

Przed sądem 77-letni Montano zasiadł sam – na wózku inwalidzkim, z twarzą częściowo przykrytą maseczką chirurgiczną. Ze spokojem wysłuchał wyroku: 26 lat, 8 miesięcy i jeden dzień za każdą ofiarę, w sumie 133 lata.

– To bardzo ważne dla rodzin tych osób, czekały na to 31 lat – mówi Oscar Pérez, prezes fundacji Comunicándonos, który od lat angażuje się w odkrywanie prawdy o zbrodniach z czasu wojny domowej. Ta sprawa jest jednak dla niego wyjątkowo osobista, sam kiedyś chciał zostać jezuitą: – Wyobraź sobie, że pozostali odpowiedzialni za tę zbrodnię wciąż żyją w Salwadorze, który nie zgodził się na ich ekstradycję.

Zwycięstwo albo śmierć

16 listopada 1989 r., Salwador. Jezuita Ignacio Martín-Baró dzwoni do swojej rodziny w Hiszpanii. Przekonuje, że wszystko u niego w porządku. Chyba chce ich uspokoić. Później pozwala swojej siostrze, Alicii, posłuchać przez telefon toczącej się niedaleko wymiany ognia. Salwador ogarnięty jest wojną domową: z rządem walczą lewicowi rebelianci, Front Wyzwolenia Narodowego im. Farabunda Martíego (FMLN).

O ostatniej rozmowie z Ignaciem po latach powie brytyjskiemu magazynowi „The Guardian" brat księdza, Carlos. Doszukuje się w tym geście pożegnania – wierzy, że brat zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, już gdy odwiedzał rodzinę w Hiszpanii.

I rzeczywiście, kilka godzin po ich rozmowie 40 uzbrojonych mężczyzn pojawia się na terenie uniwersytetu, budzi grupę jezuitów i wyciąga ich z pokojów na patio. Każą im położyć się twarzami do ziemi, oddają strzały. Oprócz Ignacia Martína-Baró giną rektor (a równocześnie osoba, w którą wymierzony był zamach) Ignacio Ellacuría, Segundo Montes, Amando López, Juan Ramón Moreno i Joaquin López y López. Wszyscy oprócz ostatniego są obywatelami Hiszpanii. Po chwili w sąsiadującym pokoju zamordowane zostają też dwie kobiety, kucharka Julia Elba Ramos i jej nastoletnia córka Celina. Zabójcy strzelają z karabinów AK-47, a na miejscu zbrodni zostawiają napis „FMLN zlikwidował wrogich szpiegów. Zwycięstwo albo śmierć. FMLN" – te dwa elementy mają sugerować, że za aktem stoi nie rządowa armia, lecz lewicowi rebelianci.

Strzały słyszy José María Tojeira, również jezuita i pracownik uniwersytetu. Jego mieszkanie jest oddalone od miejsca zbrodni o jakieś czterdzieści metrów.

W zeznaniach w 2020 r. mówi, że już w poranek po morderstwie było dla niego jasne, kto tak naprawdę ponosi odpowiedzialność za śmierć jezuitów: „Obok budynku wojskowego wywiadu, w trakcie godziny policyjnej dochodzi do dwudziestominutowej strzelaniny i wojsko się nie pojawia".

Tego samego dnia, 16 listopada, Tojeira mówi o swoich podejrzeniach ówczesnemu prezydentowi Salwadoru, Alfredowi Cristianiemu. Ten przekonuje go, że sprawa zostanie wyjaśniona.

Ściąć mu głowę

– Kto nie jest z nami, ten musi być przeciwko nam – podsumowuje strategię wojskowego reżimu Oscar Pérez. Sam o sobie mówi *hijo de la guerra*, dziecko wojny. Pamięta, jak podzielone w tamtych czasach było społeczeństwo Salwadoru. Wydaje mu się, że jezuici chcieli tę dzielącą naród ranę zasklepić. Szczególnie Ellacuría znany był ze swoich dążeń do mediacji. Na jednym z archiwalnych nagrań mówi: „Nie chcemy wojny, która będzie trwała cztery, pięć lat, bo po tych latach będziemy w agonii, będziemy martwi".

– Ellacuría nigdy nie zbliżał się do żadnej ze stron konfliktu. Wielokrotnie bronił prawomocności rządu, jak i głośno mówił o potrzebie przeprowadzenia szerokich reform – mówi mi Francisco Javier Gómez Díez z uniwersytetu Francisco de Vitoria w Madrycie. – Nazywanie go marksistą miało go zdyskredytować.

Jezuitów związanych z teologią wyzwolenia oskarżano o współpracę z rebeliantami, a wymierzona w nich agresja przyjmowała różne formy: księża dostawali pogróżki, byli poddawani rewizjom i aresztowaniom, w końcu stawali się ofiarami zamachów. Już w 1980 r. z rąk wojska zginął abp Óscar Romero. Szczególnie ci, którzy głośno mówili o naruszaniu przez rząd praw człowieka, płacili wysoką cenę. Trwała też propaganda w państwowych mediach – na kilka dni przed morderstwem jezuitów w rządowym radiu Cuscatlán (nad którym kontrolę sprawował skazany niedawno Montano) można było usłyszeć: „Ellacuría to rebeliant. Ściąć mu głowę!", a wiceprezydent Merino przyznał, że jezuita zatruwa umysły młodych Salwadorczyków.

„Sugerowałem mu, żeby może przeczekał kilka dni – wspomina w 2020 r. José María Tojeira. – Ale Ellacuría, który odbierał nagrodę w Hiszpanii, chciał wracać – czuł, że w tym trudnym czasie tym bardziej przyda się w kraju. Podobno sam prezydent zaprosił go, by uczestniczył w dochodzeniu dotyczącym masakry w siedzibie związku zawodowego Fenastras, w której zginęło 10 osób".

Na miejscu na Ellacuríę czekało jednak przeszukanie przez wojskowych. Żołnierze nie byli zainteresowani całym kampusem – spisali jedynie nazwiska osób mieszkających z rektorem. José María Tojeira przyznaje w swoim zeznaniu, że zrozumiał cel tej wizyty dopiero po śmierci przyjaciela: „Chcieli sprawdzić, czy już jest".

Czternaście miesięcy

Wojskowym nie udaje się długo utrzymać wersji o udziale lewicowych rebeliantów. 20 listopada prezydent Cristiani powtarza hiszpańskiemu dziennikowi „Lavanguardia" to, co powiedział już raz Tojeirze: „Siły zbrojne nie wykluczają i są świadome, że mordercy jezuitów mogli być członkami armii, ale naczelne dowództwo jest gotowe dojść do sedna tej sprawy i ukarać winnych". Międzynarodowa presja – również ze strony Stanów Zjednoczonych, które do tej pory wspierały i finansowały siły rządowe w wojnie – nie ustaje i w końcu przed sądem w Salwadorze zostaje postawionych dziewięciu żołnierzy z batalionu Atlácatl, którzy tamtej nocy oddali strzały. Tylko dwóch z nich – porucznik Yusshy René Mendoza i pułkownik Guillermo Benavides – usłyszy wyrok 30 lat więzienia. Cały proces przez wielu nazywany jest farsą, stworzoną po to, żeby niczego tak naprawdę nie dowieść.

– Do odpowiedzialności pociągnięto wyłącznie *autores materiales*, czyli tych, którzy pociągnęli za spust – tłumaczy Pérez.

I chociaż raport salwadorskiej Komisji Prawdy zawiera nazwiska wysoko postawionych wojskowych, którzy na spotkaniu dzień przed zabójstwem wydali rozkaz zlikwidowania jezuity, niewiele to zmienia. Raport wychodzi na światło dzienne 15 marca 1993 r., a tydzień później w kraju zostaje już wprowadzona amnestia na przestępstwa popełnione w trakcie wojny. Mendoza i Benavides po 14 miesiącach wychodzą, a o ich zwierzchników sąd nie upomni się przez kolejne 30 lat.

– Dlatego tak ważny i symboliczny jest proces, który właśnie zakończył się w Hiszpanii – przekonuje Pérez. – W końcu powiedziano głośno i oficjalnie to, o czym już przecież od tak dawna wiedzieliśmy.

Pozostali

W 2020 r. w hiszpańskim sądzie zeznawał m.in. René Mendoza, który z jednego z oskarżonych zamienił się w kluczowego świadka. To on potwierdził, że rozkaz wyszedł z góry i nie można było mówić o samowolce pułkownika Benavidesa. Założył też, że o decyzji wojskowych wiedział prezydent Cristiani. „Jeśli nie było odwołania rozkazu, to dlatego, że prezydent musiał go zatwierdzić" – zeznawał w Madrycie.

W trakcie procesu poruszony został problem ingerencji w dochodzenie, również ze strony funkcjonariuszy USA. Jedyni naoczni świadkowie zbrodni, Jorge i Lucía Cerna, zeznali, że po ucieczce do USA przez kilka dni byli przesłuchiwani przez FBI. „Chcieli, żebyśmy zaprzeczyli temu, co widzieliśmy" – mówił Jorge.

W Madrycie na ławie oskarżonych brakowało innych członków la Tandony, elitarnej grupy trzymających władzę wojskowych. Tylko w przypadku Inocentego Orlanda Montano, który przebywał w USA, możliwa była ekstradycja. Do tego w ustanowieniu wyroku wzięto pod uwagę jedynie pięć z ośmiu ofiar z 16 listopada – chociaż Montano uznano winnym wszystkich morderstw, sąd mógł go skazać jedynie za te dokonane na obywatelach Hiszpanii. Sam Montano do samego końca utrzymywał, że jest niewinny, a o planowanym morderstwie nic nie wiedział, przekonywał nawet o swojej religijności.

– Wyrok z Hiszpanii może wywrzeć presję, by *autores intelectuales* ukarano również tutaj – ma nadzieję Pérez. W 2016 r. decyzja o amnestii sprzed lat została w Salwadorze uznana za niekonstytucyjną, ale za kratki jak na razie trafił jedynie wcześniej skazany pułkownik Benavides, nazywany przez niektórych „kozłem ofiarnym".

– Mówi się tutaj, że wczorajsza bezkarność przekłada się na tę dzisiejszą – konkluduje Pérez. – Rozprawienie się z przeszłością jest potrzebne do tego, by aparat państwa działał skutecznie. Mam wrażenie, że jako społeczeństwo jesteśmy już bardziej świadomi i gotowi na rozliczenie wojennych zbrodni. ©

TANIEC Z DUCHEM

We wrześniu Chile obchodzi święto niepodległości i rocznicę zamachu stanu. W kampanii przed referendum w sprawie zmiany konstytucji podziały sprzed 47 lat przypominają o sobie szczególnie mocno.

MAGDALENA BARTCZAK Z SANTIAGO DE CHILE

Przychodzę tutaj co roku – mówi 34-letnia Javiera. Poznaję ją 11 września, w dniu rocznicy przewrotu wojskowego, który w 1973 r. dał początek dyktaturze. Jesteśmy na cmentarzu Głównym, w samym sercu Santiago de Chile. W powietrzu czuć już nadchodzącą na południowej półkuli wiosnę. Stoimy z Javierą tuż obok potężnej tablicy pamiątkowej, poświęconej osobom zabitym i „zniknięty" (*desaparecidos*) w latach wojskowego reżimu (1973-90). Wygrawerowano na niej kilka tysięcy nazwisk – las liter, który kryje za sobą polityczne zabójstwa, porwania, tortury, zaginięcia i wiele innych ludzkich tragedii. Na środku marmurowej ściany widnieje nazwisko obalonego przez juntę prezydenta, Salvadora Allende.

Javiera trzyma w ręku bukiet czerwonych goździków, będących symbolem pamięci o ofiarach tamtego ponurego czasu. Na piersi ma kartkę z czarno-białym portretem mężczyzny, poniżej imię i nazwisko: Leopoldo Raúl Benitez Herrera.

– To mój dziadek – zaczyna opowiadać, gdy widzi, że zawiesiłam dłużej wzrok na zdjęciu. – Gdyby dożył dzisiejszych dni, miałby 84 lata. Był architektem i wykładowcą na wydziale architektury na Papieskim Uniwersytecie Katolickim. Policja aresztowała go kilka dni po przewrocie, 17 września. Przyszli po niego wieczorem, znajdując go w domu teściów. Przewieźli dziadka na Stadion Narodowy [w pierwszych miesiącach reżimu mieściło się tam centrum tortur – MB], gdzie został rozstrzelany. Bardzo żałuję, że nigdy nie miałam okazji go poznać, pozostały mi tylko rodzinne historie i trochę zdjęć. Między innymi to, które stało mi się najbliższe – zawsze tu z nim przychodzę.

Zostali w golfach

Moja rozmówczyni jest jedną z wielu uczestniczek i uczestników marszu, co roku organizowanego tego dnia nie tylko w stolicy, ale też wielu innych miastach Chile, m.in. w Valparaíso, Concepción, Temuco i Punta Arenas. Tym razem, w związku z panującymi restrykcjami (m.in. zakazem organizowania zgromadzeń liczniejszych niż 50 osób), obchody są szczególne. Zamiast jednego masowego marszu zorganizowano w Santiago kilka mniejszych, w różnych miejscach i o różnych godzinach. Jedno się jednak nie zmieniło: większość osób, podobnie jak Javiera, trzyma w dłoniach fotografie bliskich oraz czerwone goździki.

Czarno-białe portrety ofiar reżimu mają w sobie coś boleśnie nostalgicznego. Fryzury z lat 60. i 70., charakterystyczne dla tej epoki makijaże, styl ubrań. Zaginieni i zabici, w swoich golfach, koszulach i sztruksowych marynarkach, zostali już na zawsze zaklęci w przeszłości. Większość fotografii jest opatrzona nakreślonym na transparentach pytaniem, które tego dnia powraca ze szczególną mocą: „*Dónde están?*" (Gdzie są?). Co się z nimi stało? Kto wreszcie odpowie za ich śmierć? Dla wielu Chilijczyków brzmią te pytania już tylko retorycznie, ale dla tych, którzy dziś maszerują, oznaczają dużo więcej: trudny spadek po nierozliczonej historycznej przeszłości, walkę o pamięć, rytuał ocalający bliskich od zapomnienia.

Samotna cueca

Jednym z takich rytuałów pamięci jest *cueca sola*, czyli samotna cueca. Stanowi interpretację chilijskiego tańca narodowego, będącego nieodłącznym elementem celebracji *Fiestas Patrias* – Świąt Niepodległości, hucznie obchodzonych

MAURICIO GOMEZ / NURPHOTO / AFP / EAST NEWS

Cueca sola tańczona przez kobiety podczas marszu upamiętniającego chilijski zamach stanu w 1973 r. Santiago, 11 września 2016 r.

od 17 do 19 września. To czas rodzinnych i towarzyskich spotkań, przyrządzania wspólnego *asado* (czyli grilla) i kultywowania wielu innych narodowych tradycji, do których Chilijczycy podchodzą w tych dniach z wyjątkową sumiennością. Jednym ze zwyczajów jest właśnie tańczenie cueki, porównywanej do tańca godowego koguta bądź zalotów. Mężczyzna zbliża się do partnerki, tupie ostrogami i skocznie ją okrąża. Ona ma dość pasywną rolę – przyjmuje adorację, kokieteryjnie unosi rąbek spódnicy i powiewa białą chusteczką.

Tańczona 11 września samotna cueca jest wykonywana w pojedynkę, przez samą kobietę. W przeciwieństwie do tradycyjnej wersji, nie ma w sobie nic z radosnego celebrowania wspólnoty: upamiętnia dzień, w którym została ona gwałtownie przełamana i zburzona. Samotna tancerka zdaje się obejmować powietrze – jakby trzymała w objęciach ciało mężczyzny. Na bluzce ma jego czarno-białe zdjęcie. Towarzysza tańca już nie ma, bo zabrała go dyktatura, został „zniknięty" bez śladu lub zabity. Taniec wskrzesza nieobecnych partnerów: chłopaków, mężów, ojców czy braci. Unaocznia dotkliwą pustkę po ich zniknięciu.

– Cueca jest dla Chilijczyków tańcem szczególnym mówi mi Ana Nenén Cartes, pracowniczka socjalna związana z ośrodkiem kulturalnym Kutral Perün w Santiago. Tańczy cuecę i inne tradycyjne tańce chilijskie, jest zafascynowana rodzimym ↦

folklorem. – Symbolicznie łączy nasz długi kraj, z północy na dalekie południe. Każdy region ma swoją własną odmianę tego tańca, bo istnieje m.in. cueca północna, portowa (tańczona w Valparaíso), *cueca chilote* (związana z wyspą Chiloé), *cueca campesina* (wiejska), *brava* (określana też „cuecą ubogich"). Poza „kogucimi" ruchami ważne są też teksty śpiewanych do tańca piosenek. Bliskie rzeczywistości Chilijczyków i zakorzenione w ich codzienności, często trudnej i mozolnej. Powszechność i uniwersalność tego tańca sprawiły, że stał się on podatny na różne „adaptacje" – w tym samotną cuecę, która nadała mu charakter już nie tradycyjny, ale głęboko polityczny. *Cueca sola* stała się wyrażeniem bólu i odzwierciedleniem żałoby – tłumaczy Ana.

Samotną cuecę odtańczono po raz pierwszy parę lat po przewrocie wojskowym – 8 marca 1978 r. w stołecznym Teatrze Caupolicán. Pomysłodawczynią i zarazem wykonawczynią pokazu była Gala Torres, młoda kobieta, pragnąca opowiedzieć o cierpieniu po stracie narzeczonego, który w październiku 1973 r. zaginął bez śladu. Nie mogła wykrzyczeć swojego smutku wprost, więc postanowiła go wytańczyć i wyśpiewać. Wkrótce, wraz z każdym następnym pokazem, dołączały do niej kolejne kobiety, tańczące o swojej utracie i wystukujące rytm z całych sił – jakby tym tańcem jeszcze można było odwrócić bieg historii i ją odmienić.

Wirtualne spotkania

Samotny taniec Chilijek, którym reżim Pinocheta zabierał ukochanych mężczyzn, stał się ezopowym językiem protestu i głosem politycznego sprzeciwu. Po raz pierwszy oficjalnie wybrzmiał w 1988 r., stanowiąc część kampanii prowadzonej przed plebiscytem, który okazał się historyczny: zadecydował o tym, że Chilijczycy zamiast dalszych rządów generała wybrali demokratyczne wybory. Kobiety zatańczyły wówczas w krótkim filmie, który nagrano do kampanijnego spotu, prezentowanego w telewizji. Ich pierwszy pokaz przed masową, kilkutysięczną publicznością odbył się zaś już po powrocie demokracji – 13 marca 1990 r. na Stadionie Narodowym. Był to dzień zaprzysiężenia nowego prezydenta Patricia Aylwina, przed którym wystąpiło wówczas kilkanaście kobiet, m.in. Gala Torres, Anita Rojas, Mireya Ramírez i zmarła w zeszłym roku Violeta Zúñiga – czołowa działaczka Zgrupowania Rodzin Ofiar Dyktatury, która przez lata pielęgnowała rytuał i w ciągu trzech dekad wzięła udział w ponad stu występach.

> Wielu Chilijczyków w 1973 r. pragnęło upadku rządów Allende, które niepokojąco ich zdaniem **zmierzały w stronę komunistycznej Kuby.**

W ostatnich latach tę tradycję kultywuje też m.in. Kolektyw Cueca Sola, który każdego 11 września organizuje pokazy tańca w przestrzeni publicznej, m.in. na głównych placach miast, w pobliżu dawnych ośrodków tortur i pod pałacem prezydenckim. W tym roku, w związku z okolicznościami, samotna cueca przeniosła się do internetu. Organizatorzy stworzyli coś na kształt wirtualnej mapy pamięci, prosząc chętne osoby o nadsyłanie swoich nagrań i zdjęć. Spłynęło do nich kilkadziesiąt materiałów rejestrujących samotne występy z całego Chile, m.in. z pustynnej północy, znad Pacyfiku, z jednej z wiosek leżących u podnóży Andów i dalekiej Patagonii. Z powodu pandemii i obowiązujących obostrzeń wiele innych organizacji i instytucji też postanowiło przenieść tegoroczne obchody do wirtualnej przestrzeni. Tak zrobiło np. Muzeum Solidarności im. Salvadora Allende, które zorganizowało m.in. cykl wykładów i seminariów poświęconych zarówno postaci socjalistycznego prezydenta, jak i późniejszym rządom junty wojskowej. Muzeum Pamięci i Praw Człowieka zorganizowało m.in. specjalny przegląd filmowy, czytanie korespondencji z tamtego czasu oraz całodniową transmisję odtwarzającą 11 września 1973 r. Minuta po minucie można było posłuchać m.in. pierwszych radiowych komunikatów junty, która ogłosiła przejęcie władzy, ostatniego przemówienia Allende czy bombardowania i ostrzelania pałacu prezydenckiego – dźwięków, które w wielu Chilijczykach pozostaną do końca życia.

Trzęsienie ziemi

– Oczywiście, że ten dzień pamiętam. Nie sposób go zapomnieć. Miałam wrażenie, że Chile zadrżało, jakby przez kraj przeszło potężne trzęsienie ziemi. Na ulice wyjechały czołgi, a niebo wypełniło się myśliwcami. Wszyscy byliśmy w szoku. Czuliśmy, że nadejdzie jakiś przełom, bo ostatnie miesiące rządów Allende to był ciągły chaos i kryzys. Co chwilę strajki, walki bojówek. Pamiętam, że wszyscy byliśmy tym zmęczeni. Ale nikt chyba nie sądził, że ta zmiana będzie tak brutalna – opowiada María, moja sąsiadka, która w dniu przewrotu wojskowego miała 21 lat i mieszkała z rodzicami w centrum Santiago, kilka minut spacerem od dzielnicy rządowej. – Z dnia na dzień wszystko bezpowrotnie się zmieniło. Wiele domów w okolicy opustoszało: jedni wyjechali, inni nagle zniknęli. Ale było też wielu takich, którzy poczuli tego dnia przede wszystkim radość i ulgę – dodaje.

Po Chile do dziś krążą historie ludzi, którzy na wieść o bombardowaniu pałacu prezydenckiego wchodzili na pobliskie góry, aby lepiej ogarnąć ten spektakl wzrokiem. Byli też tacy, którzy otwierali w radości szampana i pili toast za nowe czasy. Coś, co dla jednych oznaczało początek strachu i represji, dla innych było bowiem zmianą na lepsze. Wielu Chilijczyków pragnęło upadku socjalistycznych rządów, które godziły w ich ekonomiczne interesy lub niepokojąco ich zdaniem zmierzały w stronę komunistycznej Kuby. Przejęcie władzy przez wojskowych było dla nich zapowiedzią nowego porządku, a Pinochet – wyzwolicielem, który w tej nagłej zmianie pomógł.

Podziały, które istniały jeszcze przed 1973 rokiem i mocno się wyostrzyły w latach reżimu, są w chilijskim społeczeństwie nadal silnie obecne. Przypomniały o sobie w październiku zeszłego roku, gdy wybuchły masowe, wielomiesięczne manifestacje. Ujawniają się również teraz, gdy kraj stoi w przededniu ważnego plebiscytu, wywalczonego m.in. właśnie dzięki protestom. 25 października Chilijczycy zdecydują, czy chcą zachować dotychczasową konstytucję, czy napisać ją na nowo. Jest to zmiana fundamentalna, bo tutejsza ustawa zasadnicza została odziedziczona jeszcze po rządach Pinocheta. Weszła ona w życie na początku 1981 r., a jej głównym autorem był Jaime Guzmán – ideolog reżimu i patron skrajnej chilijskiej prawicy. Choć od tego czasu

MAGDALENA BARTCZAK

Javiera z portretem swojego dziadka. Santiago, 11 września 2020 r.

jej treść była wielokrotnie modyfikowana, to i tak według wielu Chilijczyków pozostaje ona kluczowym spoiwem dzisiejszego Chile z reżimową przeszłością, znakiem tego, że mimo nadejścia demokracji niewiele się tak naprawdę zmieniło.

Choć kampania dotycząca plebiscytu dopiero ruszyła, już teraz czuje się, że społeczne nastroje – nieco uśpione przez pandemię – znów stają się coraz bardziej gorące. Było to widoczne też podczas wydarzeń upamiętniających wrześniową rocznicę. W całym kraju doszło do kilkunastu brutalnie tłumionych przez policję manifestacji, 16 mundurowych zostało rannych i ponad 100 osób trafiło do aresztu. W centrum stolicy, gdzie doszło do najliczniejszych starć, przez cały wieczór unosił się duszący zapach gazu pieprzowego. Mocno też dały o sobie znać ideologiczne różnice. Podczas gdy jedni szli tego dnia w marszach pamięci lub tańczyli samotnie cuecę, inni celebrowali rocznicę puczu jak radosne święto. Największe zgromadzenie zwolenników minionego reżimu odbyło się pod Akademią Wojskową. „Dziękujemy, generale!"; „Nie dla nowej konstytucji!"; „Porządek i ojczyzna" – okolica monumentalnego budynku uczelni wypełniła się portretami Pinocheta i transparentami tych, którzy z nostalgią wspominają jego epokę.

Jakkolwiek optymistycznie nie podejdziemy do zmian, które może przynieść nowa konstytucja, to jedno jest pewne: po 30 latach chilijskiej demokracji proces narodowych rozrachunków oraz zabliźniania ran wciąż trudno uznać za zakończony.

© MAGDALENA BARTCZAK

REKLAMA

JACEK MALCZEWSKI (1854–1929), *ROK 1905* (1905–1906), FRAGMENT, KOLEKCJA SYLWII I TOMASZA GARDECKICH, DEPOZYT W MUZEUM NARODOWYM W WARSZAWIE

Muzeum Narodowe w Warszawie

18/09–20/12/2020

Polska. Siła obrazu

Muzeum Narodowe w Warszawie

PATRONAT NARODOWY PREZYDENTA RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ ANDRZEJA DUDY W STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

1918·2018

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO

WYSTAWA ZORGANIZOWANA PRZEZ MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE WE WSPÓŁPRACY Z MUSÉE DU LOUVRE-LENS, MUZEUM NARODOWYM W POZNANIU I INSTYTUTEM ADAMA MICKIEWICZA

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MKIDN JAKO CZĘŚĆ KOORDYNOWANEGO PRZEZ INSTYTUT ADAMA MICKIEWICZA MIĘDZYNARODOWEGO PROGRAMU KULTURALNEGO REALIZOWANEGO W RAMACH PROGRAMU WIELOLETNIEGO NIEPODLEGŁA NA LATA 2017–2022

PATRONAT AMBASADORA FRANCJI W POLSCE PRÉDÉRICA BILLET

PATRONAT INSTYTUTU FRANCUSKIEGO W POLSCE

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Louvre Lens

Muzeum Narodowe w Poznaniu

niepodległa

Instytut Adama Mickiewicza

Ambassade de France en Pologne

Institut Français

MECENASI MUZEUM

PARTNER MUZEUM

PARTNER LOGISTYCZNY

PARTNER TECHNOLOGICZNY

WSPÓŁPRACA

PATRONI MEDIALNI

ORLEN

PZU

LOTTO

Ford

HUAWEI

AkzoNobel

onet

RZECZPOSPOLITA

TVP KULTURA

mnw.art.pl

KASIA STREK

Kościół św. Pawła w Corbeil pod Paryżem spłonął z niewyjaśnionych dotąd przyczyn na początku lipca tego roku.

Nie tylko katedry płoną

SZYMON ŁUCYK Z PARYŻA

Każdego dnia średnio dwa kościoły we Francji padają ofiarą wandali lub złodziei. A inne sypią się ze starości, bo nie ma pieniędzy na renowację.

Telefon zadzwonił o 6.30 rano. – Budzę się, podnoszę słuchawkę. Myślałem najpierw, że ktoś z parafii. Ale nie, słyszę nieznany głos. Byłem w szoku – ks. Andrzej Barnaś, proboszcz parafii pw. św. Pawła w Corbeil-Essonnes pod Paryżem, zawiesza głos. O wybuchu pożaru dowiedział się, kiedy na miejscu byli już strażacy – wezwał ich o świcie sąsiad, którego obudził hałas płonących krokwi.

Jeszcze dziś – dwa miesiące po pożarze – wnętrze kościoła wygląda jak po przejściu huraganu. Jedne na drugich leżą pokotem zwęglone drewniane dachówki oraz stosy krzeseł. Runęło całe drewniane poszycie dachu – teraz pokryto go prowizorycznie niebieską plandeką.

Gorzej jest jeszcze z zakrystią, skąd ogień rozprzestrzenił się na cały ponadstuletni kościół. Po podłodze walają się niemal doszczętnie spalone szczątki ksiąg parafialnych. Meble, szaty, księgi liturgiczne i wszystko, co składa się na wyposażenie zakrystii, obróciło się w popiół.

Skąd ogień w budynku? Ks. Andrzej rozkłada ręce: – Nie mam żadnych oficjalnych informacji z policji, nie chcę spekulować.

Lokalny dziennik „Le Parisien" napisał, powołując się na anonimowe źródła policyjne, o ulatnianiu się gazu z pobliskiego squatu. Tyle że – jak podkreśla w rozmowie z nami ksiądz Barnaś – w pobliżu nigdy nie było squattersów.

Ksiądz przyznaje, że w kościele znajdował się minipalnik gazowy do przygotowania kadzidła. Czy mógł komuś posłużyć do podpalenia? To znów tylko hipoteza. Dość mocne przesłanki wskazują natomiast na dokonanie rabunku przed przybyciem straży na miejsce zdarzenia. Strażacy uratowali z kościoła Najświętszy Sakrament oraz prawie wszystkie obrazy i figury.

Jak mówi proboszcz, zaginęły jednak dwa cenne przedmioty: relikwie błogosławionych męczenników z Pariacoto, Zbigniewa i Michała – oraz ikona Matki Bożej. A były w bezpiecznym miejscu, poza zasięgiem pożaru, więc same nie mogły spłonąć.

W tej sprawie pozostaje wiele pytań. Pewne jest to, że podparyska świątynia miała chwilę przed opisywanymi faktami nieproszonych gości. Świadek, który zaalarmował strażaków, zeznał, że dwie godziny przed pożarem widział osoby próbujące bezskutecznie włamać się do dawnej salki katechetycznej kościoła. Z kolei dwa lata temu na jego ścianie ktoś namazał sprayem po francusku – i to dwukrotnie – obraźliwe napisy pod adresem księży. Sprawców nie rozpoznano.

W budynku nie było instalacji przeciwpożarowej ani alarmu przeciwwłamaniowego. – To mały podmiejski kościół, nie stać nas na taką ochronę. W ciągu ostatnich lat były próby włamań, więc mój poprzednik, przy pomocy parafian, wstawił kraty w oknach od głównej fasady – tłumaczy ks. Barnaś.

W parafii pw. św. Pawła odbywały się msze po francusku i po polsku, w niedzielę świątynia gościła do 200 osób.

To dużo jak na francuskie warunki. Wśród wiernych oprócz Polaków wielu było mieszkańców Francji pochodzących z krajów afrykańskich.

Ks. Barnaś opowiada: – Wiadomość o pożarze wszystkich tutaj poruszyła. Zadzwonił do mnie nawet sąsiad wyznania muzułmańskiego z wyrazami wsparcia i zaoferował nam pomoc.

Proboszcz martwi się o środki na odbudowę, bo nie może się spodziewać wsparcia z kasy publicznej. Świątynię w Corbeil wzniesiono w 1911 r. Zgodnie z francuskim prawem budynki kościelne wzniesione po 1905 r. należą do Kościoła, w przeciwieństwie do tych zbudowanych wcześniej, które są własnością państwa lub samorządów. Tylko te starsze są utrzymywane i restaurowane ze środków publicznych.

Ks. Barnaś może natomiast liczyć na odszkodowanie za pożar od ubezpieczyciela oraz na hojność polskich i francuskich parafian, którzy deklarowali zbiórkę na odbudowę zaraz po pożarze: – Rodacy nie żałują grosza. I ciągle mnie do siebie zapraszają na obiad, więc nie mam szansy schudnąć – śmieje się proboszcz, który pochodzi z diecezji sandomierskiej, a od prawie 20 lat mieszka we Francji.

Ponure statystyki

Opowieść o pożarze pod Paryżem prowadzi nas do dwóch pokrewnych pytań dotyczących Francji. Po pierwsze: jaka jest skala celowego niszczenia i grabieży dóbr kościelnych? Po drugie: jak wiele kościołów we Francji ulega zniszczeniu z powodu braku renowacji i niedostatecznych zabezpieczeń, zwłaszcza przeciwpożarowych?

Pierwsza kwestia rozgorzała na nowo w następstwie pożaru katedry w Nantes, do którego doszło 18 lipca tego roku. Zniszczenia były znaczne: ogień strawił m.in. organy z XVII w. i zabytkowe witraże z zachodniej fasady świątyni. Ze śledztwa wynika, że doszło do celowego podpalenia. Do czynu przyznał się 39-letni Emmanuel A., kościelny wolontariusz, katolik pochodzący z Rwandy, od ośmiu lat osiadły we Francji.

Motywy sprawcy nie są jasne. Media nad Sekwaną upubliczniły jego list do członka władz diecezji napisany niedługo przed pożarem. Emmanuel A. żali się w nim, że nikt z jego otoczenia nie przyszedł mu z pomocą w staraniach o pozwolenie na pobyt we Francji, gdy odrzucono jego wniosek o status uchodźcy. W tym kontekście można interpretować podpalenie kościoła jako desperacki akt człowieka, który stracił nadzieję na zostanie we Francji – sugeruje prasa francuska.

Wypada podkreślić, że dramat z Nantes różni się co do przyczyn od pożaru katedry Notre-Dame, gdzie prokuratura już we wstępnym dochodzeniu wykluczyła trop kryminalny. Paryskie śledztwo wciąż trwa i nie doprowadziło dotąd do wykrycia przyczyn zaprószenia ognia (policja wskazuje kilka możliwości, np. awarię instalacji elektrycznej czy niedopałek pozostawiony na terenie katedry w trakcie remontu).

Wracając jednak do Nantes: afera wywołała we Francji dyskusję o tym, czy mamy do czynienia z odosobnionym przypadkiem, czy społecznym zjawiskiem. Jak podało w 2018 r. francuskie MSW: corocznie we Francji dochodzi co najmniej do 600 celowych aktów zniszczenia lub rabunków na 45 tys. świątyń katolickich. Do tego można dodać ponad 200 sprofanowanych cmentarzy. W 2018 r. odnotowano także ponad 50 podpaleń lub prób podpalenia katolickich obiektów kultu.

Jak zauważa francuski świecki Ośrodek Obserwacji Dziedzictwa Religijnego (OPR): liczba odnotowanych wszystkich grabieży i ataków wobec kościołów katolickich wzrosła aż pięciokrotnie w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Wskazywałoby to na gwałtowny wzrost skali zjawiska, jednak różnica wynikać może z tego, że księża coraz częściej zgłaszają przypadki szkód w mieniu kościelnym na policję.

Według francuskiego MSW głównym motywem ataków na świątynie jest wandalizm i chęć zysku. Trudno jest powiedzieć, jak często w grę wchodzi chęć profanacji kultu, ponieważ świeckie prawo francuskie nie uznaje bluźnierstwa za przestępstwo, a zatem nie odnotowuje go jako osobnej kategorii. Co ósmy atak na kościoły policja tłumaczy racjami ideologicznymi: najwięcej aktów przypisuje się satanistom, mniej – anarchistom, a na końcu – skrajnym nacjonalistom (malującym np. swastyki na murach).

W odpowiedzi na pytanie „Tygodnika" Edouard de Lamaze, prezes OPR, wyjaśnia: – We Francji kościoły katolickie są z pewnością najbardziej dotknięte (celową degradacją i rabunkiem), ale proporcjonalnie w mniejszym stopniu niż synagogi i meczety.

Dla porównania Lamaze podaje, że w tym samym 2018 r. zaatakowano we Francji 27 świątyń protestanckich (na 3 tys. ogółem), 40 meczetów (na 2200) i 37 synagog (na 500).

Kościoły umierają stojąc

Wandalizm i celowe profanacje – to jedno. Ale wystarczy odwiedzić centrum Paryża, by zauważyć, jak wiele zabytkowych świątyń katolickich sypie się po prostu ze starości. Sczerniałe od wilgoci mury, siatki podtrzymujące ściany, wyblakłe freski we wnętrzach... Największymi wandalami nie są rabusie czy sataniści, ale czas. I jego sprzymierzeniec – nierychliwość instytucji lub osób odpowiedzialnych za restaurację tych budowli.

Tak jest nawet w sąsiedztwie siedziby prezydenta – Pałacu Elizejskiego, w bogatej VIII dzielnicy Paryża. Gdy dekadę temu okazało się, że w stołecznym kościele Saint-Philippe-du Roule przecieka dach, a w dodatku na głowę lecą kawałki sklepienia, dziurę załatano tylko prowizoryczną osłoną. Ta prowizorka przetrwała aż osiem lat, kiedy wreszcie merostwo Paryża rozpoczęło trwający do dziś generalny remont świątyni. Z kolei historycy sztuki biją na alarm, że w słynnym Saint-Sulpice – gdzie w ubiegłym roku odbył się uroczysty pogrzeb eksprezydenta Jacquesa Chiraca – zabytkowe malowidła ścienne zanikają niemal z dnia na dzień. Podobne przykłady paryskich świątyń, które są dziś w opłakanym stanie, można by mnożyć.

Tuż koło katedry Notre-Dame, na lewym brzegu Sekwany, stoi jeden z najstarszych kościołów Paryża, Saint-Séverin, zbudowany w stylu tzw. płomienistego gotyku. Już główny portal budowli, nad którym wiszą siatki ochronne, błaga o remont. Wewnątrz nie jest lepiej: malowidło ścienne przedstawiające Ostatnią Wieczerzę przecinają wszerz i wzdłuż szerokie bruzdy spowodowane zawilgoceniem ścian.

Wikary z Saint-Séverin ks. Vincent Thiallier tłumaczy „Tygodnikowi", że w tym przypadku diecezja nie może przeprowadzić renowacji bez zgody władz miejskich. Nawet jeśli zgromadzi fundusze, o co francuskim ubogim diecezjom jest zwykle trudno. Właścicielem świątyni, zbudowanej wszak na długo przed graniczną datą 1905 r., jest bowiem miasto, a Kościół tylko wieczyście ją użytkuje. Tak więc to właśnie z kas samorządowych ↦

powinna być finansowana renowacja kościołów. Powinna, ale nie zawsze jest. Czasem we francuskich realiach czekanie na generalny remont ciągnie się przez długie lata.

– W ubiegłym roku przeprowadziliśmy test, z którego wynika, że stabilności szkieletu nic nie grozi. Fasadę, z której jakiś czas temu osuwały się kamienie, zabezpieczyliśmy siatką, ale jej remont nie jest jeszcze planowany. Najwyraźniej nie jest to priorytet miasta, są rzeczy ważniejsze – mówi spokojnie ks. Thiallier.

Na szczęście dla zabytków kościelnych istnieje też mecenat prywatny. Jak tłumaczy wikary, właśnie dzięki wielu prywatnym darczyńcom przeprowadzono remont kaplicy Najświętszego Sakramentu. A teraz rozpoczęła się renowacja kolejnej kaplicy ze zniszczonymi freskami – w połowie finansuje ją miasto, a w połowie prywatna fundacja.

Kto uratuje wiejskie dzwonnice?

Według wspomnianego już Ośrodka Obserwacji Dziedzictwa Religijnego 5 tys. kościołów i kaplic utrzymywanych przez samorządy jest w opłakanym stanie, a 500 spośród nich grozi zawalenie.

Edouard de Lamaze podkreśla, że o ile kościoły zaliczane do rejestru zabytków korzystają z subwencji ministerstwa kultury, to pozostałe świątynie zbudowane przed 1905 r. są zdane na budżety gmin. A te ostatnie, nawet gdyby bardzo chciały, zwykle nie mają środków na utrzymanie wiejskich, wyludnionych (bo wiernych już nie ma) kościołów. Stąd z każdym rokiem popadają one w coraz większą ruinę.

KASIA STREK

Gotycki kościół Saint-Séverin od lat oczekuje m.in. renowacji fresków. Paryż, wrzesień 2020 r.

Z kolei Stéphane Bern, znany Francuzom popularyzator historii, a obecnie doradca prezydenta Macrona ds. dziedzictwa kulturowego, zwraca uwagę, że „pożar Notre-Dame był rodzajem elektrowstrząsu, który wydobył na światło dzienne dramatyczną sytuację wielu opuszczonych i zagrożonych ruiną kościołów". Bern przypomina – na łamach pisma „Revue des Deux Mondes" – że rząd francuski ogłosił zaraz po katastrofie paryskiej katedry w listopadzie 2019 r. plan pod nazwą „Bezpieczeństwo katedr".

Ale jak znaleźć pieniądze na zabezpieczenie pozostałych mniejszych świątyń przed atakami wandali i nieubłaganym naporem czasu? „Stadion futbolowy i stacja oczyszczania będą zawsze dla miasta ważniejsze od remontu starej kościelnej dzwonnicy" – kwituje Bern.

Co więc robić? Bern proponuje odwołać się do dobrowolnej szczodrości rodaków. Jako prezydencki doradca rozpisał narodową loterię, z której dochód przeznaczany jest na renowację obiektów o historycznej wartości, wśród nich sakralnych, także tych, które nie należą do rejestru zabytków. Pomysł Berna został na ogół dobrze przyjęty. Francuzi, choć statystycznie rzecz biorąc nie chodzą na msze (oprócz ślubów i pogrzebów), lubią odwiedzać muzea i galerie sztuki.

I tutaj kryje się, paradoksalnie, nadzieja dla kościołów. W zlaicyzowanym społeczeństwie, takim jak francuskie, zabytkowe obiekty kultu stają się coraz częściej obiektami paramuzealnymi: ich funkcja sakralna schodzi na dalszy plan. A skoro tak, to może sami obywatele przy wsparciu sektora pozarządowego pospieszą im na ratunek. Nie tylko katedrom, ale też ich uboższym, ale równie pięknym kuzynkom z prowincji. © SZYMON ŁUCYK

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

COPERNICUS FESTIVAL: CZAS
6-11.10, WWW.COPERNICUSFESTIVAL.COM

W NASTĘPNYM NUMERZE „TYGODNIKA POWSZECHNEGO"
KATALOG FESTIWALOWY

Czas nie dla wszystkich płynie tak samo – w zależności od nastroju, wieku czy stanu zdrowia różnie odczuwamy jego upływ. Ale nie tylko o odczucia chodzi: czas naprawdę podlega dziwnym prawom. Fizycy przekonują, że możliwe jest nawet zrównanie się wiekiem z własnym wnukiem! Porozmawiamy z gwiazdami festiwalu – m.in. neurobiologiem Josephem LeDoux i antropologiem Bogusławem Pawłowskim – oraz przedstawimy jego pełen program.

COPERNICUS FESTIVAL

Wiktor Pylypenko, pseudonim „Francuz", pierwszy z ukraińskich wojskowych, który zdecydował się na coming out. Kijów, wrzesień 2020 r.

Tęcza i tryzub

TEKST I ZDJĘCIA: MONIKA ANDRUSZEWSKA Z KIJOWA

Walczą o kraj, ale też o prawo do bycia sobą. Kolejni ukraińscy weterani mówią otwarcie o swojej orientacji seksualnej.

Trzeba wysłać tych homosiów z Marszu Równości na wojnę, to się uspokoją – przeczytałem w sieci, gdy udało mi się złapać choć trochę internetu, by sprawdzić nowiny ze stolicy. Siedziałem skulony przy piecyku węglowym, próbując odpocząć od zimna i ostrzału. Nie mogłem uwierzyć w to, co czytam. Przecież ja na wojnie już jestem. A gdzie są oni, ci ogłaszający się patriotami, gotowi bić każdego, kto wyjdzie na ulicę z tęczową flagą? Sprawdzałem profile komentujących. Prawie nikogo, kto by walczył. Czemu nie widzę ich wszystkich obok siebie w okopie? Postanowiłem, że muszę się ujawnić – wspomina Wiktor Pylypenko o pseudonimie „Francuz", pierwszy z ukraińskich wojskowych, który zdecydował się na *coming out*.

Dziś „Francuz", wysportowany ciemnooki brunet, jest administratorem liczącej ponad 100 osób grupy Wojskowi LGBT i Nasi Sojusznicy. W jej ramach działają jeszcze podgrupy Achillesowe Bractwo dla spotkań wojskowych-gejów i Siostry dla żołnierek-lesbijek.

– Jest nas więcej. Niektórzy wciąż się boją. Mam sygnały od homoseksualistów i osób niebinarnych z prawie każdej jednostki wojskowej. Wielu okazuje wsparcie, mówi, że też kiedyś dołączą. To zresztą wychodzi nawet z prostej matematyki – osoby nieheteronormatywne to kilka procent każdego społeczeństwa. Więc muszą być w armii, zarówno ukraińskiej, jak i każdej innej. Na początku konfliktu w Donbasie niektórzy aktywiści LGBT określili się jako pacyfiści. Przekonywali, że są przeciwni walce na wojnie, bo każde zabójstwo jest złe. On jednak nie zgadza się z tą retoryką.

– To dla mnie jak powiedzenie gwałconej dziewczynie, że nie ma prawa się bronić przed napastnikiem – mówi ostro weteran. – Rosja jest zaprzeczeniem wszystkich wartości, które wyznajemy. Musimy z nią walczyć, niezależnie od płci czy orientacji.

Wywalczyliśmy sobie prawo

Początki drogi do samoidentyfikacji „Francuza" były trudne. – Najczęściej używaną przez mojego ojca obelgą było słowo „*pederast*". W szkole uczono mnie o tym, że prawidłowy związek to jedynie taki mężczyzny i kobiety. Nikt nie wspominał, że są jeszcze inne opcje. Z czasem zauważyłem, że moje ciało bardziej reaguje na chłopców. Potem, gdy trafiałem na pierwsze filmy pornograficzne, zrozumiałem, że intrygują mnie tylko mężczyźni – opowiada.

Starał się być taki jak inni, spotykać się z dziewczynami. Gdy miał 20 lat, zakochał się w najlepszym przyjacielu. Na jednej z imprez uprawiali seks po alkoholu. Wyznał mu miłość, ale przyjaciel kazał zapomnieć o tym, co się wydarzyło. Zerwali kontakt. „Francuz" czuł się winny. Uczęszczał do cerkwi greckokatolickiej, raz nawet wyznał swój grzech na spowiedzi. Ksiądz zalecił mu odmawianie pokuty, aż zło z niego wyparuje.

– Potem, dzięki literaturze, odkryłem, że jest więcej takich jak ja. Na początku zachwyciła mnie poezja Safony, potem odkryłem Rimbauda, Oscara Wilde'a... – wymienia.

Gdy rozpoczął się konflikt w Donbasie, „Francuz" sam się zgłosił do ochotniczego batalionu Donbas. Pół roku spędził na pierwszej linii pod Mariupolem, w miejscowości Szyrokino, jednym z najgorętszych miejsc frontu.

Swoją orientację ukrywał. Kiedy żołnierzy wypuszczano na przepustki, chodził na prostytutki razem z kolegami. Jednocześnie, w wolnych chwilach, spotykał się z miejscowymi chłopakami. Ale wiedział, że to nie zadziała na dłuższą metę. ↦

Starał się przygotować swoje środowisko. W żartach z kolegami nieco flirtował, zostawiał niedopowiedzenia. Ktoś rzucił niby dla żartu, czy „Francuz" nie jest przypadkiem gejem. Potwierdził. „Wiesz, wcześniej byłem homofobem, ale od teraz już chyba nie będę" – odparł kolega.

– Po zakończeniu służby napisałem o swojej orientacji na Facebooku. Oczywiście było trochę negatywnych komentarzy. Ale ucieszyła mnie reakcja społeczeństwa. Okazało się dojrzałe do tego, by rozmawiać o osobach nieheteronormatywnych. Dość już zaklinania rzeczywistości i udawania, że nas nie ma – konkluduje „Francuz".

W grupach żołnierzy LGBT trwają dyskusje o tym, jakie zmiany prawne trzeba przeprowadzić. Wojskowych niepokoi, że gdy któryś z nich zostanie ranny, jego partner nie będzie mógł go odwiedzić na OIOM-ie, bo nie jest członkiem rodziny.

– Mój kolega stracił chłopaka, wręcz narzeczonego, na wojnie. Prawnie jest dla niego nikim. Wiele osób twierdzi, że podczas gdy Ukraina ma poważniejsze problemy, nie czas na poruszanie wątków społeczności LGBT. Nie zgadzam się z tym. Na froncie wywalczyliśmy sobie prawo do rozmowy na ten temat – stwierdza „Francuz".

Weterani Donbasu, których pytam o „Francuza", wzruszają ramionami. Do tego, jak walczył, nikt nie ma zastrzeżeń. Dobry strzelec granatnika, utalentowany medyk. Wielu rannym uratował zdrowie. A z kim śpi, to już jego sprawa.

Słaby chłopiec ratuje świat

Coming out „Francuza" stał się inspiracją dla kolejnych wojskowych. Wśród nich jest Wład Miroszynczenko, artylerzysta. Pochodzi z Ługańska, na wschodzie Ukrainy. Gdy chłopak miał 16 lat, jego rodzinne miasto zostało przejęte przez prorosyjskich separatystów.

– Długo byłem po prostu osobą, która obserwowała zło. Widziałem, jak separatyści biją wyciąganych z domów ludzi, ale nic nie robiłem. Odwracałem się jak wszyscy. Tak samo odwracała się nasza ukraińska milicja, gdy tamci przejmowali budynki administracji. W ten sposób nagle wszyscy znaleźliśmy się w tak zwanej Ługańskiej Republice Ludowej. Zaczęło się życie w martwym mieście. Martwym, bo otaczali mnie ludzie bez dusz, którzy boją się mówić, a nawet myśleć. Ale wiedziałem, że kilka kilometrów dalej, za posterunkami, rozciąga się świat, w którym można żyć inaczej – wspomina chłopak.

Poza proukraińskimi poglądami problemem było jeszcze „to". Największy sekret Włada. Ktoś kiedyś napisał, że kobiety to oceany, a mężczyźni to kontynenty. Wład wolał czuć pod nogami stały ląd.

– Relacje w moim domu rodzinnym były analogiczne do tych między Rosją a Ukrainą: terror i moja wieczna walka o niepodległość – określa krótko. – Ojca denerwowała moja delikatność, chciał, żebym był prawdziwym mężczyzną. Najlepiej górnikiem jak on. Ale ja wiedziałem, że bardziej podobają mi się chłopcy. Kiedyś jeden polubił mi zdjęcie na portalu randkowym. Napisał, że jestem ładny. Jakiś czas pisaliśmy. Raz wysłał mi buziaczek. Ojciec to zobaczył. Profilaktycznie mnie pobił, by wybić mi z głowy całuski od facetów.

Od tego czasu Wład był ostrożniejszy. Jednak życie stawało się coraz bardziej nieznośne. Wokół otaczała go rosyjska propaganda, w której Europy nie nazywało się inaczej niż „Gejropa". W szkołach opowiadano, że „takie" dzieci trzeba zabijać. Być homoseksualistą pod rosyjską okupacją to zagrożenie dla życia. W Ługańskiej Republice za homoseksualizm można było zostać skazanym na 3 lata więzienia. Wład nie mógł oddychać, ale nie wiedział też, jak uciec. Cała jego wiedza o świecie poza Ługańskiem pochodziła z internetu. Nigdy nawet nie był poza Donbasem. Ale potem zachwyciły go postaci z „Władcy pierścieni". W opowieści o odważnych hobbitach zobaczył siebie.

– Ta książka pokazała mi, że słaby, niepozorny chłopak, którego nikt nie bierze na poważnie, może uratować świat. Zrozumiałem, że nie ma co czekać, aż ktoś z Ukrainy przyjdzie nam pomóc. Trzeba walczyć. Gdy skończył 18 lat, po prostu wsiadł do autobusu i wyjechał z nieuznawanej republiki. Pierwsze kroki skierował do komisji poborowej. Oznajmił, że chce wyzwolić swoje miasto spod okupacji. Urzędnicy nie byli pewni, co zrobić z chłopakiem z Ługańska, który miał 170 cm wzrostu i ważył 50 kg. Zapytali, czy umie liczyć. Umie, interesował się informatyką. Tak trafił do wojsk artyleryjskich, gdzie służył dwa lata. Tam prowadził podwójne życie. Na co dzień spokojny i lubiany dowódca armaty, ale gdy nikt nie patrzył, natychmiast włączał w telefonie grupy internetowe dla społeczności LGBT. Kiedy towarzysze broni opowiadali mu o swoich żonach, zmieniał temat. Sam unikał odpowiedzi, gdy pytali, czy też ma dziewczynę. Kolegów odwiedzały ich partnerki. Ale do niego chłopak nie mógł przyjechać. Wład poczuł, że znowu się dusi.

Pewnego dnia poszedł do dowództwa i oznajmił, że jest nie tylko wojskowym, ale też gejem i aktywistą LGBT. I chce się ujawnić, by pokazać innym, że jest żywym człowiekiem, a nie internetowym botem.

– Na początku dowódca tłumaczył, że mogę sobie spokojnie żyć dalej i nie robić zamieszania. Powtarzałem, że nie mogę – opowiada.

W końcu dostał pozwolenie. O swojej orientacji napisał na Facebooku, dał też kilka wywiadów. Żołnierze służący z Władem reagowali różnie. Niektórzy zapewniali, że jest w porządku, niezależnie od preferencji. Inni nie rozumieli. Jeden z wojskowych w nocy stanął nad jego łóżkiem i zaczął opowiadać, że gejom powinno się odcinać genitalia. Usłyszał też, że w armii jest masa narkomanów, ale żaden z nich nie robi coming outu jako narkoman walczący za ojczyznę.

– To nie były złe chłopaki. Po prostu uważali, że homoseksualizm to choroba. Takich ludzi trzeba uświadamiać, pokazywać im, że choć nasza orientacja się różni, nasze idee są takie same. I że skoro walczymy o wolność na froncie, tak samo powinniśmy bronić jej w społeczeństwie – tłumaczy.

Wszystkie wojny Wiktorii

– Przede wszystkim przepraszam za mój głos. Dopiero zaczęłam proces tranzycji płciowej. Wczoraj minęło równo sześć miesięcy, odkąd biorę hormony – mówi niskim, ale miękkim głosem Wiktoria z Charkowa. Rozmawiamy przez jeden z popularnych komunikatorów. Na awatarze na tle tęczowej flagi widnieje ładna kobieta w kasztanowej peruce i perfekcyjnie wykonanym makijażu *smokey eyes*. Wiktoria jest wieloletnią wojskową i weteranką wojny w Donbasie. Za służbę ma kilka medali. Była ranna podczas ostrzału pod Donieckiem, cudem uszła z życiem. Ale fotografie z wojny udostępnia tylko z zakrytą twarzą. Dla bezpieczeństwa. Nie chce, by rozpoznał ją ktoś z towarzyszy broni. Nikomu – jak mówi – z poprzedniego, męskiego życia nic do tego, jaka

Wład Miroszynczenko, artylerzysta. Pochodzi z Ługańska, na wschodzie Ukrainy. Kijów, wrzesień 2020 r.

jest teraz. Niechętnie pokazuje mi zdjęcia z czasów służby w armii. Widnieje na nich muskularny, brodaty mężczyzna.

– I homofob. Dopóki nie odnalazłam siebie, byłam homofobką. Robiłam wszystko, by zdusić w sobie kobietę. Zajmowałam się wszelkimi męskimi zajęciami, sportem, często się biłam. Walczyłam o to, by nikt się nie domyślił, że coś jest ze mną nie tak – dodaje. – Wcześniej w dzieciństwie miałam swoją sekretną laleczkę, którą przebierałam w sukienki, bawiłam się z koleżankami. Ale inne dzieci się ze mnie śmiały, więc uznałam, że to coś złego i trzeba to ukryć. Cały czas musiałam się kontrolować, by nie wykonać żadnego naturalnego dla mnie kobiecego ruchu, nie położyć ręki na talię.

Pokazuje kolejne zdjęcia, już podczas terapii hormonalnej. Na comiesięcznej dokumentacji zmian widać, jak znika zarost, a rysy stają się bardziej dziewczęce. Po chwili usuwa zdjęcia z rozmowy.

– 29 lat ukrywałam, kim jestem, zarówno przed znajomymi, jak i przed samą sobą. Walcząc z tym, zabijałam samą siebie, kolejni psychiatrzy rozkładali ręce. Choć mówiłam, że nie mogę znieść swojego ciała, nikt się nawet nie zająknął, że to może wynikać z problemów z tożsamością płciową. Gdy chciano mnie leczyć na schizofrenię w szpitalu wojskowym, zrozumiałam, że albo będę kobietą, albo będę martwa – wspomina Wiktoria.

– Po tym, jak powiedziałam głośno lekarzom, że czuję się kobietą w męskim ciele, od razu poczułam się lepiej. Jakbym zrzuciła z siebie wielki ciężar. Natychmiast zapragnęłam przebić uszy, mieć długie włosy. Zacząć od początku.

Jednak szybko okazało się, że nie ma dla Wiktorii miejsca w ukraińskich siłach zbrojnych. Po coming oucie przed wojskowymi psychiatrami określono ją jako niezdolną do dalszej służby wojskowej.

– Jedyne wykształcenie, jakie posiadam, to stopnie wojskowe i kursy, które przeszłam w armii. W cywilnym życiu są nieprzydatne. Nie wiem, co dalej. Na razie dorabiam plotąc bransoletki. Tak naprawdę, pozbywając się mnie, armia straciła dobrego żołnierza. Choć każda osoba powinna być na wagę złota, bo przecież trwa wojna – stwierdza.

Teraz dla Wiktorii najważniejsze to zrobić porządek ze swoim ciałem, być już w zupełności kobietą. Jeszcze nie wie, w jaki sposób pokryje koszt operacji oraz dalszej terapii korekcji płci, bo na Ukrainie nie jest to w żaden sposób refundowane.

Nieznani bohaterowie

W Kijowie wokół Soboru św. Michała Archanioła o Złotych Kopułach rozciąga się ukraińska Ściana Płaczu. Na murze widnieje kilka tysięcy fotografii tych, którzy stracili życie w Donbasie.

Gdy w zeszłym roku podczas obchodów Dnia Poległych Obrońców Ukrainy „Francuz" rozmawiał pod ścianą z ojcem kolegi, który zginął na jego oczach, inny żołnierz do niego podbiegł i uderzył go w tył głowy. Wykrzykiwał, że „Francuz" jest pedałem i nie ma prawa stać koło zdjęć bohaterów. Obronili go koledzy z oddziału, po atakującego przyjechała policja. Sprawę zakwalifikowano jako chuligaństwo, bo w ukraińskim kodeksie karnym nie ma kategorii ataków na tle homofobicznym.

– Na tej ścianie jest trzynastu moich poległych towarzyszy broni – oburza się „Francuz". – Walczyłem razem z nimi i teraz ktoś chce mi zabrać prawo do złożenia tam kwiatów? Przecież moje zdjęcie też mogło bardzo łatwo znaleźć się na tej ścianie. Kto wie, ilu z poległych, którym oddaje się teraz hołd, było gejami?

Jako dowód pokazuje mi w telefonie profil na Facebooku oznaczony jako „In memoriam". Na zdjęciu profilowym chudy, wysoki chłopak obejmuje śliczną brunetkę. Chłopak został zastrzelony przez rosyjskiego snajpera kilka miesięcy później.

– Aktywny członek naszych grup, gej. A to zdjęcie to typowy kamuflaż. Zrób sobie zdjęcie z dziewczyną, nikt się wtedy nie domyśli – komentuje „Francuz". – Rodzice wiedzą, że syn był gejem, ale prosili nas, byśmy tego nigdzie nie rozgłaszali. Boją się, że w oczach niektórych syn będzie po tym mniej bohaterem.

© MONIKA ANDRUSZEWSKA

HISTORIA

WRASTANIE W WYSPY

75 lat temu Polacy przejmowali kontrolę nad Wolinem i częścią Uznamu. Dla miejscowych Niemców oznaczało to z reguły perspektywę grabieży i pracy niewolniczej, czasem morderstw i gwałtów, a w końcu wysiedlenia.

PIOTR OLEKSY

W październiku 1945 r. Alfred Trost, lekarz z Międzyzdrojów, musiał być przybity, a w przyszłość patrzył z niepokojem. Kilka miesięcy wcześniej, zaraz po nadejściu radzieckich żołnierzy, jego żonę i córkę spotkała wielka tragedia. Teraz usłyszał, że wyspa Wolin i jego Międzyzdroje przechodzą pod władanie Polaków. Nie potrafił powiedzieć, czy to dobrze, czy źle. Kończył się trwający od maja czas, w którym jedyną władzą była Armia Czerwona. Zaczynało się coś nowego, choć nikt nie przypuszczał, że Polska zostanie tu na dłużej. W niepewnych czasach Trost robił to, co umiał najlepiej: leczył wszystkich, bez względu na pochodzenie czy mundur.

75 lat temu dokonał się kolejny akt ustalania powojennych granic naszego kraju. Na północno-zachodnim krańcu w jego skład weszły ziemie leżące na lewym brzegu Odry oraz wyspy: Wolin, Karsibór i część Uznamu obejmująca Świnoujście. Decyzja o przekazaniu tych terenów Polsce zapadła na konferencji w Poczdamie, która zakończyła się

ARTUR KUBASIK

Baza rybacka na terenie dawnej cementowni w Lubinie na wyspie Wolin

2 sierpnia 1945 r. Ta kwestia miała znaczenie strategiczne: kto kontroluje Szczecin i Świnoujście, ten kontroluje ujście Odry do Bałtyku.

Radzieckie dowództwo odwlekało jednak realizację postanowień z Poczdamu. Grupa operacyjna, na czele z Władysławem Matulą, członkiem Polskiej Partii Socjalistycznej, przybyła do Świnoujścia już 10 sierpnia. Odprawiono ich z kwitkiem, więc udali się do pobliskiego Kamienia Pomorskiego, gdzie czekali m.in. na demarkację granicy pomiędzy Polską a radziecką strefą okupacyjną na terenie Niemiec. 21 września 1945 r. podjęto w końcu decyzję, że będzie ona przebiegać 10 km na zachód od Szczecina i 2 km od Świnoujścia. Datę przejęcia kontroli nad wyspami wyznaczono na 4 października. Powstał Obwód Uznam-Wołyń, bo tak wtedy zapisywano nazwę Wolin, który następnie przekształcono w powiat woliński, z centrum administracyjnym w Świnoujściu.

Radzieckie wojsko nie zamierzało jednak oddawać pełnej kontroli nad strategicznym regionem. Co ciekawe: zarówno do sprawowania nad nim pieczy, jak i gospodarczej eksploatacji wykorzystywało przede wszystkim Niemców. Znajdując się w sytuacji bez wyjścia, zdawali się być bardziej godni zaufania niż Polacy. Ci ostatni chcieli się stać realnymi gospodarzami wysp, co skazywało ich na rywalizację z Armią Czerwoną: o wyposażenie fabryk, infrastrukturę oraz tanią siłę roboczą w postaci dotychczasowych mieszkańców.

Odrębny świat

Mieszkający tu Niemcy znaleźli się w odmiennej sytuacji niż ich rodacy na terenach przyłączanych wtedy do Polski. Wojna realnie przyszła do nich na przełomie zimy i wiosny 1945 r., najpierw w postaci rzeszy uciekinierów z Prus Wschodnich i południowej części Pomorza, a później jako hekatomba. 12 marca 1945 r. nad Świnoujście nadleciały samoloty 8 Floty Powietrznej USA. W ciągu 70 minut zrzuciły aż 1609 ton ładunków wybuchowych, co przyniosło śmierć ok. pięciu tysięcy osób, przede wszystkim uciekinierów z Prus Wschodnich. Było to drugie największe bombardowanie w czasie tej wojny, po nalocie na Drezno. Trudno wyjaśnić militarny sens zniszczenia miasta, które od kilkunastu tygodni było wielkim obozowiskiem dla uchodźców.

Jedna z pierwszych bomb trafiła we wpływający do portu drobnicowiec Andros, na którym znajdowało się ok. 600 uciekinierów z okolic Allenstein (Olsztyna). Statek zatonął natychmiast, uratowano zaledwie kilkanaście osób. Wiele ofiar bombardowania – w większości niezidentyfikowanych – pochowano na pobliskim wzgórzu Golm. Do niedawna punkt widokowy i popularne miejsce wypoczynku stało się masową nekropolią, jedną z największych na terenie Niemiec (wzgórze leży tuż przy granicy).

W maju nadeszła natomiast Armia Czerwona i wyspy stały się częścią radzieckiej strefy okupacyjnej. W ten sposób lokalni Niemcy uniknęli pierwszych, brutalnych wysiedleń, które spotkały ich rodaków w innych częściach Nadodrza. Nikt nie spodziewał się, że wyspy mogą trafić do Polski, więc ci, którzy uciekli wiosną, zaczęli wracać. Choć w skali całego Pomorza Zachodniego wyludnienie wynosiło w tym okresie prawie 80 proc., to liczba mieszkańców wysp zmniejszyła się w porównaniu do okresu przed nadejściem radzieckiej armii jedynie o 30 proc. Polska przejmowała niewielki, lecz zaludniony region.

Wśród powracających była również pięcioletnia Britta Wuttke. Wraz z matką, jako jedne z pierwszych, wróciły do Międzyzdrojów po kilku tygodniach spędzonych w Meklemburgii. Dziewczynka znała Alfreda Trosta, jak każdy w miasteczku. Podziwiała miejscowego lekarza, oddanego swym pacjentom. Już wtedy postanowiła, że w przyszłości pójdzie w jego ślady. Jako dziecko, wspólnie z innymi mieszkańcami miasta, przeżywała również tragedię jego żony i córki.

W maju 1945 r. Trost opiekował się synkiem państwa Nolting, któremu groziła amputacja nogi. Postanowił ratować dziecko przed kalectwem. Przez kilka dni przychodził do chłopca co godzinę, półtorej, by zmienić opatrunek. Później, gdy chłopcu się polepszyło, pani Nolting przyprowadzała go na kontrolę. Pewnego wieczora lekarz otworzył jej drzwi zupełnie zielony na twarzy. Pokazał jej tylko, że ma być cicho, po czym zabrał do swego gabinetu. Gdy tam się znaleźli, Trost wydusił z siebie: na górze są Rosjanie, mają żonę i Sybillę – opowiadała Britta. Żona nie wytrzymała traumy gwałtu i popełniła samobójstwo. Córka ciężko zachorowała.

Mało wiemy o tym, co się działo na wyspach między majem a październikiem 1945 r. Bez wątpienia jednak tragedię przeżyła ogromna liczba niemieckich kobiet. Świadczy o tym fakt, że jednym z największych problemów, z którym musiała zmierzyć się polska administracja po objęciu władzy nad regionem, były choroby weneryczne wśród ↦

żeńskiej części społeczności. W styczniu 1946 r. zarządzono przymusowe badania lekarskie dla wszystkich kobiet w wieku od 15 do 50 lat. „Wobec zastraszającego się rozszerzania chorób wenerycznych..." – pisał w swym zarządzeniu Władysław Matula.

Dylematy

Mała Britta, w przeciwieństwie do mamy i ciotek, szybko polubiła Polaków. Zdawali się godni zaufania, zwłaszcza po przygodzie z fotelem. Pewnego dnia zaproszono Niemców na zebranie. Jeden z polskich włodarzy zapewniał m.in., że wszelkie dobra zrabowane lub wyszabrowane w ostatnich miesiącach na pewno wrócą do właścicieli. Prosił, by zgłaszać takie sytuacje. – Pan siedzi na naszym fotelu – powiedziała głośno pięciolatka, ku przerażeniu matki. Włodarz był lekko skonfundowany, uśmiechnął się jednak i powiedział, że oczywiście mogą fotel zabrać.

Polskie władze miały poważny dylemat odnośnie do lokalnych Niemców. Zagrabionym mieniem nikt się nie przejmował i wydawało się, że najlepiej będzie jak najszybciej wysiedlić jego niedawnych właścicieli. Byli jednak potrzebni do pracy. Akcja osadnicza rozkręcała się bardzo powoli. Jeszcze w styczniu 1946 r. w większości wsi na wyspie Wolin było zaledwie po kilka polskich rodzin, w innych nie było nikogo. Tymczasem bogaty region należało wykorzystać dla rozruszania polskiej gospodarki. Pełnomocnik rządu na Pomorze Zachodnie Leonard Borkowicz pisał do Bieruta: „Żaden niemiec i żadna niemka nie może siedzieć bezczynnie w okresie kopania kartofli" (pisownia oryginalna). Władysław Matula natomiast raportował Borkowiczowi: „Politykę wysiedlenia Niemców prowadzę bardzo ostrożnie, zdając sobie sprawę ze szkód, jakie na skutek błędnej polityki ucierpiałby tut. obwód, mając doświadczenie innych obwodów".

Wielu Niemców wolało pracować dla „Rosjan" niż dla Polaków. Wychodząc spod władzy polskiej administracji, odwlekali wysiedlenie.

U Żukowa za piecem

Tania siła robocza była potrzebna również radzieckiemu dowództwu, głównie do prac rozbiórkowych. Lokalne zakłady i urządzenia przemysłowe wywożono do ZSRR. Taki los spotkał m.in. cementownię w Lubinie na wyspie Wolin. Przed wojną był to jeden z największych i najbardziej nowoczesnych zakładów tego typu w Europie. Kopalnia kredy, kilkukilometrowa kolejka wagonikowa, fabryka przetwarzająca surowiec z potężnymi kominami oraz własny port, z którego barki odbierały cement. Większość cennego sprzętu fabrycznego pojechała do Briańska. Po kilku latach wysadzono potężne kominy. Andrzej Wajda wykorzystał rumowisko do kręcenia kilku scen „Kanału", w części portowej stworzono bazę rybacką.

W Policach, po drugiej stronie Zalewu Szczecińskiego, znajdowała się nato-

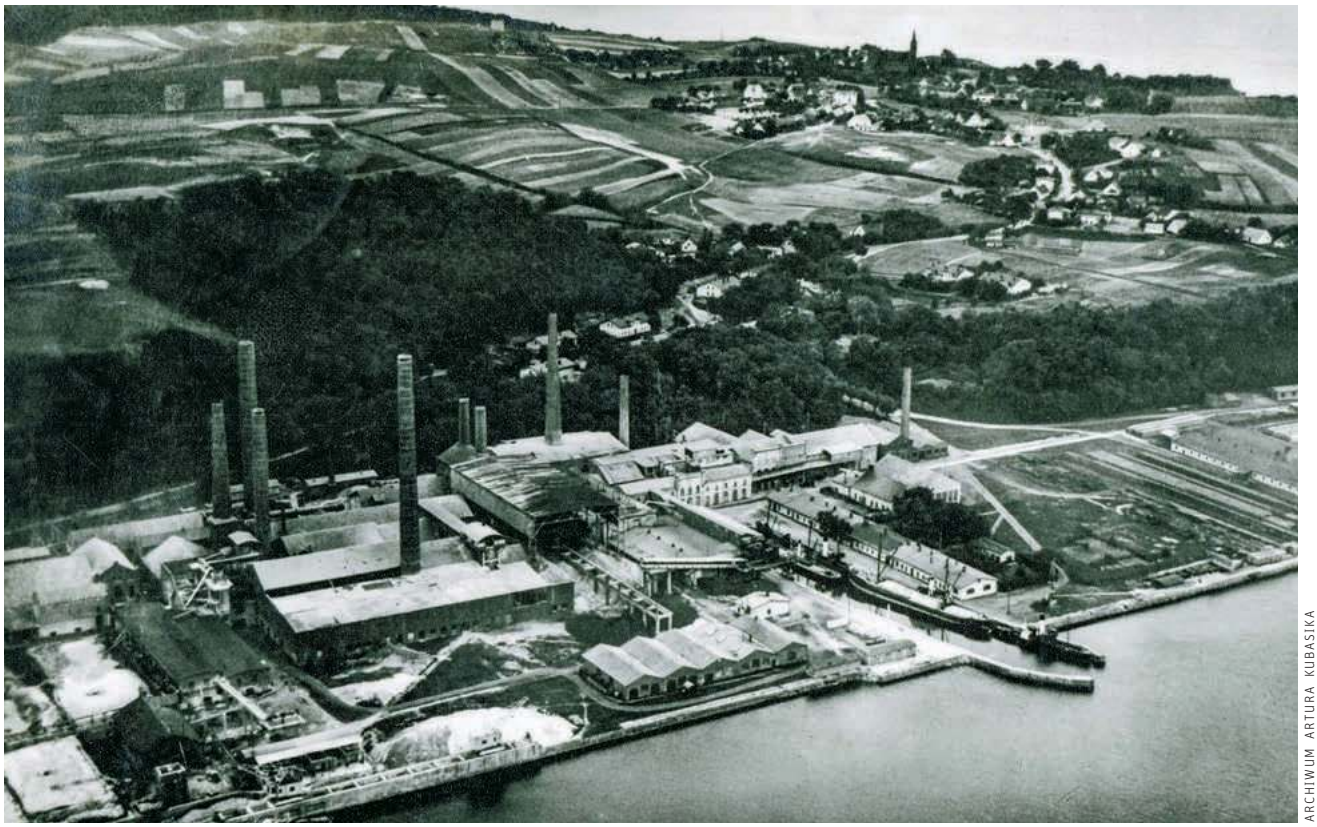

ARCHIWUM ARTURA KUBASIKA

Cementownia w Lubinie na przedwojennej pocztówce.

ARCHIWUM RODZINY KOTWICÓW

Polscy osadnicy, w tle kominy cementowni w Lubinie,

miast fabryka benzyny. Bolesław Bierut osobiście zabiegał u Stalina o pozostawienie zakładu, nic to jednak nie dało. Przy demontażu pracowało ok. 20 tys. Niemców.

W regionie brakowało lekarzy, inżynierów czy rybaków, a dwie władze – polska i radziecka – rywalizowały o niemieckich fachowców. W Świnoujściu Armia Czerwona kontrolowała nie tylko większość miasta, ale również wodociągi, przeprawę promową czy pocztę. Polscy obywatele, by dostać się do leżącego na wyspie Uznam centrum miasta, musieli okazać specjalną przepustkę.

Ten odrębny świat, zarządzany przez „sowietów", był obsługiwany przez niemieckich rybaków, rolników i inżynierów, co niepokoiło polskie władze. Leonard Borkowicz za zagrożenie dla integralności państwa polskiego uważał fakt, że załogę świnoujskiego urzędu pocztowego stanowią wyłącznie Niemcy. „(...) obserwuje się pewną aktywizację ich życia politycznego, zachodzi prawdopodobieństwo, że urząd pocztowy w Świnoujściu jest w aktywizacji tej czynnie zaangażowany" – pisał w styczniu 1946 r. do Jana Wasilewskiego, wiceministra Ziem Odzyskanych. Faktem było, że wielu Niemców wolało pracować dla „Rosjan" niż dla Polaków – otrzymywali lepszy zarobek, a często byli też lepiej traktowani.

ARTUR KUBASIK

BRITTA WUTTKE, *lekarka z Międzyzdrojów, autorka autobiograficznej powieści o trudach wrastania młodej Niemki w polskość.*

W ten sposób wychodzili spod władzy polskiej administracji, odwlekając wysiedlenie.

Szczególnym przedmiotem tej rywalizacji byli rybacy. Bogactwo ryb w wodach Bałtyku i Zalewu Szczecińskiego dawało szansę na zrekompensowanie niedoborów żywności. Polscy osadnicy najczęściej nie potrafili jednak łowić. Potrzebowali Niemców, którzy mieli dla nich pracować, a przy tym uczyć trudnego fachu. Armia radziecka również zatrudniała rybaków – część z nich osiedlono w Kamminke, wiosce na wyspie Uznam, która znalazła się po drugiej stronie granicy. Często jednak radziecka jednostka rekwirowała obfity połów z polskiego kutra.

Wszechwładza tego wojska sięgała poza Świnoujście. Sołtysi wsi z wyspy Wolin nieustannie skarżyli się na rabunki i samowolę „bratniej armii". Tak np. sołtys Lepak Damazy zgłosił kradzież ok. 200 litrów oleju do transformatora oraz łódki motorowej, a także zaznaczył, że chciał stawiać opór, lecz żołnierz radziecki „powiedział, że ma rozkaz od Żukowa, robić, co mu się podoba".

Z tym argumentem nikt nie mógł dyskutować. Ogromnym problemem dla polskiej administracji był właśnie fakt, że radzieckie jednostki stacjonujące na wyspach nie podlegały marszałkowi Konstantemu Rokossowskiemu, który jako tako liczył się z opinią Warszawy, tylko marszałkowi Gieorgijowi Żukowowi, który dowodził strefą okupacyjną w Niemczech. „Fakt ten ma szereg bardzo doniosłych konsekwencji, zarówno w odniesieniu do zamierzonej akcji repatriacyjnej ludności niemieckiej, jak i w odniesieniu do bieżących zagadnień administracyjnych – pisał Borkowicz w kolejnym liście do Wasilewskiego. – (...) należy dążyć do przekazania wspomnianego obszaru pod kompetencje Marszałka Rokossowskiego".

Coś Polskę

Kilka miesięcy po przyłączeniu wysp do Polski nadeszła bardzo mroźna zima. Świnę skuł lód, przez co wyspa Uznam została odcięta od reszty kraju. Na kilka tygodni władzę nad polską częścią Świnoujścia przejęli komendant milicji Jan Zientara i szef lokalnej komórki UB Jan Sołtyniak. Doszło do szeregu zbrodni na ludności niemieckiej. Rabunki, gwałty i morderstwa. Nieliczne opisy tych wydarzeń przerażają. Sprawa wyszła na jaw pod koniec marca 1946 r. Gdy puścił lód, Komenda Wojewódzka MO skierowała kontrolę do miasta. Winni zostali formalnie ukarani, jednak skala ich zbrodni jest niejasna. Zientara został ułaskawiony po roku, pozostałym zmniejszono kary o połowę.

W tym czasie służbę zdrowia na wyspie Wolin tworzyli lekarz Alfred Trost, jego córka Sybilla, pielęgniarka, ↦

↦ niedawna ofiara przemocy seksualnej radzieckich żołnierzy, oraz sanitariusz Stanisław Rodzewicz, były więzień obozu w Oświęcimu. Pewnego dnia wojskowe radio podało, że u kobiety rodzącej w świnoujskim szpitalu wystąpił krwotok, była w ciężkim stanie. Brakowało tam doświadczonych lekarzy. Spiętrzenie kry powodowało, że żadna jednostka nie była w stanie przedostać się na drugą stronę Świny.

– Rodzewicz opowiadał mi, że wspólnie z Trostem natychmiast udali się nad kanał – wspominała Britta Wuttke – Trost wysiadł z samochodu i rzucił mu krótko: pilnuj wszystkiego! Sam wziął lekarski kuferek w rękę i skoczył na lód. I tak, przeskakując z kry na krę, przedostał się na drugą stronę.

Po latach to właśnie ona kontynuowała jego dzieło, tak jak obiecała sobie w dzieciństwie. Wysiedlanie zakończono w 1948 r., jednak pojedyncze osoby zdecydowały się zostać. Było to możliwe, jeśli udało im się udowodnić polskie pochodzenie. Rodzinę Wuttke skłonił do tego m.in. fakt, że wyjazd przekreślałby szansę na kontakt z ojcem Britty – ślad po nim zaginął w czasie łapanki, którą w maju 1945 r. urządziło radzieckie wojsko. Odnalazł się w 1953 r., tym samym, w którym zmarł Trost. Po studiach Britta podjęła pracę naukową, szybko jednak wróciła do międzyzdrojskiej przychodni, w której pracowała do 1980 r. Jej powieść „Homunculus z tryptyku" (1977), opowiadająca o całej złożoności wrastania młodej Niemki w polskość, zyskała szerokie uznanie.

A przecież historia Britty, a także losy Alfreda Trosta, polskich osadników i urzędników oraz radzieckich żołnierzy, to również opowieść o wrastaniu naszego kraju w niemieckie wyspy. Powolnym, opornym, kształtującym się przez relacje z dotychczasowymi gospodarzami oraz polityczno-militarnym hegemonem.

Podobno gdy Trost skakał przez krę na Świnie, by pomóc rodzącej kobiecie, obserwujący go ludzie uklęknęli. Ktoś zaintonował pieśń, inni szybko ją podjęli. Było to „Boże, coś Polskę".

© PIOTR OLEKSY

Autor jest historykiem i publicystą, pracuje na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraków kbf: KRAKÓW UNESCO CITY OF LITERATURE FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO | TYGODNIK POWSZECHNY allegro

ORGANIZATORZY

PARTNERZY STRATEGICZNI FESTIWALU CONRADA 2020

wylicytuj portret Conrada

Oto kolejny fragment najnowszego dzieła Albina Talika „Conrad"

Portret Josepha Conrada wykonany został techniką kolażu-wyklejanki z archiwalnych numerów magazynu „Conrad" i okładek „Tygodnika Powszechnego". Kompozycja odnosi się do hasła przewodniego tegorocznej edycji największego festiwalu literackiego w Polsce: „widzialne i niewidzialne" i ukrywa wiele zagadek odnoszących się do dzieł Conrada.

Aukcja odbędzie się w październiku, a wylicytowaną kwotę przeznaczymy na rozwój Festiwalu Conrada, którego pomysłodawcą, a także współorganizatorem wspólnie z Miastem Kraków i KBF jest „Tygodnik Powszechny". Dzięki temu zwyciężczyni bądź zwycięzca aukcji nie tylko stanie się właścicielem cennego dzieła sztuki – portretu najchętniej czytanego na świecie pisarza z Polski autorstwa znakomitego krakowskiego artysty – lecz również wesprze największy festiwal literacki w Polsce.

CONRAD FESTIVAL

O tym, jak powstawał portret, w następnym wydaniu „Tygodnika Powszechnego"

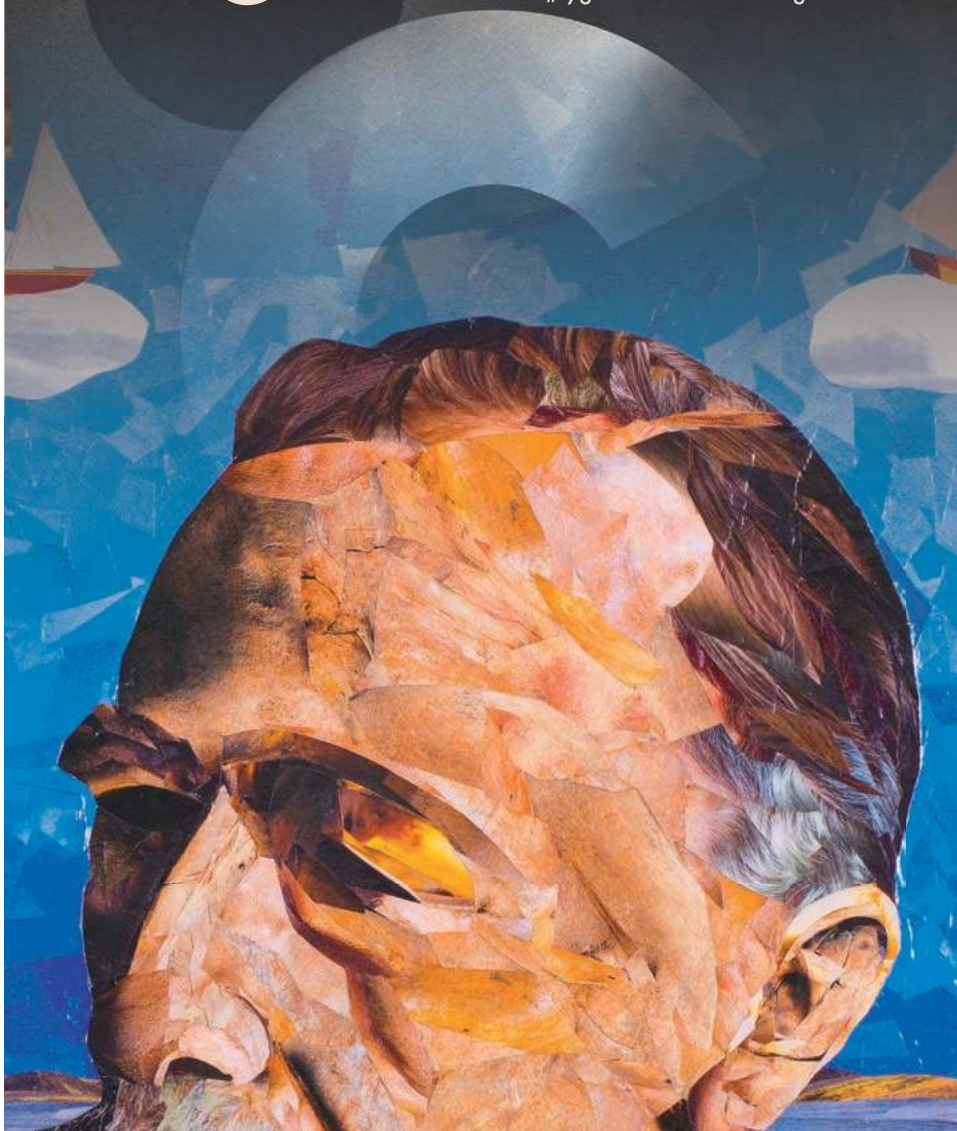

Ważne nie jest to, jak rozumiemy wolność. Ważne jest to, jak każdy z nas odbiera wolność innym. Wszelkie rozmowy o wolności powinny zaczynać się od tego osobistego pytania.

STEFAN CHWIN

O pojęciach takich jak DOM, MIŁOŚĆ, CZAS, NADZIEJA, WIARA, ŻYWIOŁ czy WOLNOŚĆ opowiadają Autorzy i Autorki „Tygodnika" oraz ich wybitni rozmówcy.

DOBRE ŻYCIE – najnowsze wydanie specjalne bestsellerowej serii „Tygodnika Powszechnego" dostępne w salonach prasowych i punktach z dobrą prasą oraz jako e-book na powszech.net/dobrezycie

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY / GRAFIKA NA OKŁADCE MARTYNA WÓJCIK-ŚMIERSKA DLA „TP"

TYGODNIK POWSZECHNY

WSPÓŁWYDAWCA FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

PARTNERZY WYDANIA PRZEKRÓJ RMF Classic

JAK OŻYWIĆ ATMOSFERĘ

14 września doniesiono, że w chmurach spowijających Wenus występuje fosforowodór. Nuda? Wystarczyło kilka zabiegów, by wszyscy zaczęli nagle mówić o pozaziemskim życiu.

ŁUKASZ LAMŻA

Astrochemia to jedna z nauk detektywistycznych. Jak kryminalistyka albo geologia strukturalna. Badacz natrafia na coś – może to śladowa ilość jakiegoś gazu, może pęknięcia skalne układające się w zygzaki, a może plamka krwi? Po dokładnym zbadaniu tego czegoś przystępuje się do fazy drugiej: wymyślenia wszystkich możliwych sposobów, jak owo coś mogło powstać.

W idealnych warunkach obserwacje są zgodne tylko z jednym scenariuszem; czasem z kilkoma. Bywa jednak i tak, że sensownego scenariusza po prostu brakuje – i pozostają nam już tylko te szalone. Astronomowie od fosforowodoru znaleźli się poniekąd w tej ostatniej sytuacji; a zapewne chcieli trochę, żebyśmy tak pomyśleli.

Zabawa w detektywa

Ale po kolei. Znaleziony w atmosferze Wenus fosforowodór (PH_3) to prościutki związek chemiczny składający się z jednego atomu fosforu i trzech wodorów. Można by słusznie zapytać, czy to rzeczywiście aż tak niezwykłe znalezisko. Tak na chłopski rozum: skoro fosfor i wodór występują w wenusjańskiej atmosferze (a występują), to czy te cztery atomy nie mogłyby się jakoś po prostu skleić ze sobą i... *voilà*?

Rzecz w tym, że chemia nie działa na chłopski rozum. Czasem związki różniące się jednym tylko atomem dzieli bariera niemożliwości. Ot, weźmy swojski tlen. W atmosferze ziemskiej występuje w postaci O_2, czyli tlenu cząsteczkowego: dwa atomy tlenu połączone wiązaniem chemicznym. A co z O, pojedynczym atomem tlenu? Czy nie byłoby prościej „zrobić" O niż O_2? Tu wkracza chemia. Samotny atom tlenu jest obiektem szaleńczo wręcz reaktywnym: gdy tylko zbliżyć do niego inny atom albo związek chemiczny, jest spora szansa, że wejdzie z nimi w reakcję. Choć więc „rozbicie" cząsteczki O_2 może czasem zajść, powstałe w ten sposób swobodne atomy O zostają natychmiast przez coś podchwycone.

Co innego jednak w górnych warstwach atmosfery, gdzie powietrze stopniowo się rozrzedza. Gdy coś – np. foton ultrafioletowy ze Słońca – z odpowiednią siłą puknie w znajdującą się tam cząsteczkę O_2 i rozbije ją, to powstałe w ten sposób swobodne atomy tlenu będą musiały sporo się naczekać, zanim spotkają potencjalnego partnera do chemicznego tańca. Wskutek tego na wysokości 100 km nad powierzchnią Ziemi aż 96 proc. wszystkich atomów tlenu to już single.

I tu wracamy do zasadniczej zagadki wenusjańskiego fosforowodoru. Problem nie leży w składnikach, tylko w możliwości ich połączenia. Fosforu nie brak, jednak jest on już zajęty – związany w różnorakich związkach chemicznych. Choć nie jest to pewne, podejrzewa się, że są to P_2O_5 i H_3PO_4: pięciotlenek fosforu i kwas fosforowy. W obu przypadkach atomy fosforu otoczone są przez tlen, zazdrośnie

ESO / M. KORNMESSER / COVER IMAGES / FORUM

kryjący do nich dostęp innym atomom. Tlen nie tylko bardzo lubi się wiązać, ale kiedy to nastąpi, potrafi przylepić się do swojego chemicznego partnera jak pijawka. Wykrycie PH_3 na Wenus to więc rzeczywiście spora zagwozdka: coś musiało wykraść atomy fosforu z zachłannych szponów tlenu, a ponadto obliczenia pokazują, że gaz ten – nawet gdyby jakimś cudem powstał – powinien być w wenusjańskich warunkach systematycznie utleniany. Skoro więc PH_3 występuje w atmosferze w – by tak rzec – sensownej ilości (w tym przypadku, wierzcie lub nie, mówimy o poziomie 20 ppb, czyli 20 cząstek na miliard), musi być tam stale produkowany. Tylko jak?

I tu zaczyna się zabawa w detektywa. Autorzy opublikowanego w „Nature Astronomy" artykułu, który narobił tyle zamieszania (J.S. Greaves i inni „Phosphine gas in the cloud decks of Venus"), zadali jedno proste pytanie: jakie zjawiska zachodzące na Wenus – fizyczne, chemiczne, atmosferyczne, geologiczne – mogłyby prowadzić do powstawania PH_3? Najpierw sprawdzono przebieg 75 „podejrzanych" reakcji chemicznych w warunkach panujących na Wenus. Pudło. Następnie, dla spokoju sumienia, przetestowano te same reakcje w innych warunkach (a nuż tu i ówdzie powierzchnia Wenus jest gorętsza albo chłodniejsza, albo bardziej zasadowa?), co dało łącznie kilka tysięcy kombinacji. Też nie. Później włączono do badań minerały. Choć dotychczasowe misje na Wenus nie potwierdziły występowania na jej powierzchni skał zawierających fosforki, ich obecność byłaby tam względnie sensowna. I to jednak na nic.

A może odpowiedzialne jest Słońce? W końcu to właśnie ono robi dziwne rzeczy z tlenem w naszej własnej atmosferze. Wszystko rozbija się jednak o liczby: strumień promieniowania słonecznego na Wenus jest po prostu zbyt słaby, aby odpowiadał za występujące tam PH_3. Może zatem... pioruny? Za rzadko, za słabe. Wulkany? Zbyt nieliczne, zbyt uśpione, no i wyziewy jakby nie te, co trzeba.

W ten sposób docieramy do końca zasadniczej części artykułu z „Nature Astronomy". Autorzy meldują, że znane zjawiska planetologiczne nie tłumaczą obecności PH_3 na Wenus. I tu by się właściwie mogła zakończyć cała ta historia. „Planetolodzy przypuszczają, że na Wenus występuje jakieś nowe, nieznane zjawisko geologiczne albo atmosferyczne". Ktoś jednak postanowił pospekulować bardziej – i jako jedno z możliwych wyjaśnień wymieniono... życie.

Z życia wzięte

Argument jest następujący: PH_3 występuje na Ziemi jako jeden z produktów metabolizmu niektórych bakterii beztlenowych. Skoro więc znamy jedną ścieżkę chemiczną prowadzącą do fosforowodoru, to czemu by jej nie transplantować na Wenus? Autorzy nie pisnęli na ten temat ani słówkiem, ale są tu dwie możliwości: migracja na Wenus życia ziemskiego i jego samodzielne wyewoluowanie tam „od zera". Obie wiążą się z trudnościami. Co gorsza, życie to musiałoby przetrwać w chmurach (składających się głównie z kwasu siarkowego), ponieważ na powierzchni temperatury sięgają 470° C, co zdaniem większości specjalistów wyklucza obecność życia choćby trochę zbliżonego do ziemskiego. A skoro nawiązujemy do metabolizmu bakterii ziemskich, to siłą rzeczy wyobrażamy sobie na Wenus stworzonka nieco podobne do tych zamieszkujących naszą planetę.

Jest z tym rozumowaniem więcej problemów. Autorzy pozostawiają wrażenie, jak gdyby po wykluczeniu wszystkich możliwości pojawienia się PH_3 pozostało im już tylko życie. W niezliczonych komentarzach, które mnożyły się w tygodniu poprzedzającym publikację artykułu, jak mantrę powtarzano wypowiedź Sherlocka Holmesa: „Kiedy wyeliminujesz wszystko, co niemożliwe, wówczas to, co ci zostanie, jakkolwiek byłoby nieprawdopodobne, musi być prawdą". To jednak bardzo zwodnicza analogia. Planetologia to wciąż młoda i otwarta nauka, co można choćby poznać po tym, że każda misja badawcza ku ciałom Układu Słonecznego przynosi dziesiątki odkryć i zaskoczeń. Wenus zaś pozostaje względnie słabo zbadana: jej tajemnice skrywane są pod grubaśnym kożuchem atmosfery. Ba, nie mamy nawet do dyspozycji czegoś tak elementarnego jak porządna mapa tej planety: na najlepszych dostępnych nam mapach radarowych jeden piksel obejmuje sto metrów w terenie. Dla porównania: aparat HiRISE na orbitującej Marsa sondzie MRO wykonuje zdjęcia z rozdzielczością 30 cm, a i tak stale odkrywane są tam nowe zjawiska geologiczne. Metoda Holmesa nie sprawdza się wtedy, gdy lista ewentualności pozostaje szeroko otwarta.

To jednak nie koniec problemów. W komunikatach medialnych anonsujących publikację astronomów nie zwracano uwagi na to, że fosforowodór został wykryty przynajmniej w trzech innych miejscach we Wszechświecie. Na przełomie lat 70. i 80. zaobserwowano go w atmosferach Jowisza i Saturna, a w 2014 r. również w gazie otaczającym gwiazdę IRC+10216 – a więc poza Układem Słonecznym! Warunki panujące w atmosferach planet gazowych są oczywiście inne niż na powierzchni Wenus – o czym autorzy wspominają w swojej pracy (casusu PH_3 w atmosferze gwiazdy ↦

Wizja artystyczna powierzchni Wenus

nie komentują, ale IRC+10216 to tzw. olbrzym typu węglowego, a więc i jego przypadek trudno by było odnieść do Wenus). Aż trzykrotna wcześniejsza obserwacja PH_3 poza Ziemią osłabia jednak nieco tezę o wyjątkowości tego związku. To nie jest tak, że fosforowodór ma murowane powiązanie ze światem ożywionym, jak kolagen, celuloza czy DNA.

Co obiecuje ślad

Można oczywiście zapytać, co konkretnie kwalifikuje się jako murowany chemiczny ślad życia. Astrobiolodzy od dekad wytrwale pracują nad listą takich właśnie biomarkerów (lub biosygnatur), których wykrycie w kosmosie byłoby silną przesłanką na rzecz występowania tam chemii „tak interesującej, że aż pachnie życiem". Fosforowodoru na tych listach nie ma. Ba, trójka spośród autorów bieżącego artykułu – S. Seager, W. Bains i J. Pętkowski – opublikowała w 2016 r. własną wersję listy potencjalnych „biosygnatur atmosferycznych". Nie tylko nie ma tam mowy o fosforowodorze, ale pada tam wręcz teza, że fosfor jako pierwiastek „nie występuje w ogóle w grupie wysokiego prawdopodobieństwa", a fosfor „trójwalentny", czyli związany z trzema atomami, to motyw strukturalny „nieobiecujący".

Gdy jednak zajrzeć do sławetnego artykułu z 14 września, pojawia się tam takie oto zaskakujące zdanie: „Zaproponowano niedawno, że fosforowodór zaobserwowany w atmosferze planety skalistej to obiecujący ślad życia". Rzeczywiście, zaledwie kilka miesięcy temu opublikowano w „Astrobiology" artykuł stawiający taką właśnie tezę. Dogodny zbieg okoliczności, prawda? Po nieco bliższym przyjrzeniu się owemu artykułowi okazuje się jednak, że aż sześciu spośród siedmiu jego autorów należy do tej samej grupy badawczej, która teraz opublikowała doniesienie o obecności PH_3 na Wenus.

Co jeszcze ciekawsze – gdy uważnie przyjrzeć się datom, okaże się, że w czasie, gdy badacze wysuwali nowatorską hipotezę, iż PH_3 jest tak świetnym biomarkerem, mieli już do dyspozycji wstępne wyniki świadczące o jego występowaniu na Wenus. Chronologia nie kłamie: pierwsze obserwacje linii spektroskopowych PH_3 na Wenus nastąpiły w czerwcu 2017 r., co można bez trudu wyczytać w części metodologicznej tekstu. Artykuł sugerujący, że PH_3 może być biomarkerem, przysłano tymczasem do redaktorów „Astrobiology" 10 września 2018 r. (datę taką zwyczajowo się upublicznia na wypadek kontrowersji o pierwszeństwo danego odkrycia).

Krótko mówiąc, jedyny cytowany przez autorów artykuł naukowy stwierdzający, że PH_3 może świadczyć o występowaniu życia, został napisany przez nich samych tuż po tym, gdy dowiedzieli się, że cząsteczka ta prawdopodobnie występuje na Wenus. Oczywiście, mogło być po prostu tak, że obydwa artykuły są dwoma niezależnymi przejawami prac nad fosforowodorem – i tak zresztą pewnie było! – w świecie nauki zwykle jednak nisko się ceni „autocytowania", które nie są *de facto* niezależnym potwierdzeniem.

Gra w media

Gdy ma się pod ręką wszystkie składniki newsa idealnego, pozostaje postępować zgodnie z regułami „gry w media". Co się na nią składa? Przede wszystkim, artykuł opublikowano „w trybie premiery", tj. wyznaczono określoną godzinę jego upublicznienia. Choć artykuły naukowe, po tym jak zostaną już formalnie przyjęte do druku, ukazują się zwykle w internecie w dość przypadkowym momencie, to czasem – gdy tekst rokuje medialnie – ustala się godzinę premiery, łącząc ją zwykle z konferencją prasową. „Nature Astronomy" wybrało poniedziałek 14 września, godzinę 15.00 UTC (co w naszej strefie czasowej oznacza godz. 17.00), a Królewskie Towarzystwo Astronomiczne podjęło się zorganizowania konferencji.

Mniej więcej tydzień przed „godziną zero" ci z nas, dziennikarzy, którzy śledzą newsy i współpracują z naukowymi agencjami PR-owymi, otrzymali cynk, że „za tydzień ukaże się coś ważnego". Zaczęły też krążyć „tajne" informacje prasowe, opatrzone tzw. embargiem, czyli zakazem publikacji przed określonym momentem, tu również ustalonym na godz. 17.00 w poniedziałek. Embargo oznacza w praktyce, że możemy zawczasu przygotowywać swoje artykuły, ale do piątej po południu – cicho sza! Już sam fakt embargowania danej treści to mało subtelna sugestia, że dzieje się coś ważnego. Ograniczony dostęp do towaru podnosi jego wartość. Ja sam – serio! – musiałem podać przez telefon hasło, żeby otrzymać dostęp do tegoż komunikatu prasowego (który już w pierwszym zdaniu głosił, iż na Wenus wykryto „gaz, który zgodnie z aktualną wiedzą jest produkowany przez istoty żywe").

Karmieni tymi półprawdami, mniej krytycznie nastawieni dziennikarze i naukowcy pracowicie generowali setki tweetów, głoszących – czasem już wprost – że „nie jesteśmy sami w kosmosie". Sporej części szumu udałoby się uniknąć, gdybyśmy mieli do dyspozycji artykuł naukowy. A nie byłoby w tym nic dziwnego: wczesne kopie artykułów, tzw. preprinty, zwyczajowo krążą po sieci nawet wiele tygodni przed ich oficjalną publikacją. Nie tym razem: w „grze w media" nie chodzi bowiem o rozwiewanie wątpliwości, lecz o ich mnożenie. Naukowcy już dawno nauczyli się tej gry. Ot, w okolicach piątku gruchnęła plotka, że artykuł „wyciekł" – ktoś go widział, ktoś go czytał, ktoś go potem pospiesznie usunął z serwerów. Cóż za wpadka. W weekend „wyciekł" też – tym razem na dobre – półtoraminutowy film streszczający odkrycie, w którym wystąpił ósmy autor artykułu, Janusz Pętkowski z MIT. Krótko mówiąc, normalna gra w podgrzewanie atmosfery.

W końcu przyszła godzina 17.00, kiedy to w Royal Astronomical Society rozpoczęła się konferencja prasowa. Organizatorzy bardzo starali się podtrzymać atmosferę wydarzenia niezwykłej wagi, jednak entuzjazm jakby z każdą chwilą malał. Kiedy już wszyscy zapoznali się z artykułem, stało się jasne, co z niego wynika, a co nie.

Co zostanie po historii o „życiu na Wenus"? Kto wie... może przy odrobinie szczęścia zmotywuje to którąś agencję kosmiczną do wysłania misji na Wenus, której pilnie nauce potrzeba?

A wiecie, co mnie w tym wszystkim najbardziej irytuje? Jestem szalenie ciekaw, jakie to nieznane zjawisko planetologiczne wytwarza na Wenus fosforowodór! Tylko jakoś nikt nie chce o tym rozmawiać...

©℗ ŁUKASZ LAMŻA

RDC POLSKIE RADIO

ŁUKASZ LAMŻA będzie gościem Grzegorza Chlasty w środę 23 września o godz. 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia.
| Warszawa 101 FM |Ostrów Maz. 87,6 FM
| Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
| Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM
oraz na Mazowszu i w Warszawie – **www.rdc.pl**

DOROTA

Masłowska:
Bez tytułu

Czy przysługuje mi tutaj tytuł? Tytuł jest bardzo ważny, jak jakieś zaklęcie, akt stworzenia. Dajcie mi pisarkę lub pisarza, w ogóle: artystę, złego albo dobrego, uznanego lub samozwańczego, który na najgłębszych zapleczach głowy nie maca sobie, nie przymierza w lustrze suchych tytułów czy nazw, przyzywając i mamiąc do siebie mogące wyniknąć z nich byty, formy, formuły, formacje. Ile rzeczy zatrzymanych w mojej jaźni w tej fazie właśnie, nigdy poza nią nie wyrojonych. Niby nigdy niespłodzone dzieci, które za jedyną rację istnienia mając piękne imię i nazwisko, nie mogą żyć.

Tutaj zaś nagle sytuacja odwrotna. Z powodów technicznych cykl musi pozostać bezimienny.

A przecież tytuły aż się cisną, gotowe do przyświecania, nadawania kształtu. Kiedyś, z typową młodzieńczą awersją do zwykłości, parłam ku nazwom – barokom, mutantom, rarogom; z upływem lat zaś w swoich fantazjach nazewniczych bardziej cenię udawaną skromność, *zero waste*, *too good to go*. Z przyjemnością myślę o zlepkach powszechnego użytku, pierwszych z brzegu wycirusach. Chętnie nazwałabym więc te teksty: „Moje miasto". Chociaż co najmniej równie trafne byłoby „Niemoje miasto".

Podoba mi się wytarte „Warszawa i ja". Choć nie oddaje tej trudnej relacji, zakłada jakąś równoległość, a ja to widzę jako przenikanie. Więc już prędzej: „Warszawa to ja". „Pani Warszawa to ja". To lepiej oddaje proces współtworzenia, współdzielenia, współpraktykowania swoich nawzajem wad, przekleństw i zboczeń. Podkreśla też, że Warszawa jest panią. Damą. Babsztylem.

Parę lat temu udzieliłam „Tygodnikowi" wywiadu, w którym powiedziałam głupio, że jest brzydka. Ta niezbyt szokująca dla większości posiadaczy oczu i uszu, niezbyt nieprawdziwa uwaga wzbudziła oburzenie i wiele kontrgłosów. Kto przeprosi klimatyczne uliczki Żoliborza? Odszczeka to przed bukolicznymi zaułkami Mariensztatu? Poza tym: czy przyjechawszy tu znikąd, władowawszy się na doczepkę, można w ogóle sarkać? Po ilu latach spędzonych w Warszawie dostaje się uprawnienia do sarkania? Czy moje czucie tego miasta jest prawomocne, skoro kręcę się tu na pałę? Podnajmuję, podzlecam, leasinguję bardziej niż mam? Co jednak, jeśli moja kondycja nie jest aż tak bardzo odosobniona, bo przynajmniej połowa mieszkańców Warszawy to, tak jak ja, przyjezdni?

Nieszczęsne miasto, niewielu oddanych miłośników, wielu nieoddanych użytkowników. Sama przecież też irytuję się, słysząc te ekspresowe recenzje konsumentów, wielkich przyznawaczy gwiazdek w rankingach. Zabobonne wygadywania i biadolenia z cienkiej księgi biadoleń na Warszawę („ja to bym tak nie mógł", „wyścig szczurów!"), mające często za paliwo mieszaninę lęku i jakiegoś żalu o wszystko, czego się tu nie osiągnęło i nie osiągnie, żalu progresywnego i wstecznego jednocześnie. Tak jakby pulsujący tu potencjał sukcesu wyświetlał wszystkim hologramową wersję ich równoległego życia na szczycie, tego, które ich bezustannie omija, z którego są w czasie rzeczywistym okradani, z którego okrada ich ta chytra rozgorączkowana betonowa lampucera. W dodatku odpychająca, nieskładna, chaotyczna, rycząco-śmierdząca. (I brzydka. Ale w tak złożony, tak wybujały sposób, że natychmiast rozpiera ramy tego słowa, rozpiżdżając je na tysiąc kawałków! Walają się potem po chodniku razem z brudnymi maseczkami, ulotkami agencji towarzyskich, liśćmi, wzmożonymi jak to we wrześniu reklamami szkół językowych i małpkami wódek o smakach słonego karmelu i palonego masła nowość!).

To palimpsest, piramida, szary tort, opera zgrzytów i nieadekwatności, zamalowanych kanarkowym duluksem plam krwi i lejów po bombach, suma wielu małych chaosów i chaosików, rachunek krzywd, niezgodności, bzdur, bałaganów i poczynionych obok wielkich, acz wybiórczych porządków. Zgadzam się, że mówić na to „brzydka" nie ma żadnego sensu. Nie chodzi tu jednak o nieprawdziwość albo prawdziwość tego stwierdzenia, ale jego jałowość. To zdanie powinno brzmieć „Warszawa jest", dopiero w takiej formie wydaje się prawdziwe i kompletne.

Zbyt łatwo przyswajamy sobie optykę „lubię to" – „nie lubię to", ulegając złudzeniu, że lubienie albo nielubienie załatwia nasze stosunki z rzeczami. Gdy jednak wyjść poza nią, już kawałek dalej, zaraz za bramą, rozpościera się przestrzeń bez opinii Google'a. Tam byłoby wspaniale się przechadzać. ©

TP W NASTĘPNYM NUMERZE „TYGODNIKA" SPECJALNY DODATEK

Zjednoczenie Niemiec: 30 lat później

3 października 1990 r. powstało na powrót jedno państwo niemieckie. Zjednoczenie Niemiec było punktem zwrotnym także dla Polski: wraz ze zniknięciem NRD – utworzonej po II wojnie światowej przez Moskwę – stawała się możliwa nasza integracja z Zachodem.

WYDAWCA: FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

PARTNERZY: FUNDACJA WSPÓŁPRACY POLSKO-NIEMIECKIEJ STIFTUNG FÜR DEUTSCH-POLNISCHE ZUSAMMENARBEIT; KONRAD ADENAUER STIFTUNG

W dodatku:
- Filip Gańczak: jak kanclerz Kohl wykorzystał „okienko możliwości"
- Łukasz Grajewski: jak bilans zjednoczenia oceniają sami Niemcy
- Jacek Lepiarz: niemieckie zjednoczenie a sprawa polska
- Ehrhart Neubert: były NRD-owski opozycjonista patrzy na minione 30 lat
- Florian Mausbach: dlaczego wciąż potrzebujemy pomników

„Tygodnik" z dodatkiem w kioskach od środy 30 września

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

KRAINA WYRZUTKÓW

MICHAEL CRUMMEY, PISARZ:

Moja siostra powtarza, że nie po to przez pokolenia walczyliśmy o toaletę ze spłuczką, żebym teraz ja, jak kretyn, siedział na dzikim odludziu. Fakt, przed tą rozmową musiałem sobie przynieść wiadro wody ze studni.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Byłeś kiedyś nad Bałtykiem?

MICHAEL CRUMMEY: Tak, pięć lat temu, w Sopocie.

Porównujesz inne wybrzeża do Nowej Fundlandii?

Nie przestaje mnie zaskakiwać, jak spokojne potrafią być morza na świecie, nawet taki Pacyfik na zachodzie Kanady. Dla mnie to są raczej jeziora w bezwietrzny dzień, bo nic nie może równać się z wściekłością północnego Atlantyku. Ten ocean jest zawsze przerażający, nawet jeżeli urodziłeś się i spędziłeś nad nim całe życie.

Bohaterowie Twoich powieści – Nowofundlandczycy z krwi i kości – żyją w izolacji. Czasem nie mają wyboru, częściej jednak samotność staje się ich obsesją.

Niektórzy mówią, że zostałem kronikarzem tego najmniej gościnnego fragmentu Ameryki. Owszem, w swoich książkach w kółko opowiadam o Nowofundlandczykach mieszkających na końcu świata. Do wielu tych miejsc nawet dziś ciężko dotrzeć, a co dopiero pod koniec XVIII wieku. Krążę wokół tego miejsca, bo dla mnie Nowa Fundlandia to przede wszystkim metafora ludzkiej egzystencji. Samotność w obliczu pustego i nieprzyjaznego wszechświata to fundamentalne doświadczenie. Próbuję opisać to z różnych stron, pokazać, że w najważniejszych chwilach naszego życia zawsze jesteśmy sami, że możemy liczyć tylko na siebie. Nigdzie nie czuje się tego bardziej niż w Nowej Fundlandii.

Dlaczego?

Ten kawałek Ameryki miał szczególną historię. Kolonizacja przebiegała tu inaczej niż w pozostałej części Kanady czy w ogóle na całym kontynencie. Od zawsze była to kraina wyrzutków – samotnych rybaków i traperów, którzy wbrew wszystkiemu postanowili osiedlić się na nieprzyjaznym odludziu. A klimat i geografia tylko potęgowały izolację. Niektóre osady z powodu lodu i śniegu przez większą część roku były odcięte od świata. Osadnictwo na szerszą skalę zaczęło się dopiero pod koniec XVIII wieku i długo było sezonowe. Na zimę wracało się do Anglii, do czego zresztą brytyjskie władze

zachęcały, bo bały się kolejnej rozrośniętej kolonii, która może się zbuntować.

Lubisz samotność?

Im bardziej się starzeję, tym mniejsze mam potrzeby społeczne. Siedzenie samemu w domku nad oceanem sprawia mi wielką przyjemność. Nic na to nie poradzę.

To tak jak Twoi bohaterowie, np. tytułowy Sweetland – ostatni człowiek na opuszczonej wyspie, który nawet pozoruje własną śmierć, żeby tylko wszyscy dali mu spokój. Jednak samotność, której doświadcza, jest ekstremalna.

Długo sobie nie uświadamiałem, że tak naprawdę piszę o własnym ojcu, który umierał na raka. Fabuła „Sweetlanda" rozpada się na dwie części – w pierwszej ten uparty starzec, choć jest dziwakiem i wyrzutkiem, wciąż funkcjonuje w ramach małej wyspiarskiej wspólnoty. Potem, gdy wyspa zostaje sprzedana wielkiej korporacji wydobywającej ropę, wszyscy muszą się wyprowadzić, a Sweetland zostaje sam. I faktycznie, jego samotność jest ekstremalna. Ślady po innych ludziach i okruchy dawnego życia tylko to potęgują. Powoli, ale nieubłaganie osuwa się w szaleństwo. Pod koniec nie jest już nawet pewien, czy wciąż żyje, czy już dołączył do armii widm coraz gęściej zaludniających jego małą wyspę. Szukałem metafory opisującej ostatni etap życia człowieka śmiertelnie chorego i nic lepszego nie przyszło mi do głowy.

Chciałeś podejrzeć śmierć?

Możliwe. Ojciec do samego końca był otoczony kochającymi ludźmi. Śmierci nie da się jednak oswoić przy pomocy społecznych czy psychologicznych narzędzi. Zawsze zostaje ten ostatni etap, gdy doświadczamy niedającej się opisać samotności. Tak, można powiedzieć, że próbowałem podejrzeć śmierć Sweetlanda. Testowałem na nim najróżniejsze sztuczki literackie, żeby uchwycić ten graniczny moment. Oczywiście się nie udało, ale też nie mogło się udać.

Historia Sweetlanda mogłaby rozegrać się w innym miejscu niż mała nowofundlandzka wyspa?

Nie, bo moja wyobraźnia już na zawsze pozostanie zrośnięta z tym miejscem. Byliśmy na uboczu, nawet jak na kanadyjskie standardy, co oczywiście zrodziło wiele stereotypów, ale chyba pod każdą szerokością geograficzną jest podobnie. Ciekawszy jest rys romantyczny, który od wieków przewija się w opisach naszej krainy. Dziś dochodzi jeszcze nostalgia za światem, który już właściwie przeminął. Niektórzy idą nawet dalej – snują fantazje o raju, o skalistym i targanym lodowatym wiatrem Edenie. Oczywiście w opozycji do współczesności, która w tym układzie jest światem upadłym.

Dlatego „Bez winy", Twoja najnowsza książka, to mroczna wersja opowieści o Adamie i Ewie?

Fabuła tej powieści oparta jest na faktach. Gdy pierwszy raz natknąłem się na wzmiankę o tych dzieciach – bracie i siostrze – którzy na przełomie XVIII i XIX wieku nagle stracili rodziców i przez lata żyli odcięci od świata, od razu przyszło mi na myśl porównanie z biblijną ↦

Latarnia morska na Flower Cove Island, Nowa Funlandia i Labrador, Kanada, czerwiec 2016 r.

TERRANCE KLASSEN / ALAMY STOCK / BEW

↦ przypowieścią. Każde z nich miało wystarczające umiejętności, aby przetrwać, ale jednocześnie nie wiedzieli nic o własnej naturze – z seksualnością na czele. Dlatego nie tyle chodziło o obrazoburczą trawestację Księgi Rodzaju, co raczej o opis procesu zdobywania wiedzy o świecie i samym sobie – oraz o wszystkie konsekwencje, jakie z tego wynikają.

Nowy świat często przyciągał najróżniejszych fanatyków religijnych, poszukiwaczy odnowy duchowej, fantazjujących o powrocie do stanu natury.

A ich oczekiwania brutalnie weryfikowała zastana rzeczywistość. Nie było raju, jedynie padół łez. Choć to paradoksalnie tylko wzmacniało wiarę – przecież trzeba było jakoś uzasadnić całe to cierpienie. W im większej izolacji żyjesz, tym bardziej potrzebujesz religii, aby przetrwać i nie oszaleć. Szczególnie gdy nie masz żadnej kontroli nad miejscem, w którym przyszło ci żyć.

Poszukiwanie schronienia w mitach?

Zapewne, choć mnie interesuje coś zupełnie innego – opowieści, które choć odrobinę przybliżają nam świat naszych przodków. A z pewnością nie była to romantyczna przygoda w surowej, ale majestatycznej scenerii, raczej niewyobrażalny z dzisiejszej perspektywy znój i walka o przetrwanie. Każda zima mogła oznaczać śmierć z głodu albo wyziębienia. Wystarczyło, że ławica dorszy albo śledzi nie pojawiła się na czas. Albo zasolone mięso się zepsuło. Albo przydarzała się jedna z setki innych, nieprzewidywalnych rzeczy.

To wszystko zrodziło charakterystyczny typ opowieści – prostej, dającej pocieszenie, pozwalającej na chwilę zapomnieć. Większość z nich jest uderzająco podobna, nawet jeżeli pochodzą z miejsc oddalonych od siebie o setki kilometrów. W „Dostatku" próbowałem zebrać jak najwięcej z nich.

Przykład?

W pewnej wiosce umarł rybak, więc jego bliscy złożyli go do trumny. Okazało się jednak, że mężczyzna wcale nie jest martwy – podczas pogrzebu wstał i poszedł do domu. A jako że wszystkie surowce są u nas cenne, zabrał ze sobą trumnę, bo była z dobrej jakości drewna – potem przerobił ją na łóżko. Wiele lat później, gdy już umarł naprawdę, łóżko z powrotem przeskładano w trumnę. Dziwna historia, pełna konkretnych szczegółów. Spotkałem się z nią w każdym zakątku Nowej Fundlandii.

Każda zima mogła oznaczać śmierć. Wystarczyło, że ławica dorszy albo śledzi nie pojawiła się na czas. Albo zasolone mięso się zepsuło. Albo przydarzała się jedna z setki innych, nieprzewidywalnych rzeczy.

Jak to możliwe?

Bo to historia, która w pełni oddaje egzystencjalny fatalizm tego miejsca – opowiada o ludziach, którzy trafili na koniec świata, gdzie można już tylko umrzeć. Jednocześnie, na przekór wszystkiemu, pojawia się iskierka nadziei, druga szansa od losu.

Ocean to źródło opowieści?

Ocean był przez wieki wszystkim – drogą komunikacji, źródłem pożywienia, ale też ciągłym zagrożeniem. Nieprzewidywalny żywioł, który daje i odbiera. Być może dlatego jest tak fascynujący, także jako materiał literacki. Ocean ciągle się zmienia – inaczej wygląda rano, inaczej wieczorem, a prognozy pogody to u nas wróżenie z fusów.

Brzmi to bardziej jak „filozofia oceanu".

Można by ją nazwać mroczną odmianą stoicyzmu, który hartuje ludzkie charaktery. Wymusza zaradność, bo można liczyć tylko na siebie, ale jednocześnie uczy, jak ze spokojem przyjmować kolejne razy od losu. Tak jest nad północnym Atlantykiem, każde morze z pewnością buduje własne, odrębne filozofie.

Ocean, czy szerzej, cały krajobraz nigdy nie jest u Ciebie tłem, tylko jednym z głównych bohaterów.

Opisy przyrody i krajobrazu, czyli te fragmenty powieści, które czytelnicy zazwyczaj pomijają, to moja ulubiona część każdej opowieści. Z perspektywy pisarskiego rzemiosła to bardzo trudny element. Żeby miały sens, muszą być naprawdę dobre. Weźmy choćby Cormaca McCarthy'ego, u którego krajobrazy to żywe, najczęściej krwiożercze stworzenia. Nie da się po nich bezkarnie wędrować. Podobnie jest w Nowej Fundlandii. Wzburzony ocean, skaliste wybrzeże i lodowaty wiatr, który właściwie nigdy nie przestaje wiać – to więcej niż widok, estetyczna podnieta dla melancholików i samotników. To niemalże metafizyczna siła rzeźbiąca ludzkie charaktery, o czym próbuję przekonywać moich czytelników.

W europejskiej literaturze, szczególnie tej współczesnej, krajobraz rzadko odgrywa taką rolę. W amerykańskiej jest odwrotnie.

Europejski krajobraz ma tysiące lat i jest oswojony, dobrze znany, a przede wszystkim – nie stanowi zagrożenia. Pierwsi kolonizatorzy zetknęli się ze światem zupełnie obcym, niezrozumiałym. Do tego olbrzymim i prawie pustym, czego nie dało się łatwo objąć rozumiem i wyobraźnią. Potrzeba było wielu dekad, aby się w nim zadomowić. Ten proces często wciąż trwa, a literatura i film wciąż odgrywają w nim ogromną rolę. Prowadziłem kiedyś zajęcia poświęcone nowożytnej prozie i poezji brytyjskiej. Uderzyło mnie wtedy, jak bardzo tamta literatura, którą koloniści przywozili ze sobą do nowych światów, nie pasowała do nowej rzeczywistości.

W jakim sensie?

Na każdym poziomie – nawet tym najbardziej podstawowym. Na przykład w Nowej Fundlandii nie występują rodzaje chmur, jakie opisuje poezja Williama Wordswortha. Dla kolejnych pokoleń, które nigdy nie były w Anglii, musiało jawić się to jako abstrakcja. Nie mówiąc już o stylu i warunkach życia, które nijak się miały nawet do ciężkiego losu irlandzkiego chłopa. Nic więc dziwnego, że trzeba było stworzyć nowe opowieści. Sam długo się z tym zmagałem. Na studiach zaczytywałem się w poetach romantycznych, ale gdy zaczynałem pisać, długo wyczuwałem u siebie fałszywe nuty. Musiałem włożyć dużo pracy, aby wynaleźć własny, przekonujący głos.

To chyba doświadczenie każdego początkującego pisarza.

Oczywiście, ale od początku miałem obsesję, żeby zakorzenić swoje pisanie w miejscu, w którym się urodziłem i wychowałem. A to nie było łatwe, bo nowofundlandzkich pisarzy można policzyć na palcach. Musiałem budować od zera.

Ciągłe życie na pograniczu – cywilizacji, prawa czy, jak w tym przypadku, języka – to kolejny fundamentalny mit amerykańskiej kultury. Szczególnie silny, jak widać, w Nowej Fundlandii.

To wynika ze specyficznej kolonizacji tych ziem w XVIII i XIX wieku. Ludzie stopniowo osiedlali się coraz dalej od St. John's, stolicy Nowej Fundlandii i jedynego ośrodka cywilizacji w tej części świata. Wraz z odległością słabły kontakty, a życie poza społeczeństwem miało swoje konsekwencje. Na przykład nie było miejsca na tradycyjne podziały płciowe – w obliczu wyzwań i ciągłego niebezpieczeństwa pozycja kobiet była właściwie równa mężczyznom. Także wpływ instytucji wymuszających pewne zachowania, np. Kościoła, był znikomy. A tam, gdzie się pojawiał, relacje wyglądały zupełnie inaczej, np. różnice między katolikami a protestantami w praktyce się zatarły. Dopiero wraz z przesuwaniem się tej „ostatniej granicy" pojawiała się kultura i cywilizacja, co miało swoje oczywiste plusy, ale też wiele bolesnych minusów.

W swoich powieściach stworzyłeś nowofundlandzkie uniwersum – od czasów kolonialnych po współczesność. Można wręcz odnieść wrażenie, że piszesz wciąż tę samą książkę.

Wiem, że ciągle się powtarzam. Próbowałem coś z tym zrobić, ale nie umiem inaczej. Niektórzy pisarze po prostu tak mają. Jednak za każdym razem szukam innej drogi do tego świata, nowej perspektywy. Napisanie pięciu powieści zajęło mi przeszło 20 lat. W Polsce ukazywały się one jedna po drugiej, co może powodować nieco mylne wrażenie o moim sposobie pisania. A ja po każdej książce musiałem zrobić sobie dłuższą przerwę. Szukałem wtedy nowego punktu zahaczenia, szczeliny, przez którą mógłbym pokazać coś nowego.

Twoje powieści da się ułożyć chronologicznie – od heroicznych początków aż po koniec świata, jaki znamy.

PAUL DALY / PA /PAP

MICHAEL CRUMMEY (ur. 1965) jest kanadyjskim pisarzem. W swoich książkach powraca do historii Nowej Fundlandii, gdzie urodził się i mieszka do dziś. Po polsku ukazały się: „Rzeka złodziei" (2001), „Pobojowisko" (2005), „Dostatek" (2009), „Sweetland" (2014) oraz „Bez winy" (2019). Wszystkie nakładem wydawnictwa Wiatr od Morza, w przekładzie Michała Alenowicza.

Faktycznie, o ile „Rzeka złodziei" opowiada o początkach, to „Sweetland" jest historią końca. Wraz ze śmiercią tytułowego bohatera pewna epoka przechodzi do historii. On pod wieloma względami był ostatnim Nowofundlandczykiem.

I znowu – otwiera się ocean nostalgii, w którym jakimś cudem nie toniesz.

Unikanie nostalgii od początku stanowiło fundament mojego pisania. Mój ojciec był przedstawicielem ostatniego pokolenia Nowofundlandczyków, których życie wyglądało tak samo od kilku stuleci. I na jego oczach ten świat, który wydawał się wieczny, zniknął prawie bez śladu. Zostały tylko opowieści, których od dziecka uwielbiałem słuchać. Jednak nie było w nich ani cienia nostalgii – być może to mnie uratowało. Ojciec oczywiście tęsknił za ludźmi, którzy kiedyś wypełniali jego życie. Na pewno brakowało mu wspólnoty, którą tamten miniony świat wytworzył. Niemniej nigdy nie tęsknił za dawnym losem.

Dlaczego?

Bo ten los był bardzo ciężki i niewdzięczny. Od ojca nauczyłem się myśleć o przeszłości poza nostalgicznymi schematami. Postać Sweetlanda darzyłem miłością i uznaniem, ale chciałem też pokazać, że jego świat był okrutny, nie warto więc do niego tęsknić.

A jednak kolekcjonujesz okruchy tamtej rzeczywistości.

Rzeczywiście, to moja pasja, może nawet obsesja, tak przynajmniej twierdzi moja rodzina. Młodsza siostra nie może zrozumieć, dlaczego spędzam każde lato w naszej starej chacie na odludnej wyspie. Cały czas powtarza, że nie po to przez pokolenia walczyliśmy o toaletę ze spłuczką, żebym teraz ja, jak ten kretyn, siedział sam na dzikim odludziu. Fakt, przed naszą rozmową musiałem sobie przynieść wiadro wody ze studni z ręczną pompą.

I to nie jest nostalgia?

Nie, wręcz przeciwnie. Szukam śladów dawnego świata, żeby opowiadać o nim w całej jego rozciągłości. Uwierz mi, nic nie działa tak antynostalgicznie jak korzystanie z wychodka i noszenie wiader z wodą. Ale to mój sposób na bycie uczciwym wobec siebie i moich czytelników.

Uczciwość w literaturze to skomplikowana sprawa...

...do tego z góry skazana na porażkę. Ale nie można się poddawać. Jeżeli np. chcę opisać mojego ojca, muszę wejść głęboko nie tylko w jego psychikę, ale również w świat, który go ukształtował. Przeczytałem wiele książek o Nowej Fundlandii napisanych przez ludzi z zewnątrz. Większość z nich jest nieuczciwa, bo nie ma w nich szacunku dla ludzi, którzy tu żyli. A raczej dla tego, przez co musieli przejść, aby w ogóle przetrwać.

Nie popełniasz tego samego nadużycia, gdy opisujesz rdzennych mieszkańców wyspy?

Mam nadzieję, że nie. W tej kwestii, aby zachować choćby minimum uczciwości, trzeba być ekstremalnie ostrożnym. Niewiele wiemy o tamtych ludziach. Mamy tylko szczątkowe relacje kolonizatorów, a one są podszyte strachem i nienawiścią. Można oczywiście fantazjować albo budować skanseny, w których nieudolnie odtwarzamy tamten świat. Jednak obie strategie są dla mnie nie do przyjęcia – służą wyłącznie naszemu dobremu samopoczuciu. Nie wierzę w obiektywną prawdę, ale też nie mam wątpliwości, że istnieje kłamstwo. Zabraliśmy im wszystko, nie kradnijmy chociaż ich historii. Nawet jeżeli już na zawsze mają pozostać tajemnicą.

©℗ Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

MARTA IGNATOWICZ-SOŁTYS

Dominik Wania, Warszawa, styczeń 2015 r.

Tu i teraz ja

KAJETAN PROCHYRA

Pianista Dominik Wania jest pierwszym polskim artystą, który nagrał solową płytę dla prestiżowego wydawnictwa ECM.

Improwizacja solo to szczególny rodzaj muzycznego dzieła. Na „ja" improwizatora składa się cała jego dotychczasowa droga: wrażliwość i technika, lata grania i słuchania. Improwizowana płyta solo, nagrana dla wydawnictwa ECM, to reprodukcja tego bardzo intymnego momentu w tysiącach egzemplarzy. Te zaś stać będą na półkach obok swoich poprzedniczek w dyskografii słynnego wydawnictwa: „Open, to Love" Paula Bleya, „Solo Piano" Chicka Corei czy jednej z najważniejszych improwizowanych płyt w historii – „The Köln Concert" Keitha Jarretta.

Niespełna rok temu, w listopadowy weekend w szwajcarskim Lugano swoją solową improwizowaną płytę, pod okiem założyciela i szefa ECM Manfreda Eichera, nagrał Dominik Wania.

To, że wyda album dla ECM, było wiadomo od trzech lat. W styczniu 2017 r. pianista i producent spotkali się po raz pierwszy w studiu nagraniowym. Powstała wtedy płyta „Unloved" kwartetu Macieja Obary. Kilka miesięcy później Eicher zaprosił Wanię na rozmowę do swego biura w Monachium.

– Jadąc miałem nadzieję, że ustalimy datę sesji nagraniowej. Szybko ten entuzjazm opadł. Nie tylko nie padła żadna data, ale Eicher kategorycznie nie chciał, bym nagrywał cokolwiek w trio, a taka była moja pierwsza myśl – wspomina pianista. W trio powstała jego poprzednia autorska płyta „Ravel". Album przyniósł mu w 2014 r. Fryderyki za najlepszą jazzową płytę i za jazzowy debiut roku.

– Eicher powiedział, że ma już dużo takich składów i chciałby, żebym swoją obecność zaznaczył inaczej. Trzeba było szukać innych rozwiązań: myślałem o duecie z perkusistą lub z innym pianistą. Żadna z tych rzeczy nie wypaliła. Musiały minąć dwa lata, by to Eicher zaproponował: nagrajmy album solo. Mnie taka propozycja nigdy nie przeszłaby przez gardło.

Płyta solo w ECM to trochę jak monograficzna wystawa w Centre Pompidou: zdarza się nielicznym, poprzeczkę trudno zawiesić wyżej. Eicher ustalił miejsce nagrania: Auditorio Stelio Molo w szwajcarskim Lugano. Nagrywała tu wielokrotnie Martha Argerich, a także m.in. Carla Bley czy Craig Taborn. Data: 7 listopada, trzy tygodnie przed 37. urodzinami Dominika Wani.

22 lata

Rodzinne podania głoszą, że pierwszy utwór zagrał jako trzylatek. Na podarowanym przez ciotkę elektronicznym pianinku Unitra: – Wydawało to taki dźwięk, no... okropny, ale to był mój pierwszy instrument i mam go do dzisiaj. Pamiętam, że jednemu z moich dziadków zagrałem „Sto lat".

Potem – muzyczne ognisko w Sanoku, szkoła muzyczna i pełen tok klasycznej edukacji pianistycznej. W domu była do dyspozycji płytoteka taty: członka Klubu

Płytowego Polskiego Stowarzyszenia Jazzowego. Na gramofonie, obok polskiego big-beatu, ulubionej muzyki taty pianisty, obracały się więc nagrania Sławomira Kulpowicza, Tomasza Stańki czy Marka Blizińskiego. Ulubionym zespołem Dominika był jednak jazz-rockowy Blood, Sweat and Tears.

– Inspirował mnie tekst, którego nie rozumiałem, ale z czymś mi się kojarzył, tworzył nastrój, budził emocje. Nie da się też nie zauważyć znakomitej instrumentacji z żywą sekcją dętą, z organami Hammonda. Do dzisiaj brzmi to genialnie. To bardzo witalna muzyka, mieniąca się barwami jazzu, rocka, ale i muzyki klasycznej.

Pierwszą płytą kompaktową w kolekcji Dominika była „Bye Bye Blackbird" tria Keitha Jarretta, nagrana dla ECM. 22 lata później wszedł do studia z tym samym co Jarrett producentem.

Magia drugiego dnia

Listopadowy czwartek w Lugano, mieście położonym w niecce między trzema masywami górskimi, otoczonym dwoma bajkowymi jeziorami. Późnym popołudniem Wania wspólnie z Eicherem spotkali się, by wybrać fortepian. Do dyspozycji były dwa znakomite instrumenty.

– Ten troszkę starszy był szlachetniejszy, dużo lepszy brzmieniowo i w tej sali, można powiedzieć, obyty, ale też bardziej wymagający technicznie – wspomina Dominik. Nie przyjechał tu jednak ułatwiać sobie zadania. Postanowił też, że muzyka, którą zarejestruje, będzie w całości improwizowana: – Po prostu wiedziałem, że jak siądę do instrumentu, mając gdzieś w głowie cały zapas literatury fortepianowej, od Ravela, przez Szostakowicza, Skriabina, Messiaena, Szymanowskiego, będę wiedział, co chcę usłyszeć. Ta muzyka to improwizowany fortepianowy recital solo.

Pierwszego dnia nagrań artyści spędzili razem osiem godzin. Wani i Eicherowi towarzyszył włoski realizator dźwięku, od lat współpracujący z ECM: Stefano Amelio. – Oczywiście robiliśmy przerwy. Słuchaliśmy. Kątem oka patrzyłem na jego notatki i wiedziałem: to jest, tu znak zapytania, to niekoniecznie – wspomina pianista.

W wydawniczej filozofii Manfreda Eichera, bodaj najbardziej cenionego i utytułowanego producenta nagrań muzyki jazzowej i klasycznej, płyta nie jest tylko zbiorem utworów, ale opowieścią, podróżą, w której każdy szczegół – nawet długość ciszy między kolejnymi utworami – ma znaczenie.

Koncepcja albumu powstawała od razu podczas nagrywania. – To jest siła Eichera: jego niesamowita intuicja, słyszenie całości. To mi bardzo pomogło. Atmosfera, jaką stworzył, była bardzo ciepła, wspierająca. Ani razu nie usłyszałem od niego jakiejkolwiek dezaprobaty. Kiedy przyszedłem do studia drugiego dnia, miałem wrażenie, że fortepian brzmi jeszcze lepiej. Z każdym dotykiem, z każdym najmniejszym niuansem zrastałem się z instrumentem. To było coś niesamowitego. Śmialiśmy się z Manfredem: jak to, przecież to jest ta sama sala, to samo ustawienie mikrofonów, wszystko to samo. To oczywiście ja się zmieniłem. Usiadłem do fortepianu, przyszedł pomysł: próbowałem, dobrze, może spróbujemy zarejestrować coś takiego – opowiada Wania.

Tak powstał utwór tytułowy płyty, „Lonely Shadows". Po dwóch godzinach nagranie dobiegło końca. Miks, czyli drobne poprawki w poziomach dźwięku między poszczególnymi mikrofonami, był formalnością. 9 listopada Dominik wyjechał z Lugano z gotową płytą w walizce.

Pierwszym słuchaczem albumu był Maciej Obara, któremu własna droga do grona artystów ECM zajęła 10 lat. – Masz wrażenie, że cały czas ta muzyka porusza się i rozszerza przestrzeń, w której jest. Ma rodzaj takiej wspaniałej nieskończoności – mówi Obara. – Ta iskra klasycznej pianistyki nadaje blask całej muzyce Wani. Nie używa właściwie języka jazzowego i to mi się strasznie podoba. Na wierzch zostaje wyciągnięta liryka, i po prostu muzyka sama w sobie. Nieważne, jak to określimy, czy to jazz, czy nie, zresztą w tych czasach to nie ma żadnego znaczenia.

AG76

Ostatnim elementem pracy nad albumem było nadanie tytułów poszczególnym utworom. Pod numerem 8 zwraca uwagę szyfr: AG76. To tytuł obrazu Zdzisława Beksińskiego.

– W Sanoku on gdzieś zawsze był. Słyszało się: Beksiński, Beksiński – mówi Dominik. – Wiem, w którym mieszkał domu, mogę sobie wyobrazić, jak wyglądał ich salon w tamtych czasach. Jego obrazy zawsze wydawały mi się mroczne. Coś było z nimi nie tak. Dopiero później doceniłem, jak łączył technikę i to, co miał w głowie, światło i te przeróżne anatomiczne struktury: jak to wszystko ze sobą gra.

„AG76" to olejny pejzaż: rozgwieżdżone niebo oświetla morskie fale, które wyrzucają na brzeg kamienie, błyskotki i kości – bardzo dużo kości. U stóp leży martwy, pomarańczowy ptak z głową sowy i ciałem rybitwy. – Ma niesamowitą aurę – mówi Wania. – Jest mroczny, ale i pełen barw, które bardzo do mnie przemawiają. Starałem się oddać ten klimat muzyką.

Pozostałe tytuły na płycie także są na pograniczu koloru i mroku. „Towards The Light", „All What Remains" czy tytułowe „Lonely Shadows": – Myślałem o ludziach, o odchodzeniu. Jeżeli nie robimy niczego dobrego dla innych, to zostaną z nas tylko cienie: samotne, pałętające się po ziemi, szukające swojego właściciela. Jeśli człowiek stara się dać z siebie coś dla innych, wtedy ten cień nie jest osamotniony po jego śmierci, tylko idzie razem z nim. Może to metafora trochę z kosmosu, ale tak mi się to skojarzyło. Samotność i ten cień człowieka, którego już nie ma.

Dystans

– Czy lato, czy zima, czy słońce, czy deszcz, Waniusza ma zawsze tę samą minę – żartuje Maciej Obara.

To na prośbę Wani płyta „Lonely Shadows" ukazuje się na jesieni: – Myślę, że to muzyka odpowiednia na ten okres, w którym ją nagrywałem: urodziłem się w listopadzie, płyta nagrana w listopadzie – to są moje klimaty, to są moje kolory.

Przez lata obecności na muzycznej scenie i na dziesiątkach jazzowych albumów przeróżnych wykonawców starał się pozostawać w cieniu, choć jego gra zawsze zwracała uwagę krytyków i publiczności. Teraz za sprawą płyty w ECM o Dominika Wanię pytać będą recenzenci i promotorzy po obu stronach Atlantyku. Premierze płyty towarzyszyć mają koncerty. Pierwszy zaplanowano na 17 listopada w ramach wrocławskiego festiwalu Jazztopad.

W rzeczywistości dyktowanej przez pandemię koronawirusa nie sposób roztaczać szerszych muzycznych planów. Zamknięci w domach mamy więcej czasu na słuchanie płyt. Album „Lonely Shadows" jest improwizowaną medytacją. Intymna muzyka Wani skraca wszechobecny społeczny dystans. Właśnie teraz nadszedł jej czas. ©

Album trafił do sprzedaży na CD, płycie winylowej oraz w streamingu 18 września.

UNIVERSAL PRODS FRANCE / KOBAL / REX / EAST NEWS

Jean Seberg i Romain Gary w czasie produkcji filmu „Ptaki umierają w Peru", 1968 r.

Życie za sobą

MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

Oto rozliczenie z młodocianymi wyobrażeniami o piętnie pochodzenia, mocy uczucia i smaku zwycięstwa. Oraz pochwała zaczynania na nowo.

W okresie transformacji ogarnęła Polaków – naród o korzeniach w większości jednak chłopskich – nostalgia za narodem szlacheckim. W latach 90. w księgarniach zaroiło się od albumów o dawnych arystokratycznych rodach, ich pałacach i obyczajach. Specjalizowały się w nich wydawnictwa Tenten, Muza oraz Prószyński i S-ka. Dobrze pamiętam starannie wydaną „Arystokrację" Marka Millera, zbiór wspomnień potomków możnych familii, którzy zostali przez komunistów zdeklasowani i przeczołgani przez łagry. Aż chciało im się współczuć.

Trochę później przyszło rozliczenie szlachecko-magnackiego mitu ze strony intelektualistów zainspirowanych teorią postkolonialną, ale sentyment zbiorowy został nią ledwo tknięty. Jednocześnie spadkobiercy arystokratycznych rodzin wytworzyli w III Rzeczypospolitej nieformalną klasę społeczną. Socjologowie Tomasz Zarycki i Rafał Smoczyński nazywają ją elitą postszlachecką, która, z nielicznymi wyjątkami, zdaje się niezmiennie mieć maluczkich w głębokim poważaniu.

Co francuski pisarz, Romain Gary, dwukrotny laureat Nagrody Goncourtów, którego prochy zostały rozsypane na Lazurowym Wybrzeżu, ma do powiedzenia o grzechach polskiej szlachty? Niemało. Urodzony w 1914 r. w Wilnie jako Roman Kacew, całe życie aspirował do wyższych sfer. Także wtedy, kiedy jechał z matką do Warszawy, aby uczyć się we francuskiej szkole, i kiedy deklamował w polskim gimnazjum (wysokość czesnego we francuskim okazała się zaporowa) kwestie Konrada Wallenroda. Nawet gdy został dyplomatą i reprezentował Francję jako konsul generalny w Los Angeles, ciągle był dla siebie samego emigrantem, któremu się poszczęściło.

Kompleks chłopca żydowskiego/ze Wschodu/ze społecznych nizin, który chce doścignąć marzenia o lepszym życiu, wraca jak bumerang w niemal każdej jego powieści. Gary nie jest przy tym antyelitarny, ale szczególnie wyczulony na determinowanie pozycji społecznej pochodzeniem. Jako dwudziestolatek sam padł ofiarą takiego szowinizmu, kiedy jako jedyny z uczniów szkoły lotniczej w Avord

nie został mianowany oficerem mimo ukończenia stosownych szkoleń. Ubogi i świeżo naturalizowany Francuz nie zasługiwał w oczach dowódców na rangę wyższą niż kapral.

W ostatniej wydanej za życia powieści, „Latawcach", których polski przekład właśnie trafił do księgarń, Gary przeciwstawia prostolinijnemu chłopcu z ludu polskich magnatów. Broniccy są tu próbką reprezentatywną wszystkich zbyt szlachetnie urodzonych.

Wielkie nadzieje

Gary nie pierwszy raz bohaterami uczynił Polaków. Kilka anegdotycznych obrazków znad Wisły przynosi autobiograficzna „Obietnica poranka" (1960, wyd. pol. 1964), zekranizowana we Francji w 1970 i 2017 r. Wcześniej w swym debiucie, „Edukacji europejskiej" (1945, wyd. pol. 1997), odmalował środowisko polskich partyzantów na Wileńszczyźnie. Mówiono o tej powieści, że jest prześmiewcza wobec mitu polskiego heroizmu i być może z tego powodu w PRL-u, wspierającym się na specyficznym komunizmie narodowym, wydana być nie mogła. Jednak w porównaniu z bezlitosnym opisem polskich wyższych sfer, jaki znajdziemy w „Latawcach", lekko zgryźliwy ton debiutu wyostrza tylko współczucie, jakie autor miał dla młodych ludzi z zapomnianych przez Zachód peryferii. Integralną częścią fabuły są fragmenty prozy jednego z walczących, tytułowej „Edukacji europejskiej", oznaczającej czerpane z kultury zachodniej uzasadnienia dla zabijania.

Gary też walczył, jako pilot w armii Wolnej Francji, choć wojna wiązała się dla niego przede wszystkim z czekaniem na własną szansę. Trudno powstrzymać się przed otwieraniem jego fabuł kluczem biograficznym. Sam wielokrotnie przyznawał, że w powieściach wracają doświadczenia z dzieciństwa i młodości jak „przeskalowana" linia melodyczna. Być może główny bohater „Latawców" jest wariacją na temat tego, kim byłby Roman Kacew, gdyby zamiast maniakalnie kochającej go, nadopiekuńczej matki, miał u boku wuja, skromnego listonosza-pacyfistę, który własne ambicje sublimuje, robiąc bajeczne latawce. Dzięki temu Ludo, protagonista ostatniej powieści Gary'ego, może sobie pozwolić na to, by czas zadecydował za niego, czy zostanie herosem czy szaleńcem.

Małemu Romanowi takiego wyboru nie dała matka, niespełniona aktorka, która nie tylko wiązała z synem monstrualne nadzieje, ale także przy każdej okazji ogłaszała je światu. Sąsiedzi, nauczyciele, koledzy i koleżanki Romana dowiadywali się od Niny Kacew, że jej syn będzie niechybnie drugim Victorem Hugo albo kolejnym Wacławem Niżyńskim. Córka żydowskiego zegarmistrza z Kurska nie poprzestawała na słowach, ale harowała kosztem zdrowia, żeby potomek trafił na salony. Koniecznie francuskie.

Roman, już jako Romain Gary, spełnił wiele z marzeń matki. Jednak do śmierci nie mógł się pogodzić z tym, że nie sprostał wszystkim. „Żonglowałem w dalszym ciągu sześcioma kulami i nie traciłem nadziei, że uda mi się pochwycić siódmą" – wspominał w „Obietnicy poranka".

Kiedy pisał „Latawce", tej nadziei już nie miał. Przestał eksperymentować z formą, a język utracił dawną giętkość porównań i ostrość metafory, ciążąc w kierunku sentymentalizmu. Początek fabuły jest niemal jak z Leśmiana – dziesięcioletni Ludo na leśnej polanie spotyka półtora roku starszą dziewczynę i karmi ją lekko kwaśnymi poziomkami. Potem zaczyna się Bergman. Przez cztery lata czeka na nią w tym samym miejscu z poziomkami, jagodami, jeżynami, grzybami, wreszcie sam.

„Wciąż widziałem jej twarz o rysach tak delikatnych, że chciałoby się zamknąć ją w dłoni, i tak harmonijnie żywą w każdym ruchu" – wspomina. Wyborna pamięć nie potrafi odpuścić tej dziewczyny – polskiej arystokratki, zadufanej jak cała familia Bronickich. Ojciec jest spekulantem i hazardzistą, który długi spłaca, stręcząc żonę, niegdyś sławną aktorkę. Syn Tadeusz drwi z rodziny i z polskości symbolizowanej przez rzucających się w ogień szwoleżerów, ale ani jednej, ani drugiej nie porzuca. Córka Lila brata się z ludem.

Spotykając ją ponownie w połowie lat 30., Ludo będzie mógł odpowiedzieć sobie na pytanie, czy warto stać się kimś klasowo lepszym. Ona chwyci się go, by kiedyś móc zacząć życie na nowo.

Motyw Feniksa znany był Gary'emu z autopsji. Po 30 latach od debiutu sam próbował odrodzić się z popiołów. W latach 60., u szczytu sławy, stał się salonowcem, odcinającym kupony od zakończonej kariery dyplomaty, i mężem swojej żony, paryskiej Amerykanki Jean Seberg, aktorki i reżyserki. Wkrótce został jej byłym mężem, a dla krytyków przebrzmiałym literatem, któremu życie towarzyskie i uczuciowe zastąpiło cele literackie.

Postanowił sprawdzić, czy jego proza obroni się bez asysty znanego, ale coraz bardziej kontestowanego nazwiska. W 1974 r. opublikował jako Émile Ajar „Pieszczocha", a rok później „Życie przed sobą" (wyd. pol. 1988). Mistyfikacja nie wyszła na jaw za jego życia, mimo że „Życie", powieść-laureatka Goncourtów, zawiera wszystkie obsesyjnie trzymające się Gary'ego wątki, a nawet aluzję do kultowego filmu Seberg – „Do utraty tchu".

Pierwszoosobowa narracja kilkunastoletniego Momo, dziecka zamordowanej prostytutki, żyjącego wśród imigrantów w tzw. złej dzielnicy, ujęła udaną stylizacją na szczerość i autentyzm. Momo jeszcze nie wie, czy zostanie policjantem, terrorystą czy Victorem Hugo. Jest awatarem Romana Kacewa, żyjącym w powieści, gdzie zamiast nadopiekuńczej matki ma umierającą opiekunkę, Żydówkę ocalałą z Auschwitz, która miłość do dziecka wyraża uczeniem go praw dżungli. Momo, podobnie jak Roman i Ludo, też chce być kimś, ale życie przed sobą odkłada na później. Najpierw zaopiekuje się panią Rozą, dlatego że nic nie kazała mu udowadniać.

Sam Gary coś sobie tą powieścią udowodnił, otrzymując za nią, jako tajemniczy Ajar, drugą w życiu Nagrodę Goncourtów. To jedyny taki przypadek w historii tego wyróżnienia. Pisał jeszcze pod pseudonimami Fosco Sinibaldi i Shatan Bogat, a kiedy występował jako Romain Gary, za każdym razem coś „przekręcał" w swoim życiorysie. Jego biografka, Myriam Anissimov, nazwała go kameleonem. Żadna tożsamość nie pozwoliła mu jednak pochwycić siódmej kuli. W grudniu 1980 r. zabił się strzałem w usta. Przyjaciele twierdzili, że przyczyną jego depresji była niewiara w to, że może otworzyć w historii literatury jeszcze jeden rozdział. Media wolały spekulować, że nie otrząsnął się po rok wcześniejszym samobójstwie Jean Seberg. ↦

RADIO KRAKÓW
Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".
Słuchaj nas w Małopolsce:
Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | **www.radiokrakow.pl**

Piękna i Bestie

Bez względu na to, jaką rolę pamięć o wiarołomnej Seberg odegrała w śmierci pisarza, to kobiety są najciekawszymi postaciami jego fabuł. Autor przedstawia je w sposób jednocześnie tendencyjny i emancypacyjny. Stale powracającym motywem jest miłość do tej, która prostytuuje się, by przeżyć i walczyć – i staje się bohaterką nie gorszą od uzbrojonych mężczyzn. Taka jest Zosia z „Edukacji europejskiej" szpiegująca wśród niemieckich żołnierzy. Taka jest Minna z „Korzeni nieba" (1956, wyd. pol. 1967), za które autor otrzymał pierwszą Nagrodę Goncourtów. Z Berlina, gdzie przeżyła gwałty radzieckich żołnierzy, fordanserka trafia do Francuskiej Afryki Równikowej. I choć żaden z pożądających ją mężczyzn nie ma o jej inteligencji wysokiego mniemania, to ona najtrafniej dostrzega, że stawką w kolonialnym sporze, w którego centrum się znalazła, nie jest ani władza, ani pieniądze, lecz odkupienie.

Historie bohaterek Gary'ego można porównać do baśni o Pięknej i Bestii opowiadanej na opak. To nie miłość niewinnej dziewczyny zmienia Bestię na powrót w księcia, ale Bestie czyhające na Piękną budzą w niej kobietę i nadają moralne szlachectwo. Piękna sama wybiera przy tym mężczyzn, którzy będą jej partnerami. „Kiedy słucham tego, co Gary mówi o relacjach w związku między kobietą a mężczyzną, uderza mnie, jak często używa on pojęć »równość« i »braterstwo«, a zatem pojęć fundamentalnych (przynajmniej w założeniu) dla społeczeństwa francuskiego" – pisała niedawno Agnieszka Drotkiewicz w „Przekroju".

W „Latawcach" układ między parą zakochanych jest bardziej zhierarchizowany. W przededniu II wojny światowej Lila Bronicka cierpliwie uczy francuskiego kochanka zasad gry w panią i chama. Równocześnie czyni go powiernikiem swoich frustracji jako niedoszłej lekarki, architektki, aktorki. Nie wystarcza jej bycie bogatą i pożądaną, lecz nie potrafi nazwać stanu swojej duszy. Nawet istotę jej rozterek nazywają za nią mężczyźni. „W dziedzinie polityki moja siostra jest analfabetką, ale już sposób marzenia o sobie czyni ją rewolucjonistką" – ironizuje jej brat.

Wieśniak oczywiście nie może pięknej arystokratki pojąć za żonę, ale wolno im bawić się sobą „bez żadnych konsekwencji". Jak uzasadnia *pater familias*:

Historie bohaterek Gary'ego można porównać do baśni **o Pięknej i Bestii opowiadanej na opak.** To bestie czyhające na Piękną budzą w niej kobietę i nadają moralne szlachectwo.

„W naszej rodzinie nie żąda się od kobiet świętości, starcza nam duma". Ale i tej zabraknie, kiedy wojna zapuka do wrót pałacu Bronickich. Tylko w pamięci Ludovica wspaniałość Lili pozostaje niezatarta, mimo że przez kilka lat nie będzie miał o niej żadnych wieści. Podpala nawet dawny dom ukochanej, by bestie go nie zbezcześciły.

Trzecie spotkanie będzie sądem nad wciąż piękną, niczym wyjętą z wiersza Tuwima, „panną, madonną, legendą tych lat". Przeżyła lata wojny z dala od polskiej pożogi, ale płacąc za to w sposób, którego się obawiała – sprowadzeniem do ciała, sprzedawanego tym, którzy aktualnie mają władzę. Za jej „upadkiem" stoi ojciec, do końca odgrywający rolę przeklętego klasowego utracjusza-egoisty. A Ludovic przejdzie przyspieszoną reedukację. Czy znajdzie w sobie empatię, która nie ogląda się na wyroki wydawane przez gorliwie moralizujące społeczeństwo? Czy zrzuci z siebie bagaż antykobiecych uprzedzeń zrównujących seks pod przymusem z moralnym skalaniem? I czy w ogóle odrzuci jałowe dywagacje nad godnymi i niegodnymi odmianami kobiecej seksualności?

Choć w obliczu nieszczęść, jakie wojna przynosi bohaterom, zakończenie „Latawców" może wydać się zbyt lekkie, powieść Gary'ego była i jest ważnym głosem w dyskusji nad przemocą samosądów na kobietach, które z różnych powodów sypiały z okupantem.

Kuchnia ocalonych

„Latawce" to opowieść o zmierzchu nie tylko pewnej warstwy społecznej, ale także określonego rozumienia kultury europejskiej. W ostatnie lato przed wojną Ludo jedzie pociągiem do Polski. Ta wita go jako wysłannika sojuszników i wybawców. Ludo zdaje się w to wierzyć. Na zawołanie gospodarza: „Niech żyje nieśmiertelna Francja!", pozostaje mu tylko zakrzyknąć: „Niech żyje wieczna Polska!". Podczas dziwnej wizyty na zamku Bronickich w Gródku młodzi bawią się w przebieranki, czerpiąc z bogatych zbiorów „papy". Ludo przebiera się za szwoleżera, uzdolniony pianista Bruno za Chopina, Tad zakłada strój kosyniera, a Lila zmienia się w księżną. Zakochanym w niej mężczyznom wojna wydaje się nierealna, a pokój ma twarz Lili.

Jedynie Tad jest Kasandrą swojej klasy. „Elity się sfajdały – twierdzi. – Już po wszystkim. Jedyne, co mogą jeszcze zrobić dla świata, to zniknąć". Z elitami zniknie cały rozdział kultury rytualnej i symbolicznej. Znikną także Żydzi, o których zagładzie Gary ledwie napomyka w „Latawcach", mimo że sam był w pewnym sensie ocalonym. Matka wymazała z jego dokumentów wszelki ślad żydowskości, ale ojciec, Arie-Lejb Kacew, którego przyszły pisarz poznał wiele lat po swoich narodzinach, kiedy ten już miał drugą rodzinę, umarł ze strachu na drodze do komory gazowej, w której zginęła jego żona i przyrodnie rodzeństwo Gary'ego.

Ostatnia powieść Gary'ego wychwala mądrość młodych, którzy nie oglądają się na przeszłość, zmienioną już w tekst, dokument, zapis dawnych marzeń. Patrzą za to w stronę przyszłości jako czasu, który pozostał – i który nie potrzebuje tych wszystkich społecznych atrybutów charakteryzujących epokę złudzeń. Ten nowy rozdział ma być czasem życia bez starych bagaży. Aż chciałoby się uwierzyć, że zaklęcie, jakim są „Latawce", zawsze będzie działać.

Historia nie ma jednak dla czytelnika litości. „Ta atawistyczna niezdolność do utraty wiary – ułomność, która tkwi we mnie i wobec której jestem bezsilny – przybierała w końcu postać jakiejś pełnej uszczęśliwienia i kongenialnej tępoty" – pisał Gary w 1960 r., gdy życie było jeszcze górą nad jego demonami. Kiedy „Latawce" trafiły do księgarń w 1980 r., czar już nie działał. Bestie pozostawały bestiami. Przypadająca w tym roku czterdziesta rocznica wydania powieści jest jednocześnie czterdziestą rocznicą samobójczej śmierci jej autora.

© MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

Romain Gary **LATAWCE**
przeł. Krystyna Szeżyńska-Maćkowiak, Prószyński i S-ka, Warszawa 2020

MATERIAŁY PRASOWE

Kadr z filmu „Mulan”

Kije i marchewki

JAKUB MAJMUREK

Chińskie władze zachęcają hollywoodzkich producentów do budowania serdecznych relacji z reżimowymi cenzorami. Tak, by cenzorzy przyjacielsko mogli „zasugerować” zmiany. Dla dobra filmu oczywiście.

Na papierze „Mulan” zapowiadała się jak pewny hit Disneya. Ekranizacja historii dzielnej chińskiej wojowniczki, ratującej Cesarstwo przed inwazją barbarzyńców, sprawdziła się już jako animacja, a temat dawał nadzieję na sukcesy na chińskim rynku – w ostatniej dekadzie coraz bardziej znaczącym dla hollywoodzkich studiów.

Kobieca bohaterka oraz postawienie za kamerą Nowozelandki Niki Caro miało pokazać, że Disney to korporacja idąca z duchem czasu nie tylko w kwestii reprezentacji kobiet na ekranie, ale także stwarzanych im zawodowych szans. Film z budżetem 200 mln dolarów jest do tej pory najdroższą produkcją w historii reżyserowaną przez kobietę.

Wydział propagandy

„Mulan” nie miała jednak szczęścia. Amerykańską premierę wielokrotnie przesuwano ze względu na epidemię COVID-19. W końcu film trafił na platformę VOD Disney+, wszedł na ekrany kin tylko tam, gdzie platforma nie jest na razie dostępna – w tym w Polsce. I jeszcze przed premierą Disney uwikłał się w polityczne kontrowersje.

Najpierw odtwarzająca tytułową rolę chińsko-amerykańska aktorka Liu Yifei wywołała burzę, gdy w mediach społecznościowych wyraziła poparcie dla chińskiej policji w Hongkongu, tłumiącej wolnościowe protesty. Odpowiedzią był hashtag #BoycottMulan. Disney musiał na chwilę schować swoją młodą gwiazdę.

Następnie na studio spadła fala krytyki za napisy końcowe. Disney dziękuje w nich za pomoc w realizacji filmu wydziałowi propagandy Komunistycznej Partii Chin w regionie Sinciang, gdzie kręcono część plenerów, oraz Biuru Bezpieczeństwa Publicznego z miasta Turfan w tym regionie. W Sinciangu partia prowadzi kampanię wymierzoną w muzułmańską, głównie ujgurską mniejszość. Szacunki obrońców praw człowieka mówią o nawet milionie Ujgurów uwięzionych w obozach koncentracyjnych; Chiny mają w nich prowadzić przymusowe sterylizacje. Podziękowania Disneya trudno więc obronić.

Jednocześnie także chińska publiczność i władze nie były zachwycone nową wersją „Mulan”. Disneyowi zarzucano, że choć obsadził tamtejszych aktorów, to do odtworzenia baśniowej chińskiej ↦

↦ starożytności wynajął amerykańskich scenografów, projektantów kostiumów, reżyserów i scenarzystów. Filmowi wypominano historyczne nieścisłości, uleganie orientalnym stereotypom i „zbyt zachodnie" podejście do tradycyjnej historii. Chińskie władze, podrażnione kontrowersjami wokół napisów końcowych, nałożyły przed premierą blokadę na wszelkie informacje o filmie w mediach.

Zwrot ku Chinom

Historia „Mulan" doskonale pokazuje paradoksy współczesnego rynku filmowego. Z jednej strony jego globalny charakter wymusza także na Hollywood sięganie po postaci, aktorów i historie z odległych kultur – co wzbogaca kino. Z drugiej strony w efekcie często powstaje produkt, który próbując zadowolić zachodnią i niezachodnią publiczność jednocześnie drażni obie. Często wikłając się przy tym w polityczne kontrowersje.

Kontrowersje i blokada informacyjna przełożyły się na rozczarowujące wyniki „Mulan" w chińskim *box office*. Wstępne szacunki mówią o niecałych 24 mln dolarów przychodów z biletów w weekend otwarcia. Jeśli nic się nie zmieni, to nadzieje Disneya na to, że „Mulan" wyciągnie z chińskiego rynku wielkie pieniądze, okażą się daremne.

A zyski z tego kraju stały się w ostatniej dekadzie kluczowe dla amerykańskich producentów. Już w 2015 r. Chiny były największym rynkiem kinowym na świecie, jeśli chodzi o liczbę sprzedawanych biletów. W 2019 r. przychody chińskiego *box office* prawie dorównały amerykańskiemu. Wspólnie Chiny i Stany odpowiadają za połowę globalnych przychodów z dystrybucji kinowej.

Najbardziej kasowy film zeszłego roku – i jak dotąd w historii – „Avengers. Koniec gry" na całym świecie przyniósł 2,79 mld dolarów wpływów, z tego ponad jedną piątą (612 mln dolarów) w Państwie Środka.

Ostatni „Avengersi" to nie jedyna amerykańska produkcja generująca tu w 2019 r. przychody idące w setki milionów dolarów. „Szybcy i wściekli. Hobbs i Shaw" ściągnęli ponad 200 mln, „Spider Man. Daleko od domu" – około 200 mln, „Kapitan Marvel" – ponad 150 mln, „Król Lew" – ponad 120 mln.

Dominujący w ostatniej dekadzie model działania wielkich studiów filmowych, zarabiających głównie na zyskownych, ale też bardzo kosztownych w produkcji i promocji globalnych hitach (najczęściej układających się w wielofilmowe franczyzy, pełne prequeli, sequeli i rebootów), był silnie zależny od przychodów z chińskiego rynku. Wielkie studia zarabiają tam nie tylko na rozpowszechnianiu filmów. Disney wspólnie z konglomeratem czterech chińskich spółek zbudował w Szanghaju wielki park rozrywki („chiński Disneyland"), Universal planuje otwarcie swojego parku w Pekinie w 2021 r. Te biznesowe zależności dają władzom ChRL narzędzia ekonomicznego i politycznego nacisku na amerykański przemysł filmowy.

Cicha cenzura

Chiński rynek jest bowiem tyleż potężny, co silnie regulowany. Każdy zagraniczny film musi być rozpowszechniany w partnerstwie z tutejszym dystrybutorem. Władze stosują przy tym system kwotowy: co roku na ekrany krajowych kin mogą wejść tylko 34 zagraniczne filmy, których producenci będą uczestniczyć w podziale zysków z rozpowszechniania wspólnie z chińskim dystrybutorem. Chińsko-amerykańskie koprodukcje mogą obejść te ograniczenia, dlatego Hollywood coraz częściej i chętniej przyjmuje pieniądze od inwestorów z ChRL.

Każdy film musi zaaprobować cenzura. Władza polityczna decyduje nie tylko o tym, czy film wejdzie na ekrany, ale też kiedy i czy w ogóle napisze o nim prasa itd. W połączeniu z lukratywnością rynku sprawia to, że amerykańscy producenci sami wychodzą naprzeciw oczekiwaniom chińskich władz, co dokumentuje wydany w sierpniu tego roku raport PEN America „Made in Hollywood, Censored by Beijing".

Problem z cenzurą polega według jego autorów przede wszystkim na tym, że jest ona niejasna i silnie uznaniowa. Wiadomo, jakich tematów w żadnym wypadku poruszać nie wolno: to naruszenia praw człowieka w Tybecie, kwestionowanie praw Chin do Tajwanu, organizacja religijna Falun Gong, opowieści o duchach i innych zjawiskach nadprzyrodzonych (wedle władz „szerzą przesądy"), relacje homoseksualne, propagowanie buntu wobec władzy, drażliwe karty historii – w tym dotyczące Komunistycznej Partii Chin. Oliver Stone walczył przez lata, by w koprodukcji z Chińczykami nakręcić film o Mao, miał jednak usłyszeć od partii, że film, który poruszałby tak potencjalnie kontrowersyjne tematy, jak rewolucja kulturalna, nigdy nie zostanie pokazany tutejszej publiczności.

Często jednak zmiany sugerowane przez cenzorów nie pomagają, a z drugiej strony tematy uznawane za zakazane – przechodzą. Producenci filmu o pladze zombie „World War Z" (2013) usunęli wątek wskazujący na Chiny jako źródło zarazy – film jednak i tak nie wszedł do dystrybucji. Równocześnie na chińskie ekrany wpuszczono obraz *science fiction* „Looper – pętla czasu" (2012), choć ogólnie podróże w czasie są tematem bardzo niemile widzianym przez władze. Być może zadecydowało to, że film miał chińskiego koproducenta i pokazywał świat, gdzie to ChRL wydają się przyszłością.

Według raportu PEN America chińskie władze zachęcają amerykańskich producentów (zwłaszcza tych pracujących z chińskimi partnerami) do budowania bliskich, serdecznych relacji z cenzorami. Tak by cenzorzy przyjacielsko mogli „zasugerować" odpowiednie zmiany. Dla dobra filmu oczywiście. Tworzy to niejawny i niekontrolowany cenzorski mechanizm, który nie pozostawia śladów w dokumentach i zachęca cenzurowanych do współudziału.

Trzy taktyki

Konformizm jest normą, rzadko ktoś publicznie odmawia. W zeszłym roku głośny stał się przypadek Quentina Tarantino. Chińczycy domagali się cięć w „Pewnego razu w Hollywood" – chodziło o rzekomo obraźliwy obraz Bruce'a Lee. Tarantino powiedział „nie", film nie wszedł do Chin. Tarantino to jednak przypadek wyjątkowy. Reżyserska gwiazda w każdym kontrakcie ma zagwarantowane prawo do ostatecznego montażu swojego filmu. W przypadku twórców o mniej znanym nazwisku i gorszym kontrakcie studio pewnie samo dokonałoby żądanych cięć, bez pytania reżysera o zdanie.

Wobec tego rodzaju żądań Hollywood przyjmuje trzy podstawowe taktyki. Z jednej strony tworzy obrazy mające przypodobać się chińskim władzom oraz widowni, czasem dodając do lokalnej wersji filmu dodatkowe sceny. Przynosi to różne efekty. Specjalne sceny na ten rynek dodane do „Iron Mana 3" – przedstawiające np. chińskich leka-

rzy wykonujących operację ratującą życie tytułowego bohatera czy zawierające nachalny *product placement* z popularną marką mleka – wywołały raczej śmiech i zażenowanie chińskich widzów. „Jakby ktoś nagle przełączył na inny kanał w telewizji" – brzmiały komentarze.

O wiele lepiej połączenie chińskich ambicji i nowoczesnego widowiska wyszło w koprodukcji „Meg" (2018), opowieści o walce z prehistorycznym rekinem gigantem. W filmie, podobnie jak w „Looperze", mamy komunikat, że Chiny to przyszłość. Amerykański miliarder finansuje badania na wielkich głębokościach, ale załoga podwodnej stacji to głównie Chińczycy. To oni pomogą pokonać prehistoryczne monstrum zachodniemu ekspertowi, którego główną partnerką (także romantyczną) jest chińska uczona, odtwarzana przez gwiazdę Bingbing Li.

Druga taktyka to usuwanie z filmów wszelkich motywów mogących urazić władze, często już na etapie pracy nad scenariuszem albo pierwszego montażu. Z hollywoodzkich produkcji znikają więc chińscy złoczyńcy i czarne charaktery. Gdy w 2015 r. wyciekły maile z Sony, znalazła się w nich informacja, że studio kazało usunąć ze scenariusza filmu „Piksele" (2015) scenę, gdy kosmici robią dziurę w Wielkim Murze Chińskim, bo to „nie pomoże w dystrybucji".

Gdy w 2016 r. w filmie „Doktor Strange" bohater, który w komiksie stanowiącym pierwowzór był Tybetańczykiem, zmienił się w kobietę graną przez Tildę Swinton, studio oskarżano o to, że z lęku o chiński rynek boi się nawet wspomnieć o istnieniu takiego miejsca jak Tybet. Choć tu równie dobrze mogła zadziałać znana w Hollywood praktyka „wybielania" charakterów o innym niż biały kolorze skóry.

Od czasu prezydentury Trumpa rosną polityczne i handlowe napięcia na linii Chiny–USA. **Również Hollywood jest coraz trudniej uzyskać dostęp do chińskiego rynku.**

Fani „Top Gun" zauważyli, że w trailerze nowej odsłony cyklu „Maverick" (premiera 2021) z lotniczej kurtki postaci granej przez Toma Cruisa zniknęły obecne tam wcześniej naszywki z flagami Japonii i Tajwanu. Tajwan to dla Chin zbuntowana prowincja, antyjapońskie sentymenty są zaś celowo rozniecane – dlatego w zeszłym roku Chińczycy wyłożyli pieniądze na hollywoodzką produkcję o amerykańsko-japońskiej bitwie pod Midway. Trudno uwierzyć, by nawet bez kontrowersyjnych flag nowy „Top Gun" faktycznie trafił na chiński rynek. Studia stosują jednak cenzorskie mechanizmy także w filmach, których nie planują dystrybuować w Państwie Środka – by nie zaprzepaścić szans innych swoich produkcji na dystrybucję na tym rynku.

Najbardziej wymowny przykład tego rodzaju cenzury to chyba „Czerwony świt" (2012) – *remake* filmu z lat 80. W oryginale Stany padają ofiarą inwazji Sowietów, a grupa uczniów amerykańskiego ogólniaka organizuje partyzantkę walczącą z okupantem. *Remake* kręcono jako historię, gdzie na Stany napadają Chiny, po tym gdy Ameryka odmawia spłacania długów, jakie ma wobec Pekinu. Studio uznało jednak, że warto powalczyć o chiński rynek i w postprodukcji Chińczyków przerobiono na Koreańczyków z północy. Cenzorzy i tak nie wydali zgody na dystrybucję.

Koreańczycy z północy wchodzili w rolę „zastępczych Chińczyków" już w Bondzie. W „Śmierć nadejdzie jutro" (2002) przeciwnikiem agenta 007 jest tam północnokoreański wojskowy, który przechodzi operację plastyczną zmieniającą go w białego, porzuca komunistyczną ideologię, wchodzi w grę o pieniądze i grając nieuczciwie zaczyna w niej wygrywać z Zachodem. Wielu krytyków zarzuca podobne ↦

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących!

Już ponad **1200 osób** z orzeczeniem niepełnosprawności z tytułu wzroku czyta regularnie „Tygodnik"!

Bezpłatną lekturę „Tygodnika Powszechnego" umożliwia im rejestracja w internetowym kiosku **Stowarzyszenia „De Facto"**.

Serdecznie prosimy Państwa o przekazanie tej informacji bliskim, przyjaciołom lub sąsiadom, którzy mogą być zainteresowani czytaniem naszego pisma w takiej formie.

Więcej informacji na powszech.net/dostepny

DE STOWARZYSZENIE FACTO

TYGODNIK POWSZECHNY

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

postępowanie współczesnym Chinom. Hollywood tego jednak nie pokazuje – trzecia taktyka studiów wobec oczekiwań to unikanie takich tematów jak konflikt Chiny–Zachód czy naruszenia praw człowieka w ChRL.

Ostatnie rzeczywiście krytyczne wobec Chin filmy – „Kundun, życie Dalajlamy" i „Siedem lat w Tybecie" – powstały pod koniec lat 90. Reżyser tego drugiego, Jean-Jacques Annaud, miał publicznie pokajać się za protybetańskie dzieło, dzięki czemu mógł nakręcić w Chinach superprodukcję „Wolf Totem".

Czy ten system przetrwa?

PEN America rekomenduje studiom, by przyjęły jasne, wspólne reguły postępowania wobec nacisków, na czele z zasadą niezgody na ingerencje w amerykańskie wersje filmów. Znawcy branży są sceptyczni, czy podobne wezwania ze strony społeczeństwa obywatelskiego podziałają na przedsiębiorców filmowych, kuszonych wielkimi zyskami z ChRL.

Do zmiany obecnego modelu, gdzie Chiny mają coraz większy wpływ na Hollywood, mogą jednak doprowadzić inne czynniki. Od czasu prezydentury Trumpa rosną polityczne i handlowe napięcia na linii Chiny–USA, co nie ułatwia prowadzenia biznesu w Chinach zachodnim podmiotom. Także przemysłowi filmowemu może być coraz trudniej w dostępie do tamtejszego rynku.

Nie tylko z przyczyn politycznych – Chińczycy nauczyli się produkować własne blockbustery. W zeszłym roku z dziesięciu najbardziej kasowych produkcji na tym rynku tylko dwie pochodziły ze Stanów – najnowsi „Avengersi" na trzecim miejscu i „Szybcy i wściekli. Hobbs i Shaw" na dziesiątym. Resztę miejsc zajęły rodzime produkcje. Jeśli „Mulan" polegnie na chińskim rynku, będzie to sygnał dla wielkich studiów, by urealnić swoje oczekiwania wobec Chin. Zyski z tego rynku zachowają wielkie znaczenie, ale coraz trudniej będzie je wywalczyć. A im trudniej Hollywood będzie zarobić w ChRL, tym większa szansa, że w końcu niewygodne dla chińskich władz tematy zaczną się znów przebijać na wielki ekran.

© JAKUB MAJMUREK

MATERIAŁY PRASOWE

Kinga Preis i Zofia Stafiej w filmie „Jak najdalej stąd"

Połączenia zerwane

ANITA PIOTROWSKA

Film „Jak najdalej stąd" ma wiele z kina drogi. Przemierza ją zadziorna siedemnastolatka bez prawa jazdy, zmuszona dokonać wyboru między tradycją, indywidualizmem i ludzkim odruchem.

Chrzciny, komunie, wesela, pogrzeby – historię polskiego kina tworzą w dużej mierze religijne uroczystości rodzinne. Króluje oczywiście Wigilia i Piotr Domalewski zdążył już nam ją kiedyś opowiedzieć w swym nagradzanym debiucie „Cicha noc". Tym razem to, co w rodzinie najlepsze i najgorsze, ukaże nam pochówek ojca, który uległ wypadkowi podczas pracy w Irlandii. Lecz uwagę przyciąga przede wszystkim jego córka.

Ola, zagrana przez znakomitą Zofię Stafiej, jest przynajmniej w połowie tzw. eurosierotą. Kiedy ją poznajemy, dawno niewidziany ojciec wypruwa sobie żyły gdzieś w dalekim porcie przeładunkowym, matka (Kinga Preis) to typowa „kobieta pochylona", sterana opieką nad niepełnosprawnym synem, podczas gdy główna bohaterka nieustannie boksuje się z rzeczywistością i próbuje wziąć los we własne ręce. Ale życie temu nie sprzyja.

Nie dość, że główny żywiciel rodziny został przygnieciony przez kontener, to

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

Dziennikarze i autorzy „Tygodnika" co tydzień goszczą w programie „Światopodgląd" Agnieszki Lichnerowicz w Radiu TOK FM. Zapraszamy do słuchania.

87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń
89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin
94,9 FM Kielce **www.tokfm.pl**

jeszcze trzeba sprowadzić do Polski jego ciało. Zadanie przypada Oli, jego realizacja kosztuje aż 3,5 tysiąca euro. Dlatego jej samotna wyprawa na „zieloną wyspę", chociaż w hollywoodzkim filmie mogłaby nieść ciężar godny greckiej tragedii, tu ma kontekst raczej przyziemny: jak zdobyć te pieniądze, skoro ubezpieczenie w tym przypadku nie przysługuje i, co gorsza, ojciec nie pozostawił po sobie żadnych oszczędności? Domalewski, inspirując się w scenariuszu autentyczną historią, opowiada o determinacji, żeby odzyskać to, co należne, aczkolwiek nadaje owym staraniom coraz to inne odcienie.

W tle toczy się opowieść o tych wszystkich „Polakach potrzebnych od zaraz", którzy na dublińskim bruku starają się polepszyć standard życia swoich dzieci. I np. kupić córce używane auto, dając jej w ten sposób większą samodzielność czy możliwości zawodowe. Może właśnie o ten wymarzony samochód toczy Ola boje z irlandzkim pracodawcą, agentem pośrednictwa, pracownikiem zakładu pogrzebowego i znajomymi ojca?

Przy okazji jednak Domalewski zagląda wraz z bohaterką do blaszanej szafki w robociarskiej szatni, do wysłużonego portfela po zmarłym, do ponurej nory, w której przemieszkują jego współtowarzysze. Szukając ojcowskich pieniędzy, Ola coraz więcej dowiaduje się o nim samym: w jakich warunkach pracował, co lubił robić w wolnych chwilach, z kim się spotykał. Odsłania się mimochodem ta najciemniejsza strona migracji zarobkowych, niby legalnych, ale naznaczonych upokorzeniem, samotnością, utratą więzi z pozostawionymi w kraju bliskimi. Mimo wynalazków typu Skype połączenie nader łatwo zostaje zerwane.

Wyczuwalne są u Domalewskiego powinowactwa z kinem Kena Loacha czy braci Dardenne. Na pierwszy rzut oka chodzi o traktowanie społeczno-ekonomicznego tła: tego rodzaju kino nie lekceważy szczegółów typu cena irlandzkich papierosów czy wygląd taniego hostelu, w którym koczuje Ola. Realia imigranckiej doli mogliśmy poznać już w „Cichej nocy" i w „60 kilo niczego", świetnej krótkometrażówce polskiego reżysera, gdzie źródłem moralnego niepokoju była nagła śmierć nielegalnego pracownika z Ukrainy. Podobieństwo do filmów wspomnianych wyżej mistrzów sięga jednak dużo głębiej.

W „Jak najdalej stąd" kamera wiernie podąża za główną bohaterką, pozwala jej na błądzenie, wątpienie i bycie niegrzeczną. Nie wpędza jej w rolę ofiary i nie patrzy na nią pobłażliwie, a Stafiej jest w tej roli drapieżna i zacięta. Jedyne, do czego można by się przyczepić w konstrukcji tej postaci, to jej umiejętności językowe – chyba trochę zbyt duże jak na zbuntowaną wagarowiczkę. Chce się jednak przez cały czas z nią być, bo po prostu wzbudza ciekawość. Aż do ostatniej sceny trudno ją całkiem rozgryźć. Właśnie zaciekawienie człowiekiem, który nie jest li tylko produktem wadliwie urządzonego świata, lecz istotą ocalającą wbrew okolicznościom swą podmiotowość, łączy ten film z „Ja, Daniel Blake" czy „Rosettą".

Istnieją też delikatne nici wiążące „Jak najdalej stąd" z „Cichą nocą". W poprzednim filmie Domalewskiego nie udało się uratować rodzinnych świąt, ale główny bohater grany przez Dawida Ogrodnika ratował przynajmniej siebie – przekraczając tradycyjne role brata, syna, narzeczonego. Tu toczy się cicha walka o kształt ceremonii pogrzebowej. Matka Oli chce, żeby za wszelką cenę było z trumną i z pompą, trudno jej pogodzić się z myślą, że ciało męża mogłoby zostać skremowane. Co ma większą wagę: ceremoniał czy zwykłe przyzwoite życie, symbol czy konkret? Wreszcie: dlaczego bardziej kochamy umarłych aniżeli żywych?

Twórcy filmu nie ukrywają, komu kibicują, jakkolwiek unikają ocen. Ten, który przez lata oszukiwał, w innej odsłonie okazuje się uczciwy. Ta, której marzy się wystawny rytuał, cierpi z powodu swej zranionej godności. Prawie wszystkie postacie, jakie spotyka Ola podczas swej dublińskiej odysei, w pewnym momencie przestają być wyłącznie bezdusznymi funkcjonariuszami czy płaskimi kartami z życiorysu jej ojca. Tak również jest z filmem – skromnym, nieefektownym, przygaszonym, ale jednocześnie naładowanym dużą empatią i słusznym gniewem. ©

JAK NAJDALEJ STĄD – *reż. Piotr Domalewski. Prod. Polska/Irlandia 2020. Dystryb. Forum Film. W kinach od 25 września.*

WARTO ZOBACZYĆ

1. Jaskółki z Kabulu

Dramat, reż. Zabou Breitman, Eléa Gobbé-Mévellec, Francja 2019, Cinemax 2, 26 IX, 8.05, 19.05

Za pomocą animacji twórcy przenoszą nas do afgańskiej stolicy końca lat 90. W rządzonym przez talibów mieście krzyżują się losy dwóch par, które na pozór dzieli wszystko. Konflikt tradycyjnych wartości z nowoczesnością, rosnąca przemoc i coraz gorsze warunki życia wystawiają międzyludzką solidarność na ciężką próbę.

2. Tygrysice menopauzy

Dokumentalny, reż. Henryk Dederko, Polska 2020, Canal+ Dokument, 29 IX, 20.30

Autor kontrowersyjnego „Witajcie w życiu" (o firmie Amway) powraca w świetnym stylu. Wbrew tytułowi nie jest to rzecz o kobiecym przekwitaniu, ale czuły hołd złożony dojrzałym aktorkom, które współtworzą popularny spektakl „Klimakterium... i już!". A wśród nich Elżbieta Jodłowska czy nieżyjąca już Krystyna Sienkiewicz.

3. Pakt Adriany

Dokumentalny, reż. Lissette Orozco, Chile 2017, arte.tv/pl

Czy ukochana ciotka – osoba barwna, hojna i wielce szykowna – rzeczywiście pracowała dla tajnej policji politycznej Pinocheta i była odpowiedzialna za torturowanie lewicowej opozycji? Reżyserka prowadzi śledztwo, by uratować wizerunek Adriany, ale tropy zaprowadzą ją tam, gdzie nikt dotychczas się jeszcze nie zapuszczał.

4. Diabeł wcielony

Thriller, reż. Antonio Campos, USA 2020, Netflix

Choroby, wojenne traumy i zło w stanie czystym – pośród takich okoliczności toczy się walka o duszę młodego weterana II wojny światowej, który próbuje ratować siebie i swoich najbliższych. W tym mrocznym, a zarazem smakowitym filmie na uwagę zasługuje obsada, a zwłaszcza Robert Pattinson w roli demonicznego pastora.

JAN

Klata:
Coraz bliżej prawdy

Ech, pan Antoni, stary dobry pan Antoni, niewiarygodnie wiarygodny tropiciel katastrof, niestrudzony – za skromną opłatą – wizjoner, mnożyciel szczegółowych scenariuszy dopiętych na ostatni guziczek z pętelką. Wielokrotny konferencyjny showman, który wyjaśnia mroczną tajemnicę w karkołomny sposób. Ile to już lat się pan Antoni pozornie buja, buja w obłokach, leci na oparach nie chcąc zejść na ziemię, a tak naprawdę niczym inspektor Columbo tylko zgrywa niezgułę.

Pan Antoni mógłby spocząć na laurach, udać się na zasłużony wypoczynek po trudach niebywałej żmudy, pokryć się patyną, ale nie, po wielokroć nie. Nigdy. On nigdy nie idzie na łatwiznę, nie zaśpiewa w chórze, nie zadowala się powierzchowną faktografią i logiką, tymi błyskotkami leniwych umysłów wiadomej proweniencji. On drąży, przy pomocy szerokiego grona ekspertów fedruje do prawdy. Plądruje ruiny rzeczywistości, aby wyciągnąć z nich nić, nić wiodącą do autorów zbrodni. Jak lodołamacz prze do prawdy, nieprawdaż? Ma to swoją cenę, ale są wartości, którymi nie można kupczyć, więc Polska od lat zapewnia panu Antoniemu komfort dostępu do najlepszych specjalistów. Nie ma co owijać w bawełnę: pan Antoni wysnuwa nieodparte wnioski, chcąc podnieść welon złudzeń, i nie spocznie, nim nie wytropi i nie udowodni każdemu z niedowiarków, że niechybnie był wybuch, który odbił się echem pospołu w Moskwie i Brukseli.

Tymczasem jednak patron spraw beznadziejnych na chwilkę pana Antoniego opuścił, aby udać się do Prokuratury Krajowej, która wystąpiła z wnioskiem do sądu o aresztowanie rosyjskich kontrolerów wiadomego lotu. Zarzut: spowodowanie katastrofy w ruchu powietrznym. Jest akurat przypadkowo rocznicowo 17 września. Wróżę zarówno panu Antoniemu, jak i urzędnikom ministra Ziobry długie lata merytorycznej, owocnej i skutecznej pracy dla Polski. Tylko niech się zdecydują: był wybuch czy katastrofa. Chyba że jedno i drugie, oczywiście. Poczekamy, zobaczymy. Rosyjscy kontrolerzy wzięci w krzyżowy ogień w końcu muszą zacząć sypać. ©

Lektor:
Martwe jak żywe, żywe jak martwe

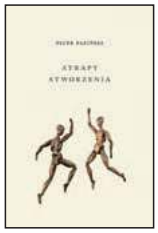

▪ *Piotr Paziński*
ATRAPY STWORZENIA
Wydawnictwo Austeria, Kraków – Budapeszt – Syrakuzy 2020, ss. 228

Figury woskowe i panoptykony, lalki, manekiny sklepowe, marionetki Kleista i nadmarioneta Craiga. „Na, wydawałoby się, bezpieczną drogę, którą kroczył człowiek Oświecenia i Racjonalizmu, wychodzą z ciemności nagle i coraz liczniej SOBOWTÓRY, MANEKINY, AUTOMATY, HOMUNKULUSY" – pisał Tadeusz Kantor w manifeście Teatru Śmierci i swoim aktorom, działającym trochę jak istoty mechaniczne, przydawał zupełnie już martwe duplikaty. Żywi jeszcze rekruci traktowani jak biologiczny surowiec, formowani od nowa, jak to czyni w powieści Józefa Wittlina sztabsfeldfebel Bachmatiuk, ruszają na front jako masa zdepersonalizowanych automatów i powracają w postaci armii trupów bądź przerażających kalek (taki pochód kalek mistrzowsko odmaluje Joseph Roth). Jest jeszcze Golem pojawiający się w zaułkach żydowskiej dzielnicy Pragi. I ptaki – żywe, potem wypchane albo zdegradowane, jak u Schulza, do poziomu nędznych atrap. Obok Kleista, Leśmiana, Rotha, Wittlina, Schulza i Kantora – Gustav Meyrink (ten od „Golema"), Thomas Bernhard oraz współczesny nam imiennik Josepha Rotha – Gerhard, też Austriak. I inni.
Wyliczam nieco chaotycznie, bo chciałbym potencjalnemu czytelnikowi podrzucić możliwie wiele przynęt. „Atrapy stworzenia", książka rozwijająca niektóre wątki wydanej przed pięciu laty „Rzeczywistości poprzecieranej", skonstruowana została jednak bardzo precyzyjnie. „Motyw figury woskowej – tłumaczy autor – oraz pokrewnych jej sztucznych istot doby nowoczesności: lalki, manekina, elektrycznego automatu, a w końcu syntetycznej podróbki żywego organizmu, jest tematem przewodnim wszystkich ośmiu tekstów. Każdy na różne sposoby podejmuje problem imitacji i sztucznego życia, każdemu patronuje myśl Brunona Schulza, że dzieło stworzenia powtarza się tylko jako własna atrapa i tylko w atrapie udaje się przedstawić i uchwycić życie w jego nieskończonych przejawach". Z tych ośmiu esejów dwa najbardziej nieoczekiwane i nadzwyczaj frapujące zostawiłem na koniec. Pierwszy (ściślej zaś – szósty) jest, jak pisze Paziński, midraszem do „Akademii pana Kleksa" Jana Brzechwy. Ósmy zaś i ostatni to porywająca próba interpretacji „Edenu" – wczesnej (1959) powieści Stanisława Lema. Czym może być planeta, której nazwa odsyła do Księgi Rodzaju, a która z bliska niczym nie przypomina rajskiego ogrodu? Poczytajcie Lema i Pazińskiego. ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Równość targu

Pan wie, że to Żydówka? – usłyszał pewien serowar spod Bydgoszczy, kiedy kobieta przechodząca koło jego stoiska dojrzała leżący obok serów numer naszego „Tygodnika” z Anne Applebaum na okładce. Scenka, którą ów opowiedział w mediach społecznościowych, na tym się zakończyła, bowiem niedoszła klientka nie chciała go słuchać. Nie miałem okazji jeść produktów z gospodarstwa Malinowy Chruśniak, ale mój mentor i wielki znawca serów Gieno Mientkiewicz je poleca, więc mogę w ciemno założyć, że pani straciła okazję na zdrowy posiłek z arcypolskiej kozy.

To wcale nie jest taka błaha decyzja: co i od kogo kupić, żeby nie tylko dobrze zjeść, ale i zjeść dobrze – czyli w sposób, który sprzyja równowadze w środowisku naturalnym i społecznym. Warto pilnie badać miejsca pochodzenia, składy, higienę, warto nadłożyć drogi, odstać w kolejce, odżałować grosza, zapamiętać twarze i imiona, zagadać, podpytać. Ale na pewno żadnego znaczenia nie mają tu poglądy polityczne.

Czasami sterany śledzeniem rozgrywek polityków, myślę o targu i kuchni jako ostatnim azylu, gdzie fizjologia smaku, ślepa na poglądy i ideologie, zrównuje wszystkich przed majestatem pieczystego. „Widzimy więcej, niż jest naprawdę. Wykonując nasze zadanie i próbując objaśniać politykę, nie objaśniamy, tylko uczestniczymy w gmatwaniu sytuacji przez Kaczyńskiego” – mówił kilka dni temu o najnowszym zamieszaniu w obozie władzy nieoceniony Rafał Matyja.

Otóż właśnie. Mam regularnie wrażenie, że na pierwszych stronach gazet i górnych belkach portali jest zwykle napisane więcej, niż jest naprawdę. Że pojęcia w ustach ludzi nabierają jakiejś upiornej mocy, nienależnej im w ekonomii dobrego życia. Dlatego tak zabolała mnie scena przytoczona przez bydgoskiego serowara. Wprowadzanie motywowanej politycznie nienawiści i stereotypów na targ jest dla mnie jak świętokradztwo.

Podobnie było w lipcu, kiedy kandydata na prezydenta Roberta Biedronia spotkały na krakowskim Starym Kleparzu wulgarne docinki. Można oczywiście zapytać złośliwie, po co się pchał między stragany robić kampanię. Cokolwiek byśmy jednak sądzili o szczerości takiej eskapady, to w momencie przekroczenia granicy targu każdy ma prawo do równego traktowania i traci polityczną twarz. Zarząd placu szybko przeprosił i się odciął, a ja staram się wyprzeć to z pamięci.

Zależy mi na tym miejscu. Stary Kleparz byłby wystarczającym powodem (gdybym nie miał redakcji przy Wiślnej), aby w Krakowie zamieszkać. Lubię jego janusowe oblicze – z jednej strony płody rolne w skrzynkach, kaszanka i twaróg na ceracie, z drugiej budki z chińskim szmelcem oraz rozwieszoną na żyłkach odzieżą, ostańce epoki szczękoblaszakowej. A z trzeciej część, by tak rzec, trendsetterska, czyli stoiska z mniej lub bardziej naturalnym modnym jedzeniem, bądź lokalnym, bądź egzotycznym (waham się nad tym słowem, bo czy węgierskie wędliny i kiszonki są egzotyczne?). A pomiędzy tym wszystkim rzeźnik, który się nie zdziwi, jeśli poprosić go o pręgę wołową z kością, czyli *ossobuco*.

Właśnie niedawno otworzyło się tam bistro nawiązujące do tradycji weneckiego *bacaro*. Kiedy zobaczyłem, że podają spritz z aperolem jak święty Marek przykazał – w zwykłej szklance, a nie kieliszku! – już wiedziałem, że szykuje się dobra zmiana. Za szybą świeżo robione kanapeczki-rolady z bielusieńkiego chleba przypominającego nasz tostowy, czyli *tramezzini* – wypełnione wieloskładnikowym nadzieniem, wędliną, ostrymi piklami i pastą. Bez żadnych kompleksów mogłyby leżeć na ladzie baru w Wenecji. Oraz często w tej rubryce wspominany z nostalgią *saor*, czyli sardele robione na kwaśno.

Czy to nie jest piękne, kiedy objuczeni siatami, możemy przysiąść na moment i bez ceregieli wypić aperitif? Słucham czarownego dzwonka kostki lodu o szklaną ściankę i napominam się, że nie wolno mi popadać w egzaltację. Troska o jedzenie i radość, jaką potrafimy z tego czerpać, nie spowodują w nas trwałego przypływu dobrej woli. Ale wierzę, że przynajmniej na moment zawieszają w nas zło, które każdy, chcąc nie chcąc, za sobą wlecze. ©℗

INSTAGRAM.COM/ONEGUYWITHAKNIFE

To wstyd, ale żyjąc 53 lata w Polsce, nie nauczyłem się zbierać grzybów. Zazdrość mnie zżarła, kiedy mój redakcyjny brat w łakomstwie Michał Kuźmiński pokazał swoje zbiory rozłożone na płachtach naszej gazety. Koślawa, nieregularna rozmaitość grzybów przypomina o kantowskiej zasadzie, że przeżycie piękna nie służy niczemu praktycznemu. Z grzybów zaś pożytek odżywczy niewielki, za to wielka radość dla zmysłów, bardziej węchowa niż smakowa. Tu podobnie jak z owocami morza: najważniejsze to zapach unoszący się znad patelni, reszta to tylko przypisy dr. hab. filologii do miłosnego sonetu. Grzyby w swej aromatycznej rozpuście nie wymagają wielkiej fantazji od kucharza. Ważne, żeby masło było najlepsze, a śmietana prosto od chłopa. Włosi, którzy swoje funghi celebrują ponad miarę, chociaż ich borowiki mogłyby naszym buty czyścić, mają dla nas jedną ważną lekcję: mięta bardzo ładnie zaostrza całość. A ja sam często dla ostrości zamiast pieprzu używam sporej ilości brandy, którą podlewam grzyby, kiedy wstępnie je obsmażę. Albo nawet brandy pół na pół z anyżówką, o ile wasi domownicy nie mają alergii na ten smak.

O CO CHODZI W RYKOWISKU

Piotr Horzela, youtuber: Leśnicy latają między biurem a wywozem drewna, są menedżerami od tabelek Excela. Nie mają czasu, by przyjrzeć się przyrodzie i spokojnie z nią współpracować.

ADAM ROBIŃSKI

A możemy nie pisać, gdzie mieszkam? W internecie dla zmyłki rozszerzam swoje terytorium na obszar kilku powiatów. Tak jest lepiej – prosi Piotr Horzela, gdy maszerujemy leśną drogą parę kilometrów od jego domu rodzinnego.

– Nie lubisz gości?

– Lubię ludzi, ale nie chcę zwiększać presji na lokalną przyrodę, nie chcę, żeby nagle przyjechało tu dziesięć osób podglądać wilki czy rykowisko. Zwierzaki potrzebują spokoju, dlatego wolę, żeby miejsce pozostało anonimowe.

Niech więc tak będzie: las jak las. Taki, jakich w całej Polsce mnóstwo. Zachodnia część Pomorza, mrowie sosen posadzonych na piachach, poszatkowane liniami oddziałowymi. Płasko. Nieopodal nieduży rezerwat na zabagnionym terenie. Strumyk wpadający do większej rzeczki, która kończy w Brdzie. Stara, poniemiecka, murowana leśniczówka położona parę kilometrów od najbliższej wsi. Przystrzyżony trawnik ze starym klonem. I jeszcze skrzypiąca furtka, za którą są już tylko rzędy sosen.

Można wyjść z domu i po kilkudziesięciu krokach być już w lesie. Wszystkie dorosłe sosny czy buki na tych terenach sadzili Niemcy. Polska je po nich „odziedziczyła" – jak mówi Horzela. Oto przewrotny aspekt przesuwania granic: Niemiec posadził, Polak ścina, zarabia i sadzi ponownie dla przyszłych pokoleń.

Jednoosobowa firma

Piotra Horzelę można więc spotkać w anonimowym lesie na Pomorzu oraz – przede wszystkim – w internecie, gdzie tworzy pod hasłem „Piotr Horzela opowiada". Opowiada przede wszystkim na realizowanych przez samego siebie filmach, które zamieszcza w serwisie YouTube (gdzie jego poczynania śledzi 39 tys. widzów; rekord jednego filmu to 740 tys. wyświetleń) oraz – coraz częściej – na Instagramie, gdzie dzień w dzień, z godną podziwu regularnością, relacjonuje swoje wycieczki do lasu. Jak na internetowego twórcę przystało, Horzela to jednoosobowa firma producencka. Jest sam sobie scenarzystą, dokumentalistą, operatorem, montażystą i aktorem. Czasem tylko kamerę potrzyma mu mama lub znajomy.

Kiedy typowy mieszczuch odpala w domowym zaciszu Netfliksa, Horzela zaczyna nadawać: chmara byków na polanie. Kuźnia dzięcioła. Odpoczywające wilki. Borsuk na drodze. I lis, którego sam przywabił, udając mysz (trzeba ułożyć usta w dzióbek i cicho piszczeć). Wszystko to opatrzone wiedzą leśno-przyrodniczą i efektownymi kadrami z okolicznych łąk i zarośli. Las w jego wydaniu to tętniące życiem miejsce. Na zwierzęta zdaje się natykać na każdym kroku.

– Często mówię, że jestem z lasu, co brzmi trochę jak tandetny slogan reklamowy, ale w moim przypadku jest absolutną prawdą – opowiada z filiżanką kawy w dłoni, siedząc pod wspomnianym już klonem, który wraz z końcówką lata zaczyna gubić pierwsze liście.

– Trafiłem do tego domu jako trzylatek. Rodzice są leśnikami. Ukończyli studia w Poznaniu, choć w dużym rozstrzale, bo jest między nimi 13 lat różnicy. Ojciec jest ze Śląska, mama z Kujaw, po ślubie podjęli pracę i zamieszkali w Bytowie. To było fajne miejsce do pracy, aż do pewnego dnia w 1981 r., kiedy lekarz, zamiast być na dyżurze na porodówce, pojechał na ognisko, a odbierające poród pielęgniarki zerwały mi cały splot barkowy. Codziennie przez trzy i pół roku mama wałkowała ze mną rehabilitację i dzięki temu ręka jest dziś sprawna, choć nie jestem w stanie jej obrócić. Ale z Bytowem mama nie chciała mieć już nic wspólnego.

Sosna zamiast ziemniaka

Szukając innego lasu do życia i pracy Horzelowie trafili na pusty od co najmniej dekady dom z 1890 r. Budynek był ruiną, ratowało go tylko to, że w okolicy lubił polować jeden z wysoko postawionych leśników z regionu. Ojciec Horzeli przez rok stawiał dom na nogi, a potem sprowadził rodzinę.

– Tu wszędzie jest strasznie słaba gleba, co ma odwzorowanie choćby w tym, jak ta sosna rośnie. Jest niższa, wolno przyrasta, co powoduje, że nie jest tak majestatyczna jak choćby w Puszczy Knyszyńskiej, za to jej drewno jest o wiele bardziej wytrzymałe. Niemcy kiedyś płacili osadnikom za to, żeby chcieli tu w ogóle mieszkać. Gleba nie rodziła, więc w końcu uznano, że nie ma sensu jej w tę i z powrotem przewracać. Zamiast tego trzeba posadzić drzewa. Przyjechał nadleśniczy z Berlina organizować w tych stronach gospodarkę leśną, m.in. rozpoczynając zalesienia gruntów porolnych. Koło mojego domu co prawda wcześniej też rósł las, ale jak podjedziemy potem kawałek dalej na zachód, to zobaczysz sosnę rosnącą na dawnym polu ziemniaków. To widać gołym okiem.

Zanim jednak wybierzemy się do lasu, Piotr Horzela opowiada dla odmiany o sobie. Innego pomysłu na przyszłość niż leśnictwo nie miał. Dookoła wszędzie leśnicy, drwale i transport leśny: – Do podstawówki miałem 12 km. Autobus wyjeżdżał o 6.30, powrotny miałem w południe, po czwartej lekcji, ale ten stawał cztery kilometry stąd. Drugi i zarazem ostatni wracał z miasta o 15.30. Nie było mowy, żeby pograć z kolegami po szkole w piłkę czy zostać na jakieś zajęcia pozalekcyjne. Wracałem do lasu, który był moim ogromnym placem zabaw.

Czy człowiek wychowany w takich warunkach, kiedy osiąga samodzielność, nie marzy wyłącznie o ucieczce?

– Jasne, że tak. Dlatego do dziś nie potrafię powiedzieć, gdzie chciałbym mieszkać na stałe. Teraz, z uwagi na pandemię, jestem ciągle u rodziców, ale wolałbym chyba pół na pół: zimniejsza połowa roku w Warszawie, Poznaniu, Wrocławiu czy innym dużym mieście, reszta w lesie. Ciągnie mnie do ludzi, a odludne dzieciństwo sprawiło, że byłem podatny na subkultury. Dlatego też lubię np. piłkarskie stadiony, spędziłem na nich dużo czasu. I to jako zaangażowany ultras Legii Warszawa. Mam na koncie około stu wyjazdów i jakieś dwieście meczów u siebie.

Leśnik od lodowców

Skończył studia leśne, najpierw w Poznaniu, potem w Warszawie. Zajęło mu to razem dziewięć lat, w tym dwa urlopy dziekańskie na jeżdżenie po świecie i pracę. Jak się człowiek zachłyśnie częstymi zmianami otoczenia, to trudno mu sobie wyobrazić, że resztę życia ma spędzić w jednej leśniczówce. Na podróże zarabiał jako sprzedawca w sklepie turystycznym.

Trafiło mu się tam paru klientów, którzy brali faktury na Zakład Biologii Antarktyki Polskiej Akademii Nauk. Zaczął ich wypytywać o wyprawy polarne, potem doczytał ↦

PIOTR HORZELA

↦ w internecie, że trwa nabór na kolejną. Napisał CV, tak ładnie je motywując, że „aż uwierzył, że się nadaje". Najpierw nie dostał żadnej odpowiedzi. Ale potem był nagły telefon, że ktoś zrezygnował i na gwałt potrzebny jest nowy członek wyprawy do Polskiej Stacji Antarktycznej im. Arctowskiego na Wyspie Świętego Jerzego.

– Aplikowałem do funkcji obserwatora przyrody, skończyło się na mierzeniu lodowców. Jak się później dowiedziałem, osoby przeglądające podania zobaczyły moje CV, a w nim informacje, że skończyłem leśnictwo. „Leśnicy to fajne chłopy, powiedzieli, zaprośmy leśnika na rozmowę" – wspomina.

I tak świeżo upieczony absolwent wydziału leśnego zajął się lodowcami w Antarktyce. Po roku było mu mało, więc zasugerował kierownictwu, że taniej będzie zostawić go jeszcze na parę miesięcy, niż ściągać nowego pracownika. W ten sposób zaczął robić to, po co naprawdę poleciał na południową półkulę. Trafili w dwie osoby do drewnianej chaty w sąsiedniej wobec Arctowskiego zatoce. Prądu mieli godzinę dziennie, wodę przyciągali w beczce ze strumienia. Przez cztery i pół miesiąca żyli jak na stacji kosmicznej, prowadząc obserwacje okolicznej przyrody. Horzela żył więc w Antarktyce ciurkiem ponad 16 miesięcy.

Po zakończeniu kontraktu wydostał się z Antarktyki w sposób godny tego miejsca – jachtostopem. Polska łódź Katharsis II przetransportowała go – okrężną drogą, zahaczając jeszcze o kontynentalną Antarktydę – do Punta Arenas w Chile. W Ameryce Południowej spędził kolejne pół roku – podróżując i blogując, jedno i drugie bez większych zobowiązań.

– Powrót do Polski po dwóch latach nieobecności też był spektakularny – śmieje się. – Biegiem z lotniska na Okęciu na autobus, plecak zostawiłem w słynnym wśród kibiców Legii barze Źródełko, na stadion wszedłem w chwili, gdy Miroslav Radović strzelał bramkę Spartakowi Moskwa.

Horzela wrócił do pracy w sklepie turystycznym, ale rok później był już w Sudanie Południowym („Lałem tam beton"). Kiedy wreszcie wylądował w kraju na dobre, zamiast szukać pracy, postanowił ją sobie wymyślić i zorganizować. Zaczął robić to, z czego dziś zna go internet. Opowiadał. Przede wszystkim o swoich podróżach i pracy na drugiej stronie globu. Z prezentacjami jeździł na festiwale podróżnicze, odwiedzał szkoły i domy kultury. Jak mówi, to wciąż jego główne źródło zarobku. Z czasem pojawił się pomysł działania w YouTubie. Kręcił filmy leśne i relacje z podróży, choć jego gen nomady stopniowo się uspokajał.

Ma być cicho

Przez cztery lata nagrał prawie 60 filmów o długości od kilku do kilkunastu minut. Jak czytać słupki oddziałowe i jak się wśród nich nie zgubić. Kawki, wrony i gawrony. Czy trzeba bać się dzików. Co robią kleszcze. Jak skutecznie podglądać zwierzęta. Jak sprawdzić wiek drzewa za pomocą telefonu. Kto pracuje w lesie. O co chodzi w rykowisku. Co kwitnie wiosną. Jak rośnie choinka i jak zrobić z niej... mikser. Z inną twórczynią internetową, Magdą Bębenek, prowadził również projekt „Las w nas". Przez ponad rok mieszkali w mobilnym domu w Puszczy Knyszyńskiej, skąd nadawali w świat.

– W całym tym przekazie, który staram się firmować swoją twarzą, chodzi o to, by edukować, trzymając się jednocześnie z dala od wszelkich sytuacji konfliktowych – tłumaczy, gdy ruszamy przez las drogą, która zaczyna się zaraz za jego domem.

Mijamy chyba wszystkie możliwe stadia wiekowe lasu gospodarczego: uprawy, młodniki, tyczkowiny i drągowiny, by wreszcie, po niecałej godzinie, dojść do drzewostanu dojrzałego, wyznaczonego do ścięcia. To te sosny, które pamiętają jeszcze rękę niemieckiego gospodarza.

– W lesie się nie krzyczy i o lesie też się nie powinno. Jeśli komuś zależy na przyrodzie, to znaczy, że powinien mieć chęć, by się spotkać, porozmawiać. Można mieć przeciwne zdania, ale trzeba rozmawiać. I to nie w taki sposób, w jaki robi się to w Polsce od paru lat. Głównie z tego powodu zająłem się robieniem leśnego YouTube'a. Nie znajdziesz u mnie materiałów o odstrzale żubrów, o konflikcie w Puszczy Białowieskiej. Kiedy nie mam stuprocentowej pewności, że białe jest białe, a czarne – czarne, to po prostu nie ruszam tematu. Jeśli jadę nagrać film do Białowieży, to po to, by opowiedzieć, czym jest kornik drukarz. Nie przekonuję, że jest dobry albo zły i ile go potrzebujemy. To bardzo złożony wielowątkowy temat i nie mam wystarczającej wiedzy, by się jednoznacznie wypowiedzieć. Chodzi mi o to, żeby uzupełniać luki w edukacji podstawowej i nie dać się spolaryzować. Bo w przestrzeni publicznej nie jest istotne, czy na sporny temat wypowiem się merytorycznie czy nie. Jeśli ktoś usłyszy fałszywą, w jego mniemaniu, nutę, to od razu zostanę dla niego drugą stroną konfliktu. I przestanie mnie słuchać. A chcę trafiać do jak największej liczby osób, zachowując wiarygodność.

– A próbowano cię wciągnąć w jakieś spory? – pytam.

– Mnóstwo razy. I leśnicy, i niektóre organizacje ekologiczne, bo tak najczęściej wygląda oś konfliktu. Znajomi też już mi przygadywali, czasem stosując emocjonalny szantaż: jeśli o tym nie mówisz, to tak jakbyś to popierał. Uodporniłem się już na to. Interesuje mnie oddolna edukacja w zakresie podstawowym.

Stół dla wnuka

Kiedy się jednak ogląda dostępne w internecie nagrania jego wystąpień, ma się wrażenie, że zła reputacja, na jaką Lasy Państwowe zapracowały w ostatnich latach (m.in. w Puszczy Białowieskiej i w Karpatach), nie pozostaje bez wpływu na jego działalność. Podczas wykładu TEDx w Katowicach w 2018 r. wspominał, że dawniej, gdy przedstawiał się jako leśnik z wykształcenia, na widowni widział serdeczne uśmiechy: „Ale dwa, trzy lata temu coś się zaczęło zmieniać. Gdy wychodzę przed publikę i mówię, że jestem leśnikiem z wykształcenia, to czasami słyszę cięty komentarz, czasami ktoś oko przymruży. Inaczej jestem odbierany".

– A ja przecież nie pracuję i nigdy nie pracowałem w Lasach Państwowych. Nie tworzę też dla nich żadnych materiałów. Ukończyłem po prostu kierunek przyrodniczy, gdzie poza takimi przedmiotami jak pozyskanie drewna czy inżynieria miałem również entomologię, fitopatologię, ekologię, botanikę, zoologię i inne *stricte* przyrodnicze zajęcia. Studia leśne to nie kurs pilarza. Poza tym żyję już wystarczająco długo, by móc zaobserwować zmiany zachodzące w gospodarce leśnej. Często rozmawiam z leśnikami. Głównie

tymi z terenu, nie zza wysokich biurek. Narzekają na to, jak ich praca zmieniła się w ciągu ostatnich 30 lat. Coraz częściej słyszy się frustrację, że stali się ludźmi od wydawania drewna. Latają między biurem a wywozem drewna, są menedżerami od tabelek Excela. Nie mają czasu, by przyjrzeć się przyrodzie i spokojnie z nią współpracować. Odpowiada za to pieniądz, polityka, ale globalnie patrząc, jest w tym też nasza, wspólna wina – przekonuje Horzela.

– Jak to?

– Konsumpcjonizm, przeliczanie wszystkiego na pieniądze. Chcemy coraz więcej, szybciej, taniej. Ludzie kupują głównie meble z płyt zrobionych z wiórów i kleju, sam to jeszcze jakiś czas temu robiłem. To powoduje, że udział zmielonego drewna czy innej pulpy drzewnej w rynku jest coraz większy. W biurach i w domach kupujemy meble na góra pięć, dziesięć lat. Jak się rozklejają albo znudzą, to je wymieniamy. Lasy gospodarcze, czyli niemal wszystkie te, w których zbieramy grzyby, są odzwierciedleniem potrzeb społeczeństwa. Być może więc zamiast utyskiwać, że taki las jak ten, przez który właśnie idziemy, to wcale nie las, tylko plantacja, zastanówmy się, kiedy ostatni raz kupowaliśmy jakiś mebel z myślą, że przejmą go nasze wnuki. Szafę z litej deski za trzy tysiące złotych zamiast takiej za pięćset? Kiedy ostatni raz szukaliśmy stolarza, zamiast jechać do Ikei? Praca leśnika w terenie jeszcze z początku moich studiów leśnych wyglądała inaczej niż teraz. Jak słucham kolegów ze studiów i spotkanych leśników, czuję ulgę, że stworzyłem sobie stanowisko pracy w lesie według własnych zasad i nie muszę być elementem systemu.

Jednocześnie podkreśla, że za swoje działania – świadome lub nie – na rzecz poprawienia wizerunku polskiego leśnika nigdy nie brał od Lasów Państwowych żadnych pieniędzy. Jak tłumaczy, na szali jest przecież wiarygodność, a internet szybko wyłapuje ściemy.

– Poza tym nie jest możliwe opowiadanie o lesie i jego kształcie bez opowiadania o roli, jaką odegrały w nim pokolenia leśników. A że ktoś może brać to za ich obronę, to już nie moja sprawa – ucina.

PIOTR HORZELA

Piotr Horzela

Przez cztery lata nagrał prawie 60 filmów. Jak czytać słupki oddziałowe i jak się wśród nich nie zgubić. Czy trzeba bać się dzików. Co robią kleszcze. **Jak sprawdzić wiek drzewa za pomocą telefonu.**

Podchody z wilkiem

Pętla wokół domu, którą maszerujemy, prowadzi obok świeżo wypatrzonej przez Horzelę dziupli sowy włochatki (drzewo, oznaczone zieloną literą W, jest teraz sercem strefy ochronnej o promieniu 50 metrów). W świerczynie płoszymy dużego byka, widząc głównie jego falujące między pniami poroże. Mijamy strumień niedawno zasiedlony przez bobry i utworzone ręką człowieka zalewisko, w którym Horzela wielokrotnie nagrywał bielika oraz kąpiące się jelenie. Do lasu wracamy parę godzin przed zmrokiem.

– Nie jestem specjalistą w żadnej z dziedzin. Mam sporo wiedzy ogólnej. Uciekam od nazywania siebie ekspertem. Ale umiem łączyć kropki. Trochę wiem o zwierzętach, trochę o drzewach, trochę o tym, co człowiek robi w lesie, co też daje inną perspektywę. Mam fazę na borsuki, więc przez miesiąc oglądam borsuki. To samo z jeleniami albo owadami. Zechcę zrobić materiał o danym gatunku drzewa, będę się wtedy gapił na wszystkie pąki, liście, korę. Lubię takie skakanie po tematach, bo daje mi to coraz pełniejszy obraz całości. Coraz lepiej ten las rozumiem.

W ostatnim czasie jego konikiem stały się wilki, które udało mu się obserwować czterokrotnie na przestrzeni raptem trzech tygodni. Najwyraźniej niedaleko mają jamę, w której na świat przyszły młode. Teraz, krążąc wokół niej, uczą się dorosłości, by stać się samodzielnymi. Chcemy spróbować szczęścia w okolicy, w której już się na nie natknął. Nie podchodzimy jednak zbyt blisko miejsca, gdzie jeszcze dwa tygodnie temu bawiły się młode, żeby nie zostawiać tam zapachu, co mogłoby je niepotrzebnie stresować.

Z aparatem i lornetką chowamy się w trawie na zakręcie, z którego rozciąga się widok na kilka leśnych skrzyżowań. Nic się jednak nie dzieje, więc tropimy dalej. Kolejne godziny wypełnia deptanie po piętach paru dorosłym i młodym osobnikom. To jak zabawa w podchody. Co rusz natrafiamy na tropy, niektóre świeże, inne starsze, ale wciąż nieźle zachowane, bo dawno nie padało. Jest też parę wypełnionych sierścią kup i dowód, że jesteśmy blisko – ciemna plama moczu w sąsiedztwie odcisków łap dorosłego wilka, która nie zdążyła jeszcze wyschnąć na letnim słońcu. Wymowne oznakowanie ruchliwego skrzyżowania.

Zataczamy parokilometrowy okręg, licząc, że w pewnym momencie nasze ścieżki się przetną, ale bez powodzenia. Wreszcie grubo po zmroku, kiedy oczy przestają być do czegokolwiek przydatne, dajemy sobie spokój. Las jest już w zupełnie innym, nocnym trybie funkcjonowania, z którego wyłapać możemy tylko dźwięki. Szurającego w trawach borsuka, trzask patyków łamanych przez wychodzące na łąkę jelenie, szelest w zaroślach. Na pocieszenie zostaje nam szarobury lelek kozodój, który niczym egipska mumia rozłożył się na asfalcie i nic nie robi sobie z reflektorów auta, którym wracamy do leśniczówki.

Kilka dni później Horzela wrzuca na Instagram zdjęcie znajomej drogi oddziałowej. To „wilcze okolice", po których się razem kręciliśmy. „Znowu w pracy...", głosi podpis. Jest też mail: „Wahałem się, czy ci to pisać, ale kilka dni później znów je widziałem".

© ADAM ROBIŃSKI

STANISŁAW

Mancewicz:
Wkroczenie

Jarosław Kaczyński wkroczył na TikToka! – przeczytaliśmy na głównej stronie bardzo popularnego, poważnego, ongiś szalenie etosowego portalu plotkarsko-informacyjnego. W przekonaniu o nadchodzącej katastrofie sprawdziliśmy, czy to prawda. Zmartwieliśmy. Prędko zrzuciliśmy miękką, ale szalenie kosztowną odzież, jakże dobrą do pracy w czasie lockdownu bądź też do słuchania emerytowanych analityków w radiu, i odziawszy się jakkolwiek, ale wyjściowo, polecieliśmy do pobliskiego kantoru. Nauczeni tzw. życiowym doświadczeniem wiemy przecież, że garść dolarów, parę złotych monet, nieco srebra, zegarek szwajcarski – wszystko to ma znakomitą moc przydatności w sytuacjach z rewolucyjnym potencjałem. Wróciwszy do domu, uspokojeni, zabezpieczywszy przynajmniej na chwilę godny byt rodziny (tradycyjna polska rodzina to świętość), siedliśmy nieco wygodniej. Na niedługo.

Oto słyszane przy okazji „wkroczenia na Tik-Toka" tu i ówdzie żarciki i śmichy-chichy ludzi skądinąd poważnych świadczą o powszechnie zanikającej umiejętności interpretowania złowróżbnych znaków. Pojawienia się Jarosława Kaczyńskiego w tym fragmencie przestrzeni wirtualnej, której – jak czytamy w Wikipedii – podstawowymi gatunkami ekspresji są: „Lip-sync – twórca tańczy i naśladuje oryginalnego wykonawcę utworu, udając, że śpiewa (coś jak playback); Stand-up – krótki występ komediowy; Pokaz – prezentacja jakiejś umiejętności akrobatycznej, tanecznej, sportowej; Tutorial – poradnik. Szczególnie popularne są te dotyczące makijażu czy domowych trików; Stream – relacja na żywo" – nie można w żadnym wypadku traktować inaczej niż jak czegoś na kształt owego sławnego wystąpienia nadanego dawno temu zamiast Teleranka.

To po prostu było oczywiste, że jeśli, bracie lub siostro, jesteście etatowymi politykami szeroko pojętej prawicy polskiej, powinniście właśnie zadrżeć. Że owa sławna, kapitalna rymowanka, sumująca najpoważniejszą myśl polskiej prawicy, a brzmiąca, co wie każdy: „Słychać wycie? Znakomicie!", dotąd używana, gdy tzw. salon popadał w kwiki i szlochy na przykład z powodu działalności ministra kulturystyki bądź kasowania demokracji w rozumieniu cywilizacji śródziemnomorskiej, od teraz dotyczy tylko was. Wstąpienie prezesa na TikTok to najjaskrawszy znak ostrzegawczy, że oto nadchodzi tak lekceważona liposukcja kadr, że chów ściółkowy w koalicji rządzącej to przeszłość, to koniec, że od teraz mamy ścisły chów klatkowy, a są to klatki ciasne i – to chyba zbędne uzupełnienie – nieogrzewane, że – jakkolwiek to zabrzmi – właśnie rozpoczęło się skórowanie, na razie na ekranie.

Są to oczywiście obserwacje i wnioski z końca ubiegłego tygodnia. Być może dziś – to wcale nie asekuracja – sytuacja rysuje się nieco inaczej. Wszystko zależy od tego, czy nasze wyobrażenia o mocy prezesa PiS przylegają jeszcze do rzeczywistości, i czy te wyobrażenia mają sens. Być może wchodzimy właśnie wszyscy razem w erę bez poczciwca Kaczyńskiego, bez humanisty Brudzińskiego, inteligenta pełną gębą Glińskiego, misiowatego Suskiego, bez swojskiej Szydło czy archaicznie nowoczesnego, ale jakże infantylnego Morawieckiego. Nigdy dotychczas niesłyszany ton, do dziś (przynajmniej do ubiegłej środy i czwartku) niewyobrażalne w swym chamstwie odzywki pomiędzy politykami prawicy polskiej świadczą, że zaiste być tak może. Od lat snując wyobrażenia, jak oto będzie wyglądał koniec rządów prawicy, rozważaliśmy różne scenariusze. Żaden się nie sprawdził. I oto zupełnie nagle, bez absolutnie żadnego udziału opozycji, bez tak wypatrywanych skandali obyczajowych, kryminalnych bądź finansowych, bo żaden z nich nic nie zmieniał, nastąpiło tąpnięcie.

Najcelniej sytuację ujął senator PiS Jan Maria Jackowski, który powiedział, że „w obozie Zjednoczonej Prawicy niestety nie ma kultury dialogu". Gdyśmy się w to zdanie porządnie wmyśleli, polecieliśmy do kantoru walutowego raz jeszcze. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

REKLAMA

MISTRZ REPORTAŻU

O ŚWIECIE, KTÓRY ZNÓW PŁONIE

ZAMÓW Z RABATEM -35%!

Wojciech Jagielski opowiada o świecie, który zmienia się na naszych oczach. Punkty zapalne XXI wieku, bunty i światowe skandale składają się na barwny obraz najnowszej rzeczywistości.

Strona świata to zbiór najaktualniejszych i najciekawszych tekstów Wojciecha Jagielskiego z ostatnich lat publikowanych na łamach „Tygodnika Powszechnego". Zaktualizowane, ukazują świat, który znów stanął w płomieniach.

Barwna i wciągająca opowieść o Bliskim Wschodzie, Afryce, Indiach i krajach Kaukazu; opowieść o miejscowych władcach i przewrotach wywierających wpływ na cały świat; opowieść o skandalach i konfliktach, o których dopiero będzie głośno...
Mistrz reportażu o świecie, który znów płonie.
Premiera: 30 września 2020 r.

KOD RABATOWY W KSIĘGARNI
stronaswiata35

znak.com.pl
KSIĄŻKI Z DOBREJ STRONY

znak
TYGODNIK POWSZECHNY

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA

Skoncentrowani na potrzebach biznesu

S-Biznes internet symetryczny dla firm

s-net.pl

Symetryczne łącze internetowe z gwarancją parametrów

Korzyści dla Twojej firmy niezależnie od pakietu

- SLA 99,9% bezpieczeństwo sieci
- Wirtualna centrala do 25 stanowisk
- Hosting w chmurze Biznes Premium
- Techniczne wsparcie IT

S-Biznes 1000Mbps

1000/1000

S-Biznes 500Mbps

500/500

Sprawdź na s-net.pl

S-NET GRUPA TOYA +48 12 395 71 00 / sales@s-net.pl / www.s-net.pl